

SERIA Z KOTWICZKA



GÜNTER PRIEN

Moja droga  
do Scapa Flow



Tytuł oryginału:  
MEINE WEG NACH SCAPA FLOW

Przekład:  
Tomasz Waszak  
Fotografie:  
z oryginału

Redakcja:  
NOVUS ORBIS

Skład komputerowy:

## **Święta Krowa**

Copyright © FINNA and L&L sp. z o.o.  
All rights reserved  
ISBN 83-87-827-50-9

Wydanie I  
Gdańsk 2000

„FINNA,„  
80-768 Gdańsk, Polna 1/12  
tel. (058) 305 19 93 L&L sp. z o.o.  
80-445 Gdańsk, ul. Kościuszki 38/3, tel. (058) 520 35 57, 520 35 58

Wyłączny dystrybutor:  
L&L sp. z o.o.  
80-445 Gdańsk, ul. Kościuszki 38/3, tel. (058) 520 35 57, 520 35 58  
e-mail: L&L@softel.gda.pl

Wydawnictwa FINNA i L&L wchodzą w skład TGW  
Trójmiejska Grupa Wydawnicza  
e-mail: fgw@tgw.com.pl  
www.tgw.com.pl

**GÜNTHER PRIEN**

***MOJA DROGA DO SCAPA FLOW***

**„FINNA”**  
Gdańsk 2000

# Spis treści

Przedmowa	5
1 Ucieczka na morze	7
2 Pod pełnymi żaglami	13
3 Awaria	33
4 W huku wyciągarek i w sadzy kominów	49
5 Przed urzędem morskim	55
6 Bez pracy	68
7 W kolumnie Hundsgrün	73
8 Pierwszy raz pod wodą	84
9 Pierwsze ostre strzały	93
10 W potrzasku	108
11 Sześćdziesiąt sześć tysięcy ton	112
12 Scapa Flow	123
U Führera	137
Od autora	140
Prien nie powrócił z patrolu bojowego	165
Aneks	166

## Przedmowa do wydania polskiego

Wspomnienia Priena ukazały się w hitlerowskich Niemczech w 1942 roku. Po zatopieniu w Scapa Flow pancerniki HMS „Royal Oak” Prien stał się bohaterem narodowym. Tłumy berlińczyków były świadkami jego triumfalnego przejazdu ulicami miasta. „Moja droga do Scapa Flow” cieszyła się ogromną popularnością. Kiedy ukazała się książka, Prien jednak już nie żył.

Jego historia jest typową dla niemałej grupy ludzi, którzy trafili do U-Bootwaffe. Wielu z nich w okresie wielkiego kryzysu straciło pracę. Podejmowali się oni każdego zajęcia, aby zapewnić minimum egzystencji swoim rodzinom. Rozbudowa Kriegsmarine dała im szanse powrotu na morze i godnego życia. Nie wahali się więc ani chwili w wyborze tej drogi.

Walka na U-Bootach stwarzała zagrożenie dla życia załóg. Powodowała ogromny stres dowódców odpowiedzialnych za okręt i członków załogi. Rozumiał to doskonale Karl Dönitz. Dlatego każdemu dowódcy, który zatopił ponad 100 000 tonażu przeciwnika, proponował stanowisko na lądzie. Bardzo niewielu z tego skorzystało. Ryzyko wciągało ich bowiem jak narkotyk. Czuli nieodpartą potrzebę balansowania na krawędzi życia i śmierci. Zarówno Prien, jak i Kretschmer czy Schepke nie mogli uwolnić się od hazardu, który nimi zawładnął. Właściwie byli skazani na śmierć, a w najlepszym razie na niewolę (Kretschmer). Było tylko kwestią czasu, kiedy to się stanie.

Świadomie nie wprowadziliśmy do książki żadnych objaśnień. Chcieliśmy, aby czytelnik otrzymał tekst, który ukazał się w tamtych czasach, bez przypisów i uzupełnień opartych na dzisiejszej wiedzy historycznej. Jedynym dodatkiem są przypisy tłumacza.

Miejsce Priena w wojnie U-Bootów i skorygowane dane o jego zatopieniach określają aneksy.

Trzeba jednak pamiętać, że wspomnienia Priena stanowią także jeden z elementów propagandy hitlerowskiej. Rycerskości Priena, który zawsze dbał o rozbitków, przeciwstawia się złych, nie dbających o swoje załogi dowódców alianckich statków. No cóż, takie są prawa wojennej propagandy. Alianci również z tego korzystali.

Prien zatopił w sumie 202 514 ton, w tym pancernik „Royal Oak”. Podczas patrolu na przełomie VI/VII 1940 roku ustanowił rekord zatopionego tonażu w trakcie jednego patrolu - 8 statków (51483 BRT). Był ulubieńcem Dönitza, który właśnie jemu zaproponował atak na Scapa Flow. Po wojnie w wyniku korekt przyznano mu zatopienie 32 1/3 jednostek nieprzyjacielskich. Zginął wraz z całą załogą na U-47 podczas ataku na konwój w marcu 1941 roku. Hitler zakazał publikacji informacji o jego śmierci do 23 maja 1941 roku. Pośmiertnie został awansowany do stopnia korvettenkapitana.

Czekamy z niecierpliwością na opinie czytelników, których propozycje współtworzą „SERIĘ Z KOTWICZKA”. W przypadku pozytywnych reakcji wznowimy inne wspomnienia, które ukazały się w hitlerowskich Niemczech.

Redakcja składa specjalne podziękowania Alfredowi Piechowiakowi za wiele cennych uwag i poprawki merytoryczne tekstu.

Andrzej Ryba

# 1

## UCIECZKA NA MORZE

Było to w Lipsku, niedobrego lata 1923 roku. Inflacja zrujnowała nas wszystkich. Nasi rodzice zbiednieli. Szliśmy brudnymi, zaniedbanymi, szarymi ulicami. Padał deszcz.

- Powiemy to dzisiaj? - zapytał Heinz.

Pomyślałem o matce i zawahałem się.

- Mojego starego chyba szlag trafi - zaśmiał się Heinz i wymownym gestem machnął dłonią. Perspektywa rodzicielskiego lania nie przerażała go. Z jednakowym hartem ducha zadawał i przyjmował ciosy.

Pożegnaliśmy się przed drzwiami mojego domu. Po paru krokach Heinz odwrócił się i zawołał: - Powiem to mojemu starszukowi dzisiaj, na pewno! - i wymachując teczką, skręcił w najbliższą przecznicę.

Wszedłem na górę. Małe okienka, wychodzące na podwórze, kiepsko oświetlały wąskie i wydeptane schody. Mieszkaliśmy na drugim piętrze.

Otworzyła mi matka. Miała na sobie fartuch malarski.

- Pst, Günther, zachowuj się cicho - wyszeptwała. - Pan Buzelius jeszcze śpi.

Pan Buzelius był grubym studentem mieszkającym na prawo od wejścia. Studiował już czternasty semestr. Do południa leżał w łóżku. Twierdził, że najlepiej pracuje mu się na leżąco. Zza drzwi dobiegało teraz jego chrapanie.

Przeszedłem w głąb mieszkania, o jadalni. Stół był już nakryty. Liese-Lotte i Hans-Joachim siedzieli na wysokich dziecięcych krzesłkach, bladzi i onieśmieleni. Na bieliźniarce leżały trzy listy w błękitnych kopertach: rachunki!

Weszła matka, niosąc krupnik. Jedliśmy w milczeniu.

- Dużo tego? - zapytałem, wskazując głową błękitne koperty.

- Najgorszy jest dentysta - westchnęła matka i dodała: - Ludzie, którzy nie mają co jeść, nie powinni właściwie mieć zębów.

Spojrzałem na nią. Na jej poczciwej, okrągłej twarzy pojawił się udręczony, gorzki grymas. Nie, nie mogłem tego oznajmić, w każdym razie nie dzisiaj.

Po obiedzie, przy sprzątanu ze stołu, powiedziała: - Kiedy odrobisz lekcje, mógłbyś zanieść koronki do panien Kleewitz. Znowu przyszedł cały karton.

Skinąłem głową. Nie było to zbyt miłe zadanie, ale w końcu z tego żyliśmy. Ciotka skupowała koronki w Rudawach, a matka rozprawiała je w Lipsku w niewielkich sklepikach i wśród prywatnej klienteli. Pieniądze miała z tego niewielkie, czasem zdarzało się, że żadne.

Wyruszyłem w drogę dopiero pod wieczór. Karton był wyjątkowo duży i byłoby mi głupio, gdyby zobaczył mnie któryś ze szkolnych kolegów. Sklep „Kleewitz i Bramfeld” znajdował się przy Nowym Rynku. Był niewielki, z malutką wystawą, na której leżała staromodna bielizna, nocne koszule wykończone dzierganym ścięciem, siatkowe serwetki i klockowe koronki - nasze koronki. Wyglądało to tak, jakby ktoś wysypał na wystawę zawartość bieliźniarki z lat dziewięćdziesiątych. W sklepie zastałem starszą z sióstr Kleewitz, małą kościstą kobietę ze spiczastym nosem i czarnymi ptasimi oczkami.

- Dobry wieczór - przywitałem się, stawiając karton na szklaną płytę lady.

- Przynoszę koronki od mamy.

- Nie możesz przychodzić wcześniej - odpowiedziała gderliwie - tylko teraz, jak robi się ciemno? - Zdjęła pokrywkę z kartonu i zaczęła grzebać w koronkach, cały czas przy tym mamrocząc do siebie:

- Oczywiście, znowu nie wybielone... I zawsze te same wzory: oko opatrności, wciąż to samo oko opatrności. Nikt już dzisiaj nie pyta o oko opatrności. Mówiłam to już przecież ostatnim razem!



Nie nie odpowiedziałem.

Dzwonek u drzwi zadźwięczał i do sklepu weszła klientka.

Stałem i czekałem, aż panna Kleewitz ją obsłuży. Cudownie było patrzeć, jak jej twarz stawała się życzliwa i słuchać, jak przymilnie rozmawiała ze swoją klientką.

Stałem i obserwowałem wszystko. Tak, taka właśnie była kramarska dusza: dla tych, co na górze - ukłony, dla tych, co na dole - kopniaki.

Klientka wyszła ze sklepu z paczką szpilek, a panna Kleewitz zajęła się znowu moim kartonem. Grzebała w nim jak kura w poszukiwaniu robaków i ponownie zaczęła mamrotać:

- Wzory były przedtem zupełnie inne, o wiele ładniejsze... O wiele dokładniej wykończone... Najchętniej w ogóle nic przyjąłabym tego...

- Nie, to nie - wypaliłem.

Nagłym ruchem podniosła głowę i spojrzała na mnie. Jej oczy zwięzły się w małe szparki, a usta aż otworzyły się ze zdumienia. Jeszcze jedno moje słowo - i wyrzuci mnie razem z koronkami. Wiedziałem to tak dobrze, jak gdybym to usłyszał z jej ust. Pomyślałem o matce i rodzeństwie w domu - i milczałem.

- Mówiłeś coś? - zapytała.

- Nie.

- No, ja też wolałabym niczego nie słyszeć - rzekła triumfalnie.

Następnie podeszła do kasy i wyłożyła banknoty na stół.

Podziękowałem i wyszedłem.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem na dworze, było zapalenie papierosa. Mimo, że było jeszcze widno i w każdej chwili mógł mnie przyłapać któryś z nauczycieli.

Nie, dłużej tak nie mogło być. Musiałem się stąd wyrwać, żeby się nie udusić.

Heinz miał dzisiaj powiedzieć swojemu ojcu, że idziemy obaj na morze, a ja miałem o tym porozmawiać z matką. Najlepiej chyba już dzisiaj.

W domu szybko przełknąłem kolację i poszedłem do siebie. Mieszkałem w małym, wąskim pokoju z oknem na podwórze. Stało w nim łóżko połówę, stół, krzesło, umywalka i półka na książki. Stojąc tuż przy oknie, można było zobaczyć mały kawałek nieba.

Nad moim łóżkiem wisiał obraz przedstawiający Vasco da Gamę. Lubilem tego żeglarsza chyba najbardziej spośród wszystkich morskich bohaterów przeszłości. Wciąż na nowo czytałem historię jego życia.

O tym, jak wypłynął w wieku dwudziestu siedmiu lat, z trzema statkami niewiele większymi od łodzi rybackich, jak wśród nieopisanych tarapatów opłynął Afrykę, jak wreszcie zdobył Indie, i powrócił, witany przez króla i oklaskiwany przez lud.

Gdybym mógł tak wyrwać się i prowadzić podobne życie!

Ale matka nie miała pieniędzy - i tej przeszkody nie dało się ominąć. Sam posiadałem wprawdzie dziewięćdziesiąt jeden szwedzkich koron, które zarobiłem na targach, oprowadzając cudzoziemców. Ale czy dziewięćdziesiąt jeden koron wystarczy na opłacenie nauki w szkole morskiej?

Może tak. A jeśli nie wystarczy, to pójdę na morze po prostu bez wykształcenia. Z tym postanowieniem zasnąłem.

Następnego ranka przyszedł po mnie Heinz Frenkel. Chodziliśmy do szkoły razem i zawsze czekał na mnie pod drzwiami.

- No więc rozmawiałem ze starym - oznajmił, gdy się przywitaliśmy.  
- Jak na swój wiek zachował się zaskakująco rozsądnie. Najpierw mam zrobić maturę. A jeśli potem nadal będę chciał na morze, nie będzie mi stawał przeszkod.

- Coś takiego - zdziwiłem się.

- A ty? - zapytał Heinz. - Co powiedziała twoja staruszka?

- Ach, nic... Widzisz, wcale z nią nie rozmawiałem.

Heinz roześmiał się i klepnął mnie w ramię: - No, stary koniu, to nadal będziemy kolekcjonować odciski na tyłkach w gimnazjum Karola.

Ale mnie nie było do śmiechu.

Po południu poszedłem do punktu poradnictwa zawodowego w Urzędzie Pracy. Chciałem zasięgnąć informacji o możliwościach wyuczenia się zawodu chłopca okrętowego.

Człowiek, który mnie przyjął, nie wyglądał na portugalskiego króla. Mężczyzna o bladożółtej cerze spojrział z dezaprobatą przez grube szkła okularów i zapytał z wyraźną niechęcią: - Chcesz do marynarki? Taki szczeniak? A co na to rodzice?

- Matka się zgadza - skłamałem.

- Tak...? - spytał z niedowierzaniem. - To przyjdź jeszcze raz razem z nią. - I pochylił się znowu nad aktami, jakby mnie już wcale nie było.

Zebrałem się na odwagę i powiedziałem, że chciałbym się wstępnie dowiedzieć... co do nauki zawodu i tak dalej... i ile to wszystko kosztuje.

Spojrzał zniecierpliwiony znad akt, sięgnął na stojącą za nim półkę i rzucił na stół mały zeszytek, nie zaszczycając mnie już ani jednym słowem. Zeszytek okazał się być prospektem Niemieckiej Szkoły Morskiej w Finkenwörden.

Podziękowałem i wyszedłem.

Na zewnątrz szybko otworzyłem prospekt. Nie oglądałem ilustracji. Przebiegłem tekst bez czytania, szukałem tylko informacji, ile trwa nauka i jaki jest jej koszt.

W końcu znalazłem: trzy miesiące nauki i kwota w papierowych markach, od której ugięły się pode mną nogi. Dopisek obok głosił: „cena umowna”.

Wyszedłem ze starego szarego gmaszyska na ulicę. W wywieszonym w redakcyjnej witrynie numerze „Leipziger Neueste Nachrichten” odszukałem kolumnę dotyczącą kursów walut i zacząłem liczyć.

Rzeczywiście, po przeliczeniu na papierowe marki moje korony wystarczyłyby.

Pobiegłem do domu.

Matka siedziała przed sztalugami i malowała. Leśny pejzaż z kilkoma sarnami. Znałem to, malowała go już nieraz.

- Pomyśl tylko chłopcze - zalała mnie potokiem słów. - Dentysta chce wziąć ode mnie obraz zamiast pieniędzy. Uważa, że moje obrazy są znakomite i od razu postarał się o dwóch innych klientów.

Jej policzki płonęły.

- Uważa, że mogę zażądać za obraz co najmniej trzydzieści marek w złocie. Jak dobrze pójdzie, namaluję w tygodniu dwa albo trzy. To jest 240 do 300 marek miesięcznie, chłopcze. I wreszcie skończy się ta szarpanina z koronkami.

Spojrzałem na nią. Znowu fruwała w balonie swoich marzeń. Zaczerpnąłem głęboko powietrza:

- To pięknie, mamo, ale pomyśl: czy nie byłoby ci łatwiej, gdybyś miała jedną gębę mniej do wyżywienia?

Matka opuściła paletę: - Co to ma znaczyć, Günther?

- Sądzę, że czas, abym powoli sam zaczął myśleć o zarabianiu pieniędzy.

- A co chcesz robić?

- Chcę iść na morze.

Wstała. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Zobacz - dodałem szybko - postarałem się już o prospekt Szkoły Morskiej w Finkenwärder. Czesne jest niewielkie. Mogę je sam opłacić z moich szwedzkich koron. A potem...

Przerwała mi: - A czy naprawdę chcesz pływać po morzu?

- Tak - potwierdziłem. - Naprawdę, z całego serca. Przecież wiesz.

Nie odpowiedziała nic. Opuściła głowę, a potem rzekła cichym, lekko drżącym głosem:

-Tak, jeśli tak jest, nie mogę ci chyba stawiać przeszkód.

# 2

## POD PEŁNYMI ŻAGLAMI

Szkoła Morska w Finkenwärder mieściła się w wielkim czerwonym budynku z cegły. Leżała tuż nad Łabą. Za dnia mogliśmy obserwować wchodzące i wychodzące statki. Nocą po wodzie sunęły ich światła. Kiedy leżeliśmy w ciemności w sypialni, dochodziło do nas buczenie parowców, niosące tęsknotę za dalekim światem.

Byliśmy zgrają trzydziestu albo czterdziestu młodych chłopaków, głodnych jak wilki, zawsze wesółych i zawsze pełnych oczekiwań. Regulamin szkoły był surowy. Ten, kogo złapano na paleniu, musiał zjeść papierosa. Ale to nam nie przeszkadzało. Braliśmy od życia, co się dało, nawet jeśli było to tylko jedzenie dyrektora. To była zresztą cała sztuka: ukraść posiłek kapitana Oelkersa, sztuka przekazywana sobie przez kolejne roczniki uczniów. Kiedy winda kuchenna przejeżdżała obok naszej jadalni, trzeba było błyskawicznie wymienić pełne miski na puste. Jeśli ktoś był niezręczny, mógł się przy tym nieźle upaść. Ale i tak wciąż to robiono, a litościwe dusze twierdziły, że kapitan Oelkers jest niewysoki, gdyż za często znajdował w swoich miskach samo powietrze.

Oprócz tych wyczynów uczyliśmy się także splatania lin, robienia węzłów, kodu sygnałowego i prawa morskiego. Musieliśmy nauczyć się tego szybko, bo w trzy miesiące; wśród starych wilków morskich nasza szkoła nie darmo zwala się fabryką marynarzy w Finkenwärder.

Mimo to byliśmy niecierpliwi, a w wolne popołudnia rozmawialiśmy prawie wyłącznie o naszych szansach. Szansa - to było zaokrętowanie się na statek, najlepiej na długi rejs. Chodziliśmy więc po porcie na szeroko rozstawionych nogach jak doświadczeni marynarze, strzykaliśmy śliną z nabrzeża do wody i oczekiwaliśmy z napięciem na werbunek. Ale nikt się nie zjawiał.

Po trzech miesiącach odbył się końcowy egzamin. Wszyscy zdali, kapitan Oelkers uściśnął każdemu dłoń i życzył pomyślnych wiatrów. Potem inni odjechali, a zostało tylko dwóch: Jahnke i Prien. Nie mieliśmy pieniędzy na drogę powrotną, poza tym nie chcieliśmy, aby ominęła nas szansa. I tak staliśmy się uczniami klasy „D”, to znaczy nadterminowymi, jako że naukę zaczynało się w Finkenwärder w klasie „A”, a w miesiącu końcowego egzaminu było się już w „C”. W klasie „D” pozostawały natomiast już tylko przerośnięte karpie, tuczone dopóty, dopóki i one nie złapały dla siebie szansy.

Nie był to zbyt miły okres. Stateczne spacery po porcie przerodziły się w gorączkową bieżaninę od statku do statku. Nikt jednak nas nie chciał. Pewnego wieczoru, kiedy zmęczeni i zawiedzeni wracaliśmy do szkoły, zatrzymał nas w wielkiej hali bosman Schmidt i powiedział: - W moim domu często słyszę takie piękne przysłowie, chłopcy: ryba i gość po dwóch dniach śmierdzą! - po czym pstryknął w daszek swej marynarskiej czapki i odszedł.

Nie, to naprawdę nie były miłe dni. I kiedy pewnego ranka wezwał nas kapitan Oelkers, byliśmy szczerze zadowoleni. Teraz się to wreszcie skończy - tak albo inaczej.

Gdy weszliśmy, kapitan siedział za biurkiem. Zasalutowaliśmy i stanęliśmy przed nim na baczność.

- Pełnorejowiec „Hamburg” szuka dwóch chłopców okrętowych – oznajmił Oelkers ostrym, nawykłym do wydawania komend głosem. -To dobry statek, a kapitan jest jednym z lepszych marynarzy, jakich znam. Możecie się jutro zaokrętować.

- Tak jest - powiedziałem z wdzięcznością.

Natomiast Jahnke zapytał tylko oschle: - A jaką będziemy mieli płacę? Kapitan Oelkers zmarszczył brwi. - Płacę? - powtórzył z dezaprobatą. - Skąd ci do głowy przyszła płaca? Dopiero się przecież uczycie i dla statku będziecie tylko obciążeniem. Poza tym „Hamburg” ma być przekształcony na statek szkolny. Armator żąda trzydziestu marek miesięcznie za naukę. A to jest chłopcy tanio, wręcz wyjątkowo tanio.

Kątem oka spostrzegłem, że Jahnke się czerwieni. Był chłopskim synem gdzieś z Pomorza i miał wrodzony talent do interesów.

- Nie stać nas na to, panie kapitanie - odpowiedział - Zresztą mój ojciec za coś takiego nie zapłaci.

- Ach tak - rzekł Oelkers. - A jak to wygląda u ciebie, Prien?

- Myślę, że matka też nie będzie mogła zapłacić.

- No dobrze, przemyślę jeszcze tę sprawę. - I wyprosił nas niechętnym gestem.

Już pod wieczór wezwał nas ponownie. — No więc - rzekł szorstko załatwiłem, że nie będziecie nic płacić.

- A płacę dostaniemy? - zapytał Jahnke.

Oelkers spojrział na niego przeciągle. Było to osobliwe spojrzenie, po części zdumione, po części oburzone, a jednak kryło się w nim także uznanie. Po chwili powiedział: - Od zera marek stopniowo wzwyż - odwrócił się na obcasach i zostawił nas samych.

Następnego dnia weszliśmy na pokład. Była niedziela, zimny, pogodny dzień. Śnieg błyszczał w słońcu. Łabą sływały lśniące białe kry. „Hamburg” stał przycumowany do nabrzeża, naprzeciwko stoczni „Blohm & Voss”. Musiał trwać jeszcze załadunek, ponieważ wszędzie na pokładzie leżały zwoje i końcówki lin, zaś w jednym kącie dostrzegliśmy stos pustych puszek po konserwach, przemieszanych z popiołem z kuchni.

Statek wydawał się całkiem pusty. Tylko na dole, przy trapie, stało dwóch mężczyzn: oficer ubrany w niebieski płaszcz, a obok niego potężny jegomość w cywilu. Wyglądał jak mors z czerwonymi policzkami i sumiastym wąsem. Z jego rozpiętej mimo zimna koszuli wylała się gruba czerwona szyja. Błękitną kamizelkę opinał jak girlanda okazały złoty łańcuszek od zegarka.

- Jesteście nowymi jungami? - zapytał mors głębokim basem, owiewając nas falą spirytusowych wzywów.

- Tak jest, panie bosmanie, jesteśmy chłopcami okrętowymi - odpowiedziałem.

- Aha, to panowie ze szkoły morskiej - kontynuował i mrugnął ironicznie do oficera. Potem wrzasnął na cały pokład: - Stocks!

Po dobrej chwili pojawił się marynarz.

- Nowe jungi - powiedział bosman. - Przydziel im szafki i koje. Tego tu - wskazał kciukiem Jahnkego - daj do lawizy, a tego małego na rufę, do „synagogi”<sup>1</sup>.

Odwrócił się i splunął do wody. Stocks wysłał Jahnkego na dziób do lawizy, czyli pomieszczenia dla majtków i chłopców okrętowych, mnie zaś kazał iść ze sobą na rufę. Idąc, spoglądałem na niego kątem oka.

Był niskim, chudym człowiekiem o bladej, skrzywionej twarzy. Przednie zęby wystawały mu znacznie do przodu, tak że z profilu wyglądał jak nastroszony szczur.

„Synagoga”, położona tuż za grotmasztem, była miejscem zakwaterowania starszej załogi. W wielkim, niskim pomieszczeniu, na prawo i lewo pod ścianami, jak ciemne nory ciągnęły się piętrowe koje, zawsze po dwie, a na środku stał długi drewniany stół i dwie ławy. Słońce zaglądało przez bulaje, odbijało się w drewnianych deskach ścian, śląc w półmrok długie smugi światła. Pachniało trawą morską, smołą i słoną wodą. Nie widziałem nikogo, usłyszałem tylko jak parę osób przewróciło się z boku na bok w mroku swych legowisk.

- To twoja koja - Stocks wskazał na norę położoną najdalej z tyłu.

Poszedłem tam i rzuciłem na nią swój marynarski worek. Stocks usiadł przy stole, wyciągnął gazetę i zaczął czytać.

- Miałeś mi jeszcze pokazać szafkę - przypomniałem mu. Podniósł głowę.

- Co powiedziałeś?

- Chciałem cię prosić, żebyś mi pokazał szafkę.

Podniósł się i podszedł do mnie. Stał bezszelestnie, z głową lekko wysuniętą do przodu.

- Coś powiedział? - powtórzył, dziwacznie przeciągając słowa.

- Chciałem cię prosić...

W następnej chwili dostałem w twarz. Raz, drugi i trzeci. Bił mocno zewnętrzną stroną dłoni, krzycząc przy tym: - Dam ci mówić „ty” do marynarza, gówniarzu!

<sup>1</sup> Taka nazwa dla pomieszczenia zamieszkiwanego przez początkujących marynarzy jest logiczną konsekwencją faktu, iż w języku niemieckim są oni nazywani „Mojżeszami” (przyp. tłum.).



Byłem taki zdumiony, że nawet nie zasłoniłem się przed ciosami. Potem jednak ogarnęła mnie złość. W porządku, mógł być starszy ode mnie o dziesięć lat, pewnie też twardszy i silniejszy niż ja. Ale nie pozwolę się tak traktować. Wciągnąłem głowę w ramiona i przyjąłem postawę bokserką.

W tym momencie poczułem, że z tyłu czyjaś dłoń ściska moje ramię jak w imadle.

- Spokojnie, chłopcze, tylko spokojnie - zagrział czyjś głos, a następnie zwrócił się do Stocksa: - Zjeżdżaj stąd, baranie!

Odwrociłem się. To był marynarz z najwyższej koi. Skryty w półmroku, dobrze widoczna była tylko jego dłoń spoczywająca wciąż na moim ramieniu. Potężna, szeroka i gęsto owłosiona ze ścięgnami jak okrętowe liny.

Stocks poczłapał do wyjścia, mruczając do siebie niezrozumiałe słowa. Potem z hukiem zamknął za sobą drzwi.

Człowiek z góry przewiesił nogi przez krawędź koi i zeskoczył na ziemię.

- Jesteś pewnie nowym jungą? - zapytał. - Tak.

- A jak się nazywasz?

- Günther Prien.

- Jestem Max Witaschek - przedstawił się i podał mi dłoń. Był ode mnie wyższy o dobre dwie głowy i prawie dwa razy potężniejszy.

- Nie przejmuj się tym dodał. - Stocks to śmierdziel. Sam jest słaby, więc szuka słabszych i ich gnębi.

- Wcale nie jestem słabszy - zachnąłem się. - To by się dopiero okazało.

- Okazałoby się, że byłbyś - roześmiał się. Miał jasne oczy, jakby wypłukane przez wiatr i słoną wodę.

- Tak - powtórzył. - Na pewno byłbyś słabszy. Bo gdybyś naprawdę dał sobie radę ze Stocksem, musielibyśmy wszyscy razem dać ci kocowę. Tego wymaga dyscyplina.

Usiadł ciężko przy stole i zaczął nabijać sobie fajkę.

- Raz już coś takiego przeżyłem - ciągnął. - Jeden junga też się postawił i oddał. Silny był z niego chłop i sprął marynarza na kwaśne jabłko. Ale potem musiał leżeć trzy tygodnie na koi i zafundować sobie nowe zęby z aluminium. Zawsze je czyścił papierem ściernym. Byłoby mi przykro, gdybym musiał w czymś takim pomagać akurat Stockswi

- zamruczał i zapalił fajkę. Siedział i palił w milczeniu, podczas gdy układałem swoje rzeczy.

Jeszcze nie skończyłem, kiedy znów pojawił się Stocks i kazał mi przejść na rufę do bosmana.

Bosman zajmował sam całą kabinę. Kiedy wszedłem, leżał w łóżku. Obute nogi oparł na małym stoliczku.

- Patrzcie tylko, pan junga - powiedział. - Właśnie cię oczekiwaliśmy. Mamy bowiem dla ciebie pilną pracę. - Zwłóknął się z koi i poprowadził mnie, człapiąc, przez pokład do małych drzwiczek pod dziobówką. Otworzył je i wskazał na dwie muszle klozetowe. - To nasz parlament. Nie uwierzysz, ale obie były kiedyś białe. A teraz do roboty. Postaraj się o gorącą wodę i sól bydlęcą u kucharza. Kiedy skończysz, możesz się znowu u mnie zameldować.

Poszedł, a ja zabrałem się do pracy. Przez otwarte drzwi widziałem kawałek pokładu i smukły grotmaszt, strzelający wysoko w lutowe niebo.

A więc to było marynarskie życie, o którym marzyłem. Niech to diabli, ładny początek!

Po wykonaniu pracy zameldowałem się u bosmana. Bez słowa poszedł ze mną na dziób. Tam długo i dokładnie przyglądał się obu muszłom.

Potem odwrócił się do mnie. - Dobra robota, jungo - powiedział serdecznym tonem, bez cienia kpiny. - Jeśli będziesz tak dalej wykonywać swoje obowiązki, zawsze znajdziesz przyjaciela w Harrym Stoewerze. - Potem klepnął mnie w potylicę i poszedł.

Dyżur przy stole w „synagodze” miałem z Zippelem. Zippel, również chłopiec okrętowy, był niskim, zwinnym chłopakiem o ostrzyżonych na jeża blond włosach i wesołych niebieskich oczach. Przynieśliśmy blaszane miski z jedzeniem z kuchni do „synagogi”, gdzie marynarze, siedząc za stołem łokieć przy łokciu, w milczeniu wiosłowali łyżkami. Posiłek składał się z pieczeni wieprzowej i czerwonej kapusty, była bowiem niedziela.

- Ty jesteś Günther Prien - odezwał się drugi chłopiec okrętowy, siedzący obok mnie przy stole - a ja nazywam się Hans Zippel. Ale możesz spokojnie mówić mi per „ty”, chociaż jestem na pokładzie już czternaście dni.

Marynarze zaśmiali się, tylko Stocks zrobił naburmuszoną minę. Popołudnie mieliśmy wolne, a następnego dnia zaczęła się praca.

Pobieraliśmy prowiant i ręczną wciągarką windowałem w górę worki z mąką.

Później rozpoczęło się mocowanie żagli. Staliśmy wysoko na rejach, zwijaliśmy płótno i wiązaliśmy je konopnymi linami. Mroźny wiatr kłuł nas w palce - stalowe reje były straszliwie zimne. Grotmaszt wysoki jak wieża kościelna miał pięćdziesiąt pięć metrów. Pokład z tej wysokości wydawał się mikroskopijnie mały. Trzeba było rozpiąć dwadzieścia osiem żagli i potrzebowaliśmy na to aż dwóch dni.

Rankiem czwartego dnia byliśmy gotowi do żeglugi. Do burty statku podpłynął holownik i o siódmej odcumowaliśmy. Na czarnej wodzie pod nami połyskiwały kry, jak jasne plamy w mroku, ocierając się ze zgrzytem o dziób statku.

Płynęliśmy w dół rzeki, załoga stała przy prawej burcie i spoglądała w kierunku lądu, pogrążonego jeszcze w ciemności. Nagle ktoś zawołał wesoło: - Na cześć St. Pauli<sup>2</sup> - hip, hip...

I cała załoga po trzykroć odpowiedziała „hura!”.

Z brzegu jakieś głosy coś odkrzyknęły, nie dało się jednak niczego zrozumieć. Ktoś, kto stał obok mnie, odezwał się: - Dziewczynki też nas żegnają.

Kiedy pojaśniało, z tyłu na pomoście zobaczyłem mężczyznę w białej futrzanej czapce. - To stary, pseudo „Węzołap” - szepnął do mnie Zippel. Mężczyzna na pomoście wyciągał głowę na wszystkie strony, jak kogut chcący zapać, a potem zniknął w kabinie nawigacyjnej.

- Teraz poczuł wiatr - powiedział Zippel - i zaraz poda kurs. On jest z tych, co potrafią wyczuć pogodę trzy dni naprzód.

Spojrzałem na Zippela z ukosa, ale jego twarz była poważna. Płynęliśmy w dół Łaby i po południu wyszliśmy na pełne morze. Wiał słaby wiatr północno-wschodni, szarozielone morze wyglądało na bardzo zimne. Pod wieczór, tuż przed zachodem słońca, holownik rzucił hol i zawrócił.

Potem padła komenda „stawić żagle!”. Wspięliśmy się po wantach na reje. Jeden żagiel po drugim rozwijał się i wydymał na wietrze. Na zachodzie słońce skryło się za zwałem chmur, a na wschodzie z wolna zaczął piąć się w górę księżyc, okrągły i pełny, rzucając na powierzchnię morza błyszczące ścieżki światła.

<sup>2</sup> Hamburska dzielnica uciech (przyp. tłum.).

Pracowaliśmy, a mimo zimna ubrania lepiły nam się do ciała. Ale czasami odrywałem się od pracy, aby popatrzeć na grę księżycowego światła na białym żaglowym płótnie.

Jednak najpiękniejszy widok ujrzałem dopiero wtedy, gdy znów znalazłem się na pokładzie. Oto stały przede mną trzy srebrzyste wieże z iglicami niknącymi w nocnym niebie, zaś z dołu dobiegał niski i regularny szum fali dziobowej.

Płynęliśmy...

Miałem wrażenie, że jakaś niewidzialna siła pochwyciła statek i ciągnęła za sobą, łagodnie, ale nieustannie. Żadnego hałasu maszyn - tylko ten ciągły, niski i równomierny szmer.

Mieliśmy dobry rejs aż do Zatoki Biskajskiej. Tam zmienił się wiatr i musieliśmy często zmieniać kurs. Ale liczyliśmy na to, że nadrobimy stracony czas za Azorami, kiedy wejdziemy w pasat.

Gdy w końcu dotarliśmy do Azorów, pasatu nie było, wiał tylko lekki wiaterek w nieregularnych porywach, przypominających kasłanie starego człowieka.

Węzółap kazał postawić wszystkie żagle, do ostatniego skrawka, ale mimo to nie pokonywaliśmy dziennie więcej niż dziesięć mil morskich.

Morze zdawało się zmieniać w roztopiony ołów. Dni były niemrawe i gorące, a noce jeszcze gorsze. Pod pokładem nie dało się wytrzymać. Podczas wolnych wacht leżeliśmy na pokrywach luków, szukając ochłody w nocnym wietrze.

Kapitana widywaliśmy rzadko. Najczęściej wylegiwał się na swoim pokładowym leżaku za sterówką. Tylko czasami, wysoki i kościsty, pojawiał się około południa w największym skwarze na pomoście, jak południowa zjawa w koszuli z różowego jedwabiu. Patrzył z troską na obwisłe żagle i kręcąc głową, znów znikał za sterówką.

Tak, widywaliśmy go tylko z rzadka. Ale szybko zauważyliśmy, że był stale obecny i z ukrycia pociągał za wszystkie sznurki.

Pewnego dnia w południe Krämer, mechanik od maszyny parowej, wysłał Zippela do kambuza po mleko w puszcze. Chciał nim osłodzić swój makaron. Ale Zippel wrócił bez mleka.

- Co to ma znaczyć? - rozłościł się Krämer, ociężały chłopak z Prus Wschodnich, który bardzo rzadko otwierał usta. Teraz był wściekły. - Kucharz nie chce wydać mleka?

- Nie - odparł Zippel załknionym głosem. Kok może by i wydał, ale stary zabronił. Mamy teraz oszczędzać.

Krämer nie odezwał się więcej, a i inni przy stole nagle zamilkli. Ciszę tę przerwał Stocks: - Za to jutro będzie coś ekstra. Solone mięso z suszonymi ziemniakami.

Powiedział to z ironią, takie bowiem jedzenie dostawaliśmy codziennie od trzech tygodni.

Zdarzenie to nie miało żadnych dalszych konsekwencji, poza tymi, że od tej chwili nie było już mleka ani rano, ani w południe, ani też wieczorem.

Trzy dni później - miałem znowu dyżur przy stole - przyszedłem do kambuza po „ranną wachtę”. Tak określa się kawę wydawaną o czwartej nad ranem. Jest czarna i gorąca, ma mocny smak cykorii i słaby kawy, i cieszy się wielkim powodzeniem u wilków morskich, zarówno na Antarktydzie, jak i w tropikach.

- „Rannej wachty” już nie ma - oświadczył kucharz i miałem wrażenie, że się złośliwie uśmiecha.

- A co mam powiedzieć załodze?

Wzruszył obojętnie ramionami. - Możesz powiedzieć prawdę. Węzołap zakazał.

Marynarze nie są porywcy. Kiedy wróciłem do kubryku, klekocząc pustym dzbankiem i przekazałem wiadomość, reakcją było milczenie, dokładnie tak jak poprzednio. Załoga siedziała w siatkowych koszulkach, albo z obnażonymi torsami przy stole, a przed nią leżał twardy chleb, który zamierzała popijać kawą.

Nie wiem, który zaczął. Wydaje mi się, że Moeller. Wziął do ręki swoją przylepkę i zaczął uderzać nią w jednostajnym rytmie o stół, śpiewając przy tym: - Pata taj... pata taj... pata taj...

Tym zawołaniem budziło się ranną zmianę wachty, a cały dowcip nie był niczym nowym. Stukaniem o stół wytrząsaliśmy bowiem z przylepek robaki, które potem zrzucaliśmy ze stołu i rozdeptywaliśmy. Tak więc dowcip był stary. Ale tym razem było to coś więcej niż dowcip. Nagle wszyscy chwycili swoje przylepki i zaczęły uderzać nimi o stół - brzmiało to jak terkot werbla - i dołączali kolejno ochryple głosy do chóru: - Pata taj... pata taj... pata taj...

W największym hałasie usłyszeliśmy głos kapitana. Zszedł po schodni z mostku i stał teraz tuż nad nami na płaskim pokładzie „synagogi”.

- Panie bosmanie - powiedział - mam wrażenie, że w dziale rufowym trzeba zatroszczyć się o spokój!

I zaraz potem przez pokład przetoczył się grzmiący głos bosmana: -Do stu piorunów, spokoj w „synagodze”!

- Wytworny człowiek - ktoś szepnął stłumionym głosem - nie niższy się do tego, żeby nas osobiście opieprzyć.

- Dobry i pobożny - dołączył się Stocks - jakby miał spółkę z samym Panem Bogiem. Trzeba by go wam było widzieć na ostatnim rejsie, w zatoce Firth of Forth. „Z tymi masztami nie przepłyniecie pod mostem podczas przyływu”, stwierdził pilot, którego mieliśmy wtedy na pokładzie. „Przeplynie”, odparł na to Węzołap, „wymierzyłem to”. Czekanie na następny odpływ kosztowało 2 funty opłaty za pilota, a te dwa funty bardzo ciążyły mu na duszy. „Dobrze kapitanie, ale na pańską odpowiedzialność” - oświadczył pilot. Na to Węzołap nic już nie powiedział i poszedł do kabiny nawigacyjnej. Obstukiwałem akurat rdzę z fokmasztu, kiedy przyszedł Iwersen, drugi sternik, i mówi: „Stocks, idź i zajrzyj do kabiny nawigacyjnej. Zobaczysz coś niezłego!” No to poszedłem i zajrzałem przez okno, a tam Węzołap klęczał na podłodze. Łokcie oparł o stół do map, złożył ręce, oparł o nie głowę i modlił się. Prosił Pana Boga, żeby ten pozwolił mu zachować dwa funty, żeby czubki masztów przeszły pod mostem, i żeby nie został ukarany za swoje skapstwo. Klęczał tak co najmniej pół godziny, aż przepłynęliśmy pod mostem. Wszyscy po kolei podchodziliśmy do kabiny nawigacyjnej i podglądaliśmy go. I faktycznie przepłynęliśmy z całymi masztami. Ale przez następne dni przechodząc koło Węzołapa, każdy otrzepywał sobie kolana.

Kilku marynarzy roześmiało się.

- No, miejmy nadzieję, że teraz swoimi modłami nie sprzątnie nam ze stołu solonego mięsa - zażartował Schlegelsberger.

Nagle usłyszeliśmy tupot nóg. Ktoś biegł przez pokład do kubryku. Drzwi były otwarte i widzieliśmy go już z daleka. Był to Jessen. Biegł od strony kambuza.

- Ludzie - wybuchnął. - Balkenhol stoi w kambuzie i spija mleko. Obserwowałem go. Przypiął się do wielkiej puszkii mleka skondensowanego i tylko słyszał jak gulgotze...

Jakby ktoś odkręcił wentyl, przez który zaczęła uciekać nagromadzona złość. W kubryku jeden kłął przez drugiego: - A to chytra świnia... A to Judasz... Jeszcze się bydlakowi damy napić...

A potem Witaschek powiedział twardo i dobitnie, jak przewodniczący ławy przysięgłych: - Dzisiaj w nocy kok dostanie kocowę.

Noc była ciemna, nie świeciła ani jedna gwiazda, niebo spowijały czarne chmury. Tylko cienki sierp księżyca żeglował przez obłoki.

Do północy mieliśmy wolne. O dziesiątej podkradliśmy się w skarpetkach na dziób. Kucharz Balkenhol siedział w kambuzie i coś pisał. Przez otwarte drzwi widać było, jak płomyk naftowego kaganka odbija się w jego łysinie. Stłoczyliśmy się w cieniu fokmasztu, a Zippel zawołał żalonym głosem: - Balkenhol!

Kucharz podniósł głowę. Wyłupiastymi, ciemnymi oczyma z zaciekawieniem i nieufnością penetrował mrok.

- Balkenhol! – zawołał Zippel ponownie. Tym razem w jego głosie brzmiało przypochlebne błaganie.

Balkenhol odchrząknął. - Kto tam znowu? - spytał niepewnie.

- Możesz mi dać wiadro ciepłej wody? - zapytał Zippel.

- Nie - odpowiedział szybko Balkenhol, jak zawsze, kiedy go o coś prosił.

Przez chwilę panowała cisza. Myśleliśmy już, że Balkenhol nas zauważył, z takim wysiłkiem wpatrywał się w miejsce, gdzie staliśmy. Potem dodał: - Tak w ogóle, jeśli czegoś ode mnie chcesz, to wejdź do środka!

- Nie mogę – powiedział Zippel, a potem nagle zajęczał: - Moja noga, aua, moja noga...

Teraz w Balkenholu obudziła się ciekawość. Wstał, podszedł kołyszącym krokiem do drzwi i rozglądając się ostrożnie, wyszedł na pokład.

W następnej chwili stało się! Z ciemności wyskoczyły dwa cienie i rzuciły się na niego. Trzy skłębione postacie błyskawicznie zniknęły w cieniu zawieszonych na żurawiach łodzi ratunkowych. Stamtąd dobiegały plaskające dźwięki przypominające odgłosy niedzielnego tłuczenia kotletów przez Balkenhola. Pomiedzy uderzeniami słyszeliśmy stłumione, płaczliwe pojękiwanie: - Co was napadło? Czego ode mnie chcecie? Nic wam przecież nie zrobiłem!

- Co, nic nie zrobiłeś? - zadudnił czyjś głos. - Przez cały rejs karmiłeś nas świństwami!

Inny dołączył się: -I nasze mleko wychlałeś, zasańcu!

- Co, ja mleko? Nigdy w życiu!

- Nie łżyj, Jessen wszystko widział!

Teraz dopiero Balkenhol podniósł głos: - To wredne kłamstwo... wylizywałem tylko pustą puszkę, która wróciła od starego... zostały

może jakieś trzy krople! Ale tacy właśnie jesteście. Kiedy Węzołap skreśla mleko z jadłospisu, nie piśniece słówka. Jeszcze się płaszczycie: „Tak jest, panie kapitanie... ślicznie dziękuję, panie kapitanie!” i podstawiacie mu tyłki, żeby mógł was jeszcze raz kopnąć. Wtedy zabiera wam „ranną wachtę” - a może to ja ją wam zabrałem? A wy przychodzicie do mnie i chcecie mi spuścić baty. Idźcie lepiej na rufę i wygarnijcie staremu, co o tym myślicie, jeśli takie z was chojraki!

Od strony grotmasztu usłyszeliśmy pokasływanie. To Schönborn, którego postawiliśmy tam na warcie, dawał znaki. Zaraz potem rozległy się kroki i z ciemności wyłonił się Rudloff, trzeci oficer wachtowy.

- Co to? - zapytał z przyjaznym zdumieniem. - Nie mają wachty i nie śpią?

- Ach, panie Rudloff - odparł Krämer świętoszkowato. - Za piękna noc, żeby spać!

- Tak, naprawdę ładna - przytaknął Rudloff i poszedł dalej. Miał liryczne usposobienie i podejrzewaliśmy, że pisze wiersze. My sami zaś już dość narozkoszowaliśmy się pięknem nocy, więc wróciliśmy do swoich koi. Podczas następnej przedpołudniowej wachty mieliśmy trochę pracy na maszcie. Ja zajmowałem się górnym grotbramsłem, a Zippel stał obok mnie na pertach. Byliśmy sami, wysoko nad statkiem. Nagle pochylił się w moją stronę i zapytał: - Idziesz z nami? Schodzimy z pokładu w Pensacoli.

Przeraziłem się: - Co? Jak? Chcecie dać nogę?

Skinął głową i zaśmiał się: - Naturalnie, i prawie wszyscy się przyłączają. „Synagoga” opustoszeje, lawiza zresztą też. Stary zostanie sam i będzie mógł do woli wytrząsać sobie robaki z chleba.

Drugi oficer zagwizdał i musieliśmy zejść do brasowania. Myślałem bez przerwy o tym, co usłyszałem od Zippela. A więc chcieli uciekać? Po prostu wysiąść w Pensacoli? Mogłem to zrozumieć, prawdę mówiąc, sam też już chciałem wiać z pokładu, im prędzej tym lepiej. Spojrzałem na swoje dłonie, czerwone i spękane, przeżarte słoną wodą i obmacałem guzy, które wyskoczyły mi na karku od złego odżywiania - ciągle mięso, słone jak morska woda i nigdy żadnej zieleniny.

Zejść z pokładu? Dobrze! Ale dokąd? Co począć w obcym kraju, bez dokumentów, bez pieniędzy?

Po zmianie wachty przycupnęliśmy w kubryku jedząc, a ja wciąż miałem nadzieję, że ktoś zacznie o tym mówić. Ale wszyscy milczeli, albo rozmawiali o obojętnych sprawach.



Potem miałem wolne. Poszedłem na dziób i położyłem się na luku komory linowej. Dzień był słoneczny, niebo miało barwę ciemnego błękitu. Żagle zwisały luźno, tylko niekiedy poruszane podmuchem bryzy. Wydawały przy tym klaszczący dźwięk, jak gdyby fale rozbijały się o molo. Od tego odgłosu zrobiłem się senny.

Po chwili przyszedł Zippel i usiadł obok mnie. - No i jak, zastanowiłeś się? Idziesz z nami?

- A co chcecie robić na lądzie? - zapytałem.

- Zobaczysz - obiecał.

Próbowałem go podpuścić: - Więc sam jeszcze nie wiesz?

Pociągnął parę razy z fajki i rozejrzał się podejrzliwie dokoła. Potem pochylił się do mnie i wyszeptał: - Chłopie, to świetna sprawa! Stocks zna tam kilku farmerów, którzy ciągle potrzebują białych nadzorców. To jest człowieku życie! Jedziesz sobie przez pola... pod tobą pięćdziesięciu czarnuchów... albo i stu... pocą się i harują, a ty siedzisz sobie na koniku i mówisz tylko: nie obijać się dzieci! A na obiad jesz indyka z anansem i każdego ranka pijesz kakao... a dyżur przy stole pełnią czarnuchy. W nocy śpisz w jedwabnym łóżku z baldachimem, a czarnuchy trzymają wachetę...

Z zachwytu aż zapluł cybuch. Nie przerwałem mu ani jednym słowem. To co mówił, było jak dworcowy plakat reklamujący słoneczne Południe. Jedyłą plamkę na pięknym obrazku stanowił Stocks.

- A kto się jeszcze przyłączył oprócz ciebie i Stocksa? - zapytałem. Wyliczył pięć nazwisk. Wśród nich znalazł się także kucharz i Jahnke, chłopiec okrętowy, z którym przyszedłem na pokład.

Nie był to akurat kwiat załogi.

- To wszyscy? - zapytałem.

Zippel stracił humor. - Na razie tak, ale prawdopodobnie dojdzie jeszcze cała masa.

- Hmm...

- A co z tobą? - zapytał i odwrócił się, gotowy odejść.

Nie mogłem się jeszcze zdecydować. - Chcę to sobie jeszcze przemyśleć - odparłem.

Wtedy wzruszył ramionami i z wolna oddalił się. Widziałem, że był niezadowolony.

Leżałem i patrzyłem na fokmaszt, którego żagle wydymały się na wietrze, białe na tle ciemnobłękitnego nieba. Wciąż jeszcze nie mogłem się zdecydować. W końcu tyle się słyszało o ludziach, którym powiodło

się za oceanem. Nie, żeby od razu zostawać milionerem. Ale zrobić mały majątek w parę lat, takie rzeczy często się zdarzały. Jeśli zaś zostanę w marynarce, przez całe życie będę klepał biedę.

Dźwignąłem się i poszedłem do kubryku. „Synagoga” była pusta, drzwi stały otwarte na oścież. Tylko Krämer leżał na koi i chrapał.

Wyjąłem z szafki kartkę papieru i usiadłem przy stole. Przez otwarte drzwi widziałem reling, a za nim horyzont, gdzie niebo i woda zlewały się w srebrzystą mgiełkę.

Zacząłem pisać list do matki. „Kochana mammo, już wkrótce dopłyniemy do Ameryki. Rejs był długi, a życie marynarza jest zupełnie inne, niż to sobie wyobrażałem. Na naszym statku wygląda to tak: dużo pracy, mało chleba...”

Nagle na papier padł cień. Na progu stał Witaschek. Nie usłyszałem go wcześniej, stapał bezszelestnie w swoich butach z plecionki.

- Co tu robisz? - zapytał.

Zakryłem list dłonią. Podszedł do stołu i zabrał mi list, całkiem spokojnie i naturalnie, jakby to było oczywiste. Potem usiadł na ławie i zaczął czytać.

- Tak - powiedział. - No tak. Więc ty też. Właściwie to po tobie tego się nie spodziewałem, Prien.

Wpatrywał się we mnie bez przerwy jasnymi oczyma. Nie było to przyjemne spojrzenie.

- A to dlaczego? - wyjąkałem.

Machnął ręką. - Nie wygłupiaj się, chłopcze. Wiesz dobrze tak samo jak ja, co tu jest grane. Ale jedno chcę ci powiedzieć: porządny marynarz nie bawi się w coś takiego! Zgoda, karmili nas na tym rejsie świństwami. Zgoda, stary kutwił tym razem bezwstydnie. Ale żeby z tego powodu wszystko rzucać... żeglowanie i to wszystko...

Szerokim, kolistym ruchem wyciągnął ramię ku morzu, połyskującemu w południowym słońcu.

- Naprawdę nie czujesz, jaka to wielka rzecz?... Wyobraź sobie, że jest sztorm i nasz stary „Hamburg” w niego wchodzi! Wtedy musiałbyś zobaczyć Węzołapa, chłopie! Wtedy na mostku nie stoi nędzny sknera, tylko marynarz, chłop, który weźmie się za bary z każdą pogodą. Ale tacy jak Stocks tego w ogóle nie dostrzegają, a co dopiero Balkenhol w swoim brudnym kambuzie. Do tego brak im po prostu wyobraźni. Powiem ci coś jeszcze - przechylił się ku mnie i przy każdej sylabie uderzał pięścią, jak młotkiem w stół: - Od ciebie oczekuję, że nie będziesz się zadawał z tą paczką.

Wstał gwałtownie, aż ławka uderzyła z łoskotem o ścianę, i wściekły wyszedł z kubryku. Popatrzyłem za nim i nie dokończyłem listu.

W nocy wiatr zmienił się na południowo-zachodni, a rankiem poczuliśmy ląd. Był to obcy, silny zapach. Pachniało lasem ogrzanym słońcem. Pojawiły się olbrzymie, okrągłe meduzy, płynące wzdłuż rufy. Ich cienkie błony wydymały się na wietrze jak żagle.

O piątej nad ranem z bocianiego gniazda okrzyknięto ląd. W godzinę później widzieliśmy go już wszyscy: płaskie białe wybrzeże, lśniąca w blasku słońca. Zanim jednak, klucząc pod wiatr, wpłynęliśmy do zatoki i rzuciliśmy kotwicę na redzie w Pensacoli, zapadł już wieczór.

Od czasu rozmowy na pokrywie luku Zippel nie odzywał się już do mnie. Dopiero rankiem, po nocy na redzie, znowu mnie zaczepił. Staliśmy przed kabiną drugiego oficera, skąd mieliśmy wziąć zaliczkę przed zejściem na ląd. - No więc jak, idziesz dzisiaj z nami? - zapytał półgłosem.

Pokręciłem głową. Potem obaj spojrzeliśmy na ląd, każdy w inną stronę. Było mi przykro, bo mimo wszystko lubiłem Zippela. Nawet jeśli teraz znalazł się na zakręcie, to tak czy owak był dobrym kolegą.

W kabinie drugiego oficera czekało nas rozczarowanie. Marynarze dostali po trzy dolary, majtkowie po dwa, a chłopcy okrętowi w ogóle nic.

- Środek wychowawczy pana kapitana - drugi oficer uśmiechnął się szyderczo.

Po obiedzie wszyscy popłynęliśmy motorówką na ląd. Pensacola spała w jaskrawym południowym słońcu. Dziwne to było miasto. Wspaniałe biurowce stały obok lepierek i bud z blachy falistej, pomiędzy domami rozciągały się wielkie place zavalone gruzem i śmieciami. Po obu stronach ulicy rosły rachityczne palmy, pokryte warstwą białego kurzu, jak wszystko w mieście.

Włóczyłem się po ulicach i oglądałem sklepy. Zatrzymywałem się przed kawiarniami, gdzie pod markizami opaleni mężczyźni pocili się w koszulach z krótkimi rękawami. Jednak nie mogłem nigdzie wejść. Nie miałem pieniędzy.

Powoli zawróciłem do portu. Na długiej, prostej ulicy, która zdawała się prowadzić prosto do morza, zobaczyłem z daleka mały dwukołowy pojazd zaprzężony w muła, pełen ludzi. Już z daleka usłyszałem Ich okrzyki. Był to Stocks i jego kompania. Na koźle siedział żółtoskóry metys ze sztywno napomadowanymi wąsami i powoził, patrząc tępo przed siebie.

Kiedy przejeżdżali koło mnie, zaczęli wrzeszczeć i wywijać butelkami samogonu, ale nie zatrzymali się. Wóz był za mały, aby wszystkich pomieścić. Patrzyłem za nimi, aż zniknęli w obłoku białego kurzu.

W porcie długo czekałem na łódź płynącą na „Hamburg”. W końcu przyszedł nasz bosman i zabrał mnie ze sobą. - Co, Güntherku - zapytał życzliwie - nie poszczęściło się? Panie zażądały pewnie świadectwa konfirmacji? - I zaśmiał się, aż było mu widać czarne pieńki zębów.

Po wejściu na pokład poszedłem zaraz do kubryku. „Synagoga” była pusta, wszyscy wyszli. Statek, jakby uśpiony, kołysał się cicho na kotwicznym łańcuchu w takt oddechu morza. Wczołgałem się na koję i zaraz zasnąłem.

W środku nocy obudziłem się. Wilgotnogorący oddech owiał mi twarz, a ochrypły głos zaszeptał: - Obudź się, Günther, no obudź się!

To był Zippel. Śmierzący alkoholem, z twarzą czerwoną i wesołą jak dziecinnie balonik. Nawet w blasku małej lampy naftowej kołyszącej się pod sufitem, widoczna była jego radość.

- Güntherku, właśnie się ułatwiamy - wyszeptał, kiedy zobaczył, że się obudziłem. - Chciałem ci tylko szybko powiedzieć „cześć”, a poza tym...

Pochylił się, podniósł skrzynkę z okuciami z kości słoniowej i jednym ruchem postawił ją na moje stopy.

- Nie upchnąłem już tego w worku. Przynieś mi ją jutro do „Café Chiquita”, jutro o czwartej po południu, słyszysz?

- Ale...

Nie pozwolił mi dojść do słowa. - Cześć, mały - wybelkotał. - Jesteś dla mnie zafajdanym psem, bo zostajesz, ale tak czy owak jesteś moim przyjacielem! - I powtórzył głośno: Prien, jesteś moim przyjacielem!

- Cizza! - Wrzasnął z koi wściekły Witaschek.

Przez chwilę Zippel stał z głupim wyrazem twarzy, kołysząc głową jak cielak trafiony przez rzeźnika drewnianym młotem.

Potem odwrócił się i zataczając, przestąpił próg. Drzwi zostały otwarte.

Zeskoczyłem z koi i pognałem za nim. Ale ciemność już go pochłonęła. W nikłym świetle gwiazd dostrzegłem kilka krzątających się postaci, a na wantach, jak nadnaturalnej wielkości śliwki, wisały wypchane po brzegi marynarskie worki - bagaż uciekinierów.

Wlazłem z powrotem na koję, ale długo nie mogłem zasnąć.

Następnego ranka podczas apelu brakowało dziewięciu ludzi. Marynarza Stocksa, pięciu majtków i dwóch chłopców okrętowych. I kucharza Balkenhola.

Bosman, który miał nam przydzielać prace, wpadł w straszliwą wściekłość. Z rykiem przebiegał przez kabiny, zaglądnąwszy do koi i szafek. Ale nikogo więcej nie znalazł na kojach, a i szafki były puste.

Potem przydzielono nam prace. Osiemnastu ludziom zamiast dwudziestu siedmiu. Zadanie mieliśmy ciężkie: wyrzucić z ładowni miał, który podczas rejsu zbił się i stwardniał na kamień, tworząc zbędny balast. Musieliśmy rozbijać go kilofami, a potem wciągać na pokład w wielkich żelaznych kubłach.

Mniej więcej w połowie pracy pojawił się bosman. - Prien, do kapitana - polecił tonem pełnym uroczystego współczucia, jak pastor na pogrzebie.

Po raz pierwszy byłem wzywany do kapitana. Szedłem na rufę na miękkich nogach. Przed drzwiami parę razy zaczerpnąłem głęboko powietrza, zanim odważyłem się wejść.

Węzłap siedział za biurkiem i pisał. Nie odwrócił się, kiedy wszedłem i spokojnie kontynuował swoje zajęcie. Rozejrzałem się po salonie. Pomieszczenie nie było duże, ale bardzo przytulne. Stały w nim wyściełane skórą ławki, a ściany wyłożone ciemnobrązowym mahoniem połyskiwały jak świeże kasztany.

W końcu kapitan odłożył pióro i zwrócił się w moją stronę.

- Możesz usiąść, chłopcze - odezwał się przyjaźnie. Przycupnąłem na brzegu skórzanej sofy.

Wpadająca przez bulaj smuga światła oświetlała głowę kapitana i po raz pierwszy mogłem dokładnie mu się przyjrzeć.

Miał pociągłą i czerwoną twarz, a niebieskie oczy tkwiły głęboko w ciemnych oczodołach.

- Powiedz, Prien - zaczął kapitan. - Przyjaźnisz się z Ottonem Zippeltem?

Przerwał i spojrzał na mnie badawczo. Skinąłem tylko głową, nie mogąc wykrztusić słowa. Serce podskoczyło mi do gardła.

- A czy wiesz - ciągnął dalej rozwlekłym tonem - że dzisiaj w nocy Zippel razem z kilkoma innymi bezprawnie opuścił pokład?

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedziałem cicho.

Naraz kapitan wstał. Wyrósł przede mną jak wieża, szturchnął mnie chudym palcem w klatkę piersiową i krzyknął: - Gdzie oni są?!

Skuliłem się i musiałem kilkakrotnie przełknąć ślinę, zanim wyjąkałem: - Nie wiem, panie kapitanie. Kapitan z wolna usiadł na swoim krześle.

- Ach Prien, Prien - znowu powrócił do przyjemnego tonu jak na początku rozmowy - schodzisz na złą drogę. Kłamiesz, a przecież powinniśmy raczej mówić prawdę, mój synu!

Milczałem.

- A może roi ci się w twojej głupiej głowie - tu kapitan dwa razy puknął mnie twardym knykciem w czoło - że robisz coś dobrego dla zbłąkanych kolegów, nic nie mówiąc. Powinniśmy raczej pomyśleć o tym, co ich oczekuje na lądzie. Będą wyrzuceni z marynarki. W ich książeczkach wpisze się adnotację „dezercja”!... I jeśli zaczną tu na lądzie żebrać, Prien - złapią ich, skują razem łańcuchami i każą zamiatać ulice... Powinniśmy raczej o tym pomyśleć, Prien.

Faktycznie o tym pomyślałem: wyobraziłem sobie Zippela, wychudłego jak szkielet i zamiatającego ulicę przy wtórze brzęku łańcuchów. Ale milczałem.

Przemawiał do mnie jeszcze godzinę, i kiedy wychodziłem z jego salonu, moje ubranie kleiło się od potu. O naszym spotkaniu w „Chiquita” nie powiedziałem jednak ani słowa.

Na obiad mieliśmy tylko zimne dania, jako że nie było kucharza. Zaraz po posiłku poszedłem do bosmana i poprosiłem o pozwolenie zejścia na ląd.

- Chyba ci odbiło - stwierdził tylko. To rozstrzygało sprawę. Zszedłem więc znowu do ładowni i pomogłem wybierać balast.

Krótko po trzeciej pierwszy oficer odprowadził kapitana do trapu. Węzołap założył garnitur z surowego jedwabiu, na głowę nasadził biały hełm korkowy. Wyglądał surowo i uroczyście.

- Idzie złożyć meldunek policji portowej - oznajmił Krämer. Staliśmy przy relingu i obserwowaliśmy, jak odpływa motorówką. Od czwartej zacząłem się robić niespokojny. Nie mogłem przestać myśleć o Zippelu, czekającym na mnie w kawiarni „Chicuita”. Za każdym razem, kiedy wciągaliśmy kolejny kubeł na pokład, rzucałem okiem w stronę portu, czy nie ma go gdzieś na nabrzeżu. O szóstej był fajrant. Staliśmy przy relingu.

- Spójrz no tam - Krämer wskazał na łódź wiosłową, odbijającą z nabrzeża prosto w naszym kierunku. Wiosłował jakiś kolorowy a na

ławce sternika siedział Zippel w białym ubraniu, z założonymi ramionami i obserwował brunatnoskórego człowieka przy pracy. Wyglądał, jakby zdążył już daleko zejść.

Nagle zobaczyliśmy, że z portu wyskakuje motorówka. Również i ona skierowała się w naszą stronę. Z obu stron kilu ciągnęła potężne wąsy z białej piany. Na rufie stał wyprostowany jak struna Węzołap.

Odstęp między dwiema łodziami zmniejszał się z sekundy na sekundę. Ale Zippel niczego nie spostrzegł.

Przy relingu zebrała się tymczasem prawie cała załoga „Hamburga” i przypatrywała się widowisku. Staliśmy wszyscy jak skamieniały. Tylko Witaschek miał odwagę zamachać do Zippela i pokazać mu ruchem ręki, aby zawracał.

Ale Zippel zaślepiony euforią nie rozglądał się. A kiedy podpłynął na odległość głosu, zrobił z dłoni lejek wokół ust i wrzasnął na cały głos:

*- I'm free citizen of the United States!*

Węzołap ze swoją łodzią znajdował się już blisko. Przerażony warkotem motoru Zippel obejrzał się, a już w następnej chwili wisiał, wierzgając jak biały królik w wyciągniętej ręce myśliwego.

Zaraz potem motorówka dobiła do trapu. Węzołap wysiadł, nie wypuszczając z ręki karku Zippela i obaj błyskawicznie zniknęli w kapitańskiej kajucie na przednim pomoście.

Tego wieczoru nie zobaczyłem już Zippela. Wrócił do „synagogi”, kiedy już zasnąłem. „Przyjęcie powitalne” na rufie przeciągnęło się. Wszyscy chcieli się z nim przywitać: pierwszy, drugi i trzeci oficer, a na końcu i najwylewniej bosman.

Następnego dnia była niedziela, na dziesiątą wyznaczono nabożeństwo. Na ładzie odbywało się w każdą niedzielę, zaś na wodzie zawsze, kiedy morze było spokojne. Wszyscy musieli w nim uczestniczyć, takie niewierzący. Kapitan bardzo tego przestrzegał.

- To wschodni Fryzyczyk - Krämer skomentował to szyderczo. Odkąd zjedli św. Bonifacego, mają pobożność we krwi<sup>3</sup>.

Nabożeństwo rozpoczynało się pieśnią. Węzołap wyciągnął a futerału skrzypce i zdmuchnął z nich pył. Ze skupieniem nasmarował smyczek kalafonią, a potem oznajmił wolno i uroczyście: - Zaśpiewamy teraz<sup>3</sup> „Apostoł Niemiec”, św. Bonifacy został zamordowany w czasie pracy misyjnej przez pogańskich Fryzyczyków w roku 754 (przyp. tłum.).

pieśń numer sześćdziesiąt siedem! - Następnie oparł podbródek na skrzypcach i zaintonował wysokim, zachrypłym głosem: „Aż tu nas doprowadził Pan, w niezmiernej swej dobroci...”

Zippel stał obok mnie i śpiewał. Chwalił Boga krzywymi ustami, gdyż po powitaniu z bosmanem trochę spuchła mu twarz.



# 3

## AWARIA

Trzeciego września wypłynęliśmy z Pensacoli. Na pokładzie znajdowało się dwudziestu ludzi, nie licząc szarż. Z tych, co zeszli na ląd, powrócił jedynie Zippel. Był wczesny ranek. Słońce kryło się jeszcze za horyzontem. Podnieśliśmy kotwicę i zaśpiewaliśmy szantę o powrocie do domu. To najpiękniejsza z pieśni, na każdym rejsie śpiewa się ją tylko raz, wtedy, kiedy statek podnosi kotwicę przed powrotną drogą. Bosman intonował każdy wers, a potem wszyscy włączali się, śpiewając w rytm obrotów windy kotwicznej:

*Rolling home, rolling home*  
*Rolling home across the sea*  
*Rolling home to my Old Hamburg*  
*Rolling home, my land to thee!*

Postawiliśmy żagle, a parę godzin później Pensacola pozostała daleko za nami. Ledwie widoczna, odległa i nierzeczywista, jakbyśmy nigdy nie chodzili po jej zakurzonych ulicach.

I znowu byliśmy m morzu.

Pewnego ranka na pokładzie rozległy się dwa krótkie, twarde uderzenia. Bił dzwon okrętowy. Raz... jeszcze raz... a następnie coraz szybciej, coraz głośniejsze, aż dźwięki zlały się w przenikliwy huk.

Staliśmy z Lührmannem wysoko na pertach i podwijaliśmy górny grotmarsel.

- Ogień na statku! - krzyknął Lührmann, skoczył na wanty i jak pajak pomknął na dół.

Ruszyłem szybko za nim. Schodząc, starałem się dostrzec oznaki pożaru, ale nie widziałem niczego poza białymi płachtami wydymających się na wietrze żagli.

Pokład był pusty, jakby wymarły. Wszyscy zgromadzili się z przodu na dziobówce: Wężołap, pierwszy oficer i ci, którzy akurat nie mieli wachty. Z dziobówki wydobywał się czarny dym, rozplywając się małymi obłoczkami pomiędzy olinowaniem fokmasztu. Pobiegliśmy tam. Luk komory linowej był otwarty, z ciemnego otworu wypływał gęsty gryzący dym, kładąc się duszącym ciężarem na płucach.

- Niech to jasna cholera, pożar w komorze linowej - powiedział cicho Lührmann. Wężołap odwrócił się i zmierzył go karcącym spojrzeniem. Wszyscy stali bez słowa, patrząc w czarny otwór, z którego wypełzał dym. Harry Stoewer i dwaj marynarze trzymali linę, jej koniec nikał w komorze.

Potem z oparów na dole rozległ się ochryply głos: - Do góry!

Stoewer i ci dwaj pociągnęli za linę. Ciągnęli powoli i równomiernie. I tak samo powoli i równomiernie ponad krawędzią luku pojawiła się głowa, potem tułów, a w końcu na pokład z hałasem zważyło się całe ciało. To był Witaschek. Chwycili go, przenieśli na nawietrzną, i ułożyli na pokładzie. Zaraz po nim z komory linowej wyczołgał się Teyson, z zażawionymi oczami i coraz to szarpany atakami kaszlu.

Podbiegłem do Witaschka. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami. Wyglądał jak nieżywy.

Wężołap od razu rzucił się na Teysona: - Jak to wygląda, tam na dole? Czy ognisko pożaru jest duże?

- Chyba tak, panie kapitanie - wykasłał Teyson. Liny są rozżarzone do białości.

Stary zwrócił się do pierwszego oficera: - Panie Schade, niech pan spojrzy do ładowni. Musimy chyba usunąć worki z pszenicą z grodzi zderzeniowej.

Mówił tak flegmatycznie jak zawsze, tylko „s” wymawiał ostrzej niż zwykle.

W tym momencie Witaszek podniósł się. Ktoś wylał mu na głowę wiadro wody. Rozejrzał się zdezorientowany, a potem wykrztusił bezdźwięcznie: - Nafta! - I jeszcze raz, głośniejsze: - Nafta!

Wszyscy wiedzieliśmy, co miał na myśli. Wstrząsnął nami zimny dreszcz. W komorze linowej stało sześć dużych zbiorników pełnych nafty. Jeśli ogień na nie przeskoczy, pożar obejmie całą dziobówkę.

- Dajcie linę ratunkową, pójdę po te beczki - zdecydował się Teyson. Stał, muskularny i zyłasty, i spoglądał na nas bez słowa. Wcześniej nie zwracaliśmy na niego uwagi. Po odejściu Balkenhola przejął obowiązki kucharza, bo nikt inny się do tego nie kwapił.

- Wyciągnę beczki - powtórzył z przekonaniem, przepasując się liną ratunkową.

Owinęliśmy mu usta i nos mokrą chustką, która miała go chronić przed dymem, a potem z gaśnicą pianową pod pachą zniknął w ciemnym otworze komory linowej. Słyszeliśmy jego głos rozbrzmiewający wśród dymu i widzieliśmy, jak pierwszy oficer i bosman pochyleni wyciągają jedną barylkę za drugą. Potem zawołano nas do pompy. Ale pompa była zepsuta i żaglomistrz musiał szybko uszyć z płótna żaglowego buklaki do czerpania wody.

Kiedy powróciliśmy na dziób, właśnie wyciągnięto Teysona. Pojękiwał i miał twarz umorusaną czarną sadzą, a ubranie nadpalone i dymiące. Wszyscy zasypali go pytaniami, ale odepchnął ich i chwiejnym krokiem dopadł zawietrznej. Tam przerzucił ramiona przez reling i zwymiotował. Następnie opadł na kolana. Drugi oficer natychmiast był przy nim: - Co się dzieje, Teyson?

Teyson parę razy poruszył ustami jak wyciągnięta z wody ryba, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Potem wskazał na swoją nogę.

Drugi oficer wyciągnął nóż i szybkim cięciem rozciął nogawkę spodni Teysona. Noga była poparzona do czerwoności, pełna bąbli, tuż pod kolanem spękaną skórę pokrywała czarna skorupa.

- Trzeci stopień – stwierdził cicho drugi oficer. Potem odwrócił się do nas i krzyknął: - Nie stójcie tak i nie gapcie się! No już, brać go i nieść na rufę.

- Jeszcze chwilkę - Węzołap podszedł bliżej. - Udało się panu coś zdziałać gaśnicą?

Teyson pokręcił głową: - Ogień jest za silny - wyszeptał.

- Do gaszenia! - krzyknął Węzołap. Jego głos przetoczył się przez pokład jak trąbka bojowa.

I zaczęło się gaszenie.

To była potworna praca. Przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy ciągnęliśmy buklaki z wodą, opróżniając je do wielkiego lejka z żaglowego płótna, który żaglomistrz nałożył na otwór komory linowej. Potem biegliśmy z pustymi buklakami do relingu, napełnialiśmy je ponownie i znów zalewaliśmy ogień.

Nikt nie miał wolnej wachty, wszyscy musieli być na pokładzie. W przerwach między gaszeniem trzeba było wspinać się po wantach i mocować żagle, wiał bowiem silny wiatr i morze zrobiło się dość niespokojne.

Niekiedy przez pokład przelewały się fale, chłostając mokrymi uderzeniami nasze ciała. Przemoczone ubrania kleiły się do skóry. Nie mieliśmy czasu wejść na koję i przebrać się.

Napełniliśmy wodą komorę linową, a potem jeszcze bunkier kambuza i komorę łańcuchową, jako że ogień nadpalił grodzie. W końcu - późnym wieczorem następnego dnia - ugasiliśmy pożar.

Padliśmy gdzie który stał, jak puste worki. Zasnęliśmy na gołych deskach pokładu, na pokrywach luków, wszędzie tam, gdzie zmogło nas zmęczenie. Cały statek spał. Czuwało tylko dwóch: Jeden w bocianim gnieździe, drugi przy sterze.

Obudziło mnie trącenie butem w bok. Nade mną stał bosman.

- Chłopcze - powtarzał - chłopcze, wstawaj. Śpi drań, jak suseł! Spojrzałem na niego rozespany.

- Masz iść na rufę do pierwszego, Prien - oznajmił z naciskiem.

- Wstałem chwiejnie i poszedłem na rufę. Ze zmęczenia czułem się jak pijany.

Pierwszy siedział w swojej kajucie przy świetle lampy naftowej i czytał.

- Umiesz gotować, Prien? - zapytał.

Wiedziałem od razu, do czego zmierza. - Trochę - odpowiedziałem z wahaniem. - Właściwie to bardzo słabo.

- No, jak na kambuz, będzie to musiało wystarczyć, dopóki Teyson nie wydobrzeje - zauważył od niechcienia.

Zrobiłem kwaśną minę. Ten, kto chce zostać marynarzem, nie może być zachwycony funkcją kucharza.

- Dostaniesz wynagrodzenie majtka - kusił pierwszy - a Zippel może ci pomagać.

I tak obaj objęliśmy w posiadanie kambuz „Hamburga”.

Przyjąłem to z mieszanymi uczuciami, ale Zippel nie posiadał się wprost ze szczęścia. - Człowieku, teraz możemy wcinać, ile wlezie - stwierdził. I faktycznie nie odmawialiśmy sobie. Ale innym też nie żałowaliśmy. Naszą ambicją było prowadzenie najlepszej kuchni, jaka do tej pory istniała na „Hamburgu”.

Przejeźliśmy obowiązki w piątek. W piątki na żaglowcach je się solone mięso. To prastary obyczaj. Balkenhol i Teyson wrzucali po prostu kawałki do gorącej wody, a załoga musiała się martwić, jak sobie z tym poradzą zęby i żołądki. My jednak chcieliśmy czegoś więcej. Przekręciliśmy mięso przez maszynkę razem ze starym chlebem i przyrządziliśmy z niego klopsy.

Po posiłku przeszliśmy przez lawizę i „synagogę”, zbierając pochwały. - Od ostatniego udźca misjonarza nie jadłem nic lepszego - stwierdził Krämer, klepiąc się po brzuchu.

W sobotę na żaglowcach je się dorsza. My natomiast podaliśmy na stół pieczone zrazy i nasza popularność wzrosła niewspółmiernie.

W niedzielę na żaglowcach podaje się konserwowe mięso z czerwoną kapustą, a po nim pudding „Duży Jaś”. W magazynie było mięso, a także resztki chleba na pudding. Nie mogliśmy natomiast znaleźć czerwonej kapusty.

Wysłałem Zippela na rufę do izby chorych, gdzie Teyson wśród jęków leżał na swojej koi. Po chwili Zippel wrócił z wiadomością, że czerwona kapusta się skończyła i pozostała tylko biała.

Zacząłem obgryzać cybuch fajki. To byłaby nasza pierwsza wpadka, biała kapusta nie jest niedzielną potrawą.

- Niech to diabli - zmartwił się Zippel. - Dostaniemy jak nic kocowę. Nie miał złudzeń co do ludzkiej wdzięczności. Spróbujmy może coś z sokiem malinowym... - zaproponował.

Potrząsnąłem głową. - Nie starczy go. Nie... poczekaj... czekaj... mam! Idź do bosmana i poproś o minię. Jak zapyta po co, powiedz, że chcemy malować kambuz.

Twarz Zippela rozjaśniła się; gwiżdżąc przez zęby, popędził na rufę.

Kiedy wrócił, zrobiliśmy próbne barwienie w starej puszcze od konserw. Kapusta tak się zaczerwieniła, jak gdyby nigdy nie była biała.

Przy obiedzie dyżurni trzy razy musieli biegać po dokładkę. Tak bardzo obiad smakował załodze. My od początku nie jedliśmy tego, co reszta załogi, biorąc z zapasów to, na co akurat mieliśmy apetyt. Tej niedzieli były to szparagi, kakao i „Duży Jaś”.

Dzień był przepiękny, pogodny i doprawdy nie dawał żadnego powodu do choroby morskiej. A jednak w cztery godziny po obiedzie marynarz Schlegelberger podszedł do zawietrznej, przechylił się przez reling i zwrócił całą obiady do morza jak szczur lądowy przy sześciu w skali Beauforta.

Pół godziny później zajęte były wszystkie ubikacje w dziobówce, a przed ich drzwiami tłoczyli się niecierpliwi z porozpinanymi spodniami, bębniąc pięściami w drewniane drzwi.

Węzołap z zielonkawą, bladą twarzą chodził sztywno po pomoście. Co jakiś czas udawał się do budki, gdzie czekała złoto obramowana muszla klozetowa, wyłącznie do jego użytku. Minęło jeszcze pół godziny, a załoga tłoczyła się w kucki na wielkiej siatce pod bomkliwerem, zaopatrując w nawóz łąki wodorostów na dnie morza.

- Z pełną dupą na pełnym morzu - skomentował to Zippel i zachichotał.

Ale za chwilę śmiech uwiązł mu w gardle. Drzwi otworzyły się i przed nami stanął Węzołap.

- Bardzo wam tu wesoło w kambuzie - rzekł, przewiercając nas wzrokiem.

Byłem pewien, że od razu zauważył na stole garnek z kakao i puszkę do szparagach. Ale nic nie powiedział. Dwoma wielkimi krokami podszedł do paleniska i pochylił się, wężąc nad garnkami.

Naraz wetknął swój długi palec wskazujący w garnek z czerwoną kapustą, błyskawicznie się odwrócił i podstawił go nam pod nos.

- Co to jest? - wyszczał. Palec był czerwony.

- Minia - oznajmił Zippel takim tonem, jakby dodawanie minii do kapusty było najwzyczajniejszą w świecie praktyką.

Węzołap nic nie powiedział. Stał przed nami i trząsał się z wściekłości jak kociół pod wysokim ciśnieniem. Miałem wrażenie, że najchętniej stłukłby nas obu na kwaśne jabłko. Jestem przekonany, że tylko słabe wspomnienie przykazania miłości bliźniego uratowało nas przed straszliwym laniem.

- Koniec z tym! - wrzasnął. - Wracacie do kajuty i robicie to, co dawniej. Jutro o czwartej rano wachta!

Była to psia wachta, najgorsza ze wszystkich.

Wymknęliśmy się z kambuza. Stojąc w drzwiach, krzyknął jeszcze za nami: - Lepiej nie rozpowiadajcie o waszej głupocie! - i dodał: - Nikomu ani słowa. Zrozumiano?

I poszedł wielkimi krokami na rufę. Był mądrym człowiekiem. Za pomocą opium, oleju rycynowego i spokoju opanował sytuację w ciągu trzech dni.

Dziewiętnastego października weszliśmy do Falmouth. Był przejrzysty jesienny dzień, pełen słońca i wiatru. Dopłynęliśmy o poranku i rzuciliśmy kotwicę daleko od portu, gdyż postój na redzie kosztował.

Węzołap kazał się przewieźć łodzią na ląd. Powrócił wieczorem i wtedy dowiedzieliśmy się, że nasz ładunek idzie do Cork w Irlandii. Już następnego rana.

Nastrój na pokładzie był podły. Mieliśmy za sobą tygodnie rejsu, przez cały dzień staliśmy w pobliżu wybrzeża, podnosiliśmy i opuszczaliśmy kotwicę, a teraz żaden z nas nie mógł zejść na ląd? W nocy reje głośno skrzypiały na wietrze, a rano nasz stary żaglomistrz chodził z nosem na kwintę i opowiadał wszystkim po kolei, że duch statku kłął tej nocy jak szewc, rozszluszczony skapstwem Węzołapa, i że jeszcze zobaczymy, co się stanie.

Aż do południa mieliśmy dobry rejs. Wiatr wiał od rufy i płynęliśmy z prędkością około dziesięciu węzłów. Potem wiatr powoli zmienił się na południowo-zachodni, a na południowym niebie zaczęła rosnać bladosiwa ściana chmur. Słońce przygasło, wkrótce zasłoniły je gęste obłoki, kolory wyblakły. Wszystko zszarzało, morze też.

Wiatr zmienił się na południowy. Marszczył przed sobą coraz większe połacie wody, fale pokryły się siatką żył z białej piany, dygocąc od wstrzymywanej siły.

O czwartej zszedłem z wachty. Moi zmiennicy mieli na sobie płaszcze z impregnowanego płótna i wysokie buty. W kajucie wślizgnąłem się w duszne ciepło koi. O śnie jednak nie było co myśleć. Statek trzeszczał i dygotał, żagle furkotały, a między tymi dźwiękami słychać było szum morza i sapiące uderzenia wiatru.

Usłyszeliśmy przeraźliwy gwizdek trzeciego oficera, a po nim ochrypli ryk Stoewera:

- Gotowi przy fałach grotbombramsla... spuszczać!

Tupot nóg o pokład. Skrzypienie bloków, zgrzytanie łańcuchów.

Żaglomistrz był z nami w kajucie. - To do niego podobne - rzędził. Pod kapitanem Hilgendorffem coś takiego by się nie zdarzyło. Szkoda, że nie widzieliście chłopcy, jak opływał w sztorm Przyładek Horn. Nawet jednego płachetka żagla nie zwinęliśmy.

Nikt nie odpowiedział. Leżeliśmy na kojach i czekaliśmy na komendę: „Wolna wachta na pokład!” Nadejdzie na pewno. Musi nadejść. Wiedzieliśmy o tym wszyscy. I czekaliśmy na nią w napięciu pełni tępej złości.

- Nierozgarnięty naród - zamruczał żaglomistrz i wyszedł. Silny podmuch wiatru zatrzasnął za nim drzwi.

I znów przeraźliwy gwizd: - Gotowi przy fałach górnego grotbramsla...! - Znowu zgrzytanie łańcuchów, piszczenie bloków, potem łopotanie luźnego żagla na wietrze.

A potem huk, dudniący głucho jak wystrzał z armaty, po nim zaś ostry chlaszczący furkot. Wystawiłem głowę przez bulaj i rozejrzałem się. Niebo miało kolor ołowiu. Pokład spływał spienionymi strugami fal, a wysoko nad nami łopotały w powietrzu jak blade ptaki-olbrzymy, strzępy rozerwanego górnego grotbramsla.

Załoga zabierała się do spuszczenia grotstensztaksla.

- Uważajcie, stary zawoła nas do roboty przy grocie! – powiedział Krämer.

W następnej chwili nad naszymi głowami rozległy się znajome kroki i usłyszeliśmy senny głos: - Myślę, że musimy raczej wezwać wolną wachtę, panie Rudloff.

Wtedy klnąc, zwlekliśmy się z koi, zanim Stoewer zdążył wrzasnąć: Wolna wachta na pokład!

Na zewnątrz napinano liny ratownicze i przywiązywano łodzie. Węzołap stał na przednim mostku, jego szczupłą sylwetkę ledwie było widać na tle ciemnego nieba. Na głowie miał swoją białą, futrzaną czapkę.

- Teraz się zacznie - szepnął do mnie Krämer. – Pan pastor idzie na sanki.

- Wolna wachta do gejtawy i gordingów!

- Rzuciliśmy się biegiem do obu burt.

Potem rozpoczęła się praca. - Hej hoop... hej hoop... i jeszcze raz... prosto pod wiatr - intonował zapiewajło. Raz za razem napieraliśmy całą siłą na gordingi, aż piekły nas ręce i pot zlewał nam plecy. Grot bronił się jak zwierzę w potrzasku. Furkotał i ryczał. Zwinięcie go zajęło nam ponad pół godziny. Tymczasem bosman przysunął się do Witaschka: - Słuchaj Max, górny bramsel musi być jeszcze raz przymocowany. Weź ze sobą dwóch chłopaków!

Wrzeszczał na całe gardło, aby przekrzyczyć sztorm.

Witaschek skinął głową. - Prien i Staabs, za mną! - i już był na wantach.



Wspięliśmy się za nim. Tu na górze jeszcze mocniej czuło się sztorm. Maszty trzęsły się pod jego uderzeniami. Wanty miały się tam i z powrotem, a nasze impregnowane ubrania szeleściły jak suche liście.

W końcu byliśmy na górze. Powoli posuwaliśmy się po rejach. Statek przechylał się na prawą burtę. Wisieliśmy wprost nad oddaloną o trzydzieści metrów powierzchnią morza. Z ciemnej wody połyskiwała jasna piana fal przy boju.

Nie mogliśmy opanować żagla. Wciąż uderzały w niego poddmuchy wiatru, a on wydymał się i uderzał mokrym płótnem o nasze nogi. Wyglądało to tak, jakbyśmy złapali za szyję geś, która trzepocze wokół siebie skrzydłami.

Usłyszałem krzyk. Staabs wisiał na rei, jego stopy majtały bezradnie w powietrzu. Żagiel zrzucił go z perty.

Witaszek dopadł do niego kilka ma susami, chwycił za kołnierz i postawił znowu na percie, cienkiej linie zwisającej pod reją i dającej oparcie dla stóp.

Potem odesłał go na saling, i sami już dalej mocowaliśmy żagiel. O siódmej zapadł zmrok i wyglądało na to, że sztorm tylko czekał na nadejście nocy. Z każdą falą przez pokład przelewały się teraz ciężkie masy wody, zalewając wszystko i porywając każdy nie umocowany przedmiot. Wachta stała całą noc na przednim mostku, gdyż na pokładzie nikt już nie utrzymałby się.

O wolnej wachcie nie było teraz nawet co marzyć. Stary raz po raz wysyłał nas na wanty. Dwukrotnie tej nocy halsowaliśmy z prawej na lewą burtę, stawialiśmy i zwijaliśmy żagle. Ale rano mieliśmy do Corku osiem mil morskich więcej niż poprzedniego wieczoru.

Nie była to wina Wężołapa, zrobił wszystko, co mógł zrobić marynarz w jego sytuacji. Sztorm i pogoda były po prostu silniejsze.

Przez cały dzień krążyliśmy między Hook Point i Capel Head, ale nie mogliśmy nic poradzić na południowy sztorm. Przemoczeni do suchej nitki, zwisaliśmy na linach ratunkowych wycieńczeni jak pająki, zaskoczone jesiennym przymrozkiem.

O dziesiątej wieczorem Wężołap zwołał oficerów na radę morską. Ustalili, że zawiniemy do Dublina jako portu awaryjnego.

Postawiliśmy żagle na fokmaszcie i płynęliśmy całą noc, aby rankiem dotrzeć pod Dublin. Pogoda była mglista. Nisko zwisające chmury ciągnęły za sobą deszczowe treny, wszystko rozmazywało się w wilgotnej mgle, a sztorm cały czas trwał.

Okolo jedenastej dostrzeżliśmy długi rząd pali zaznaczających wejście do portu. Wyglądały jak topolowa aleja o mglistym poranku. Rozglądaliśmy się za okrętem sygnałowym, ale nie było go widać. Ani okrętu sygnałowego, ani boi.

Naraz z bocianiego gniazda rozległo się: - Boja po lewej burcie! – Z pomostu odpowiedział grzmiący głos wachtowego: - Kurs lewo na burt!

Stałem na śródokręciu z końcówką liny w dłoni. Nagle zobaczyłem, jak Węzołap kilkoma wielkimi susami skacze na pokład „synagogi”, krzycząc przy tym: - Podnieść kotwicę! Siadamy na mieliźnie...!

W tym momencie nastąpiło tępe uderzenie... statek zadrzał aż po czubki masztów. Stary ryknął: - Wszyscy na rufę! Zakładać kamizelki ratunkowe!

Znowu tępe uderzenie... i statek osiadł na mieliźnie targany przez morze we wszystkie strony. Przez pokład przewalały się fale, a żagle uderzały z hukiem o siebie. Fokmaszt chwiał się, jak gdyby miał w każdej chwili runąć powalony przez sztorm.

- Odciąć fały marsła! - ryknął stary.

Spojrzelśmy na fokmaszt. To tak, jakby polecił nam wspiać się na drzewo, które właśnie ścinają drwale.

- A co tam, srać na to - powiedział Krämer i z wolna zaczął wspinać się po wantach.

Patrzyliśmy, jak wisi na salingu marsła, mocno obejmując go nogami i jak wyciąga nóż. Zaraz potem liny runęły na pokład.

Znowu uderzenie od spodu... jeszcze jedno... długie, huczące, tępe dudnienie... statek był wolny. Pędził na ukos z prądem ku wybrzeżu.

Ochrypli okrzyk: - Statek znowu sterowny!!

- Do fokbrasów! Przygotować się do rzucenia kotwicy! – wrzasnął stary. „Hamburg” odwrócił się powoli i nabrał tempa. Statek był uratowany. Stary odetchnął głęboko. Usłyszeliśmy to wszyscy, bo zapomniał odjąć megafon od ust. Brzmiało to tak, jakby lokomotywa wypuszczała parę.

Na pokładzie pojawił się cieśla. - Na dziobie trzy stopy, w śródokręciu trzy i pół, na rufie trzy i pół stopy wody, panie kapitanie - zameldował głośno.

- Podnosi się? - spytał stary.

- Nie, wydaje się stać.

- Dobrze, za dziesięć minut znowu zmierzyć!

Powoli zbliżaliśmy się do brzegu wyrastającego ciemnym pasem z szarości deszczu.

- Frage, kotwice gotowe? - zawołał stary przez pokład.

Pierwszy oficer dał znak ze stewy dziobowej: - Gotowe!

Statek ociężale ustawił się w kierunku wiatru.

- Zwijać marsel! Rzucić kotwicę! - komenderował stary z mostku.

Żagle rzucały się tam i z powrotem z głośnym plaskaniem, łańcuch kotwicy zgrzytliwie nikał w głębinie.

I wtedy z dziobu rozległ się głos: - Łańcuch kotwiczny lewej burty zerwany!

- Rzucić kotwicę z prawej burty!

Szczekanie i zgrzyt nagle urwane. I w tej nagłej ciszy trzy krótkie, metaliczne uderzenia, jakby wielki młot opukiwał żelazne burty statku.

Staliśmy wszyscy jak skamieniali. Tylko żaglomistrz podniósł lament - To duch statku!

W tym momencie otworzyły się drzwi dziobówki. Zataczając się, wyszedł przez nie cieśla, postąpił kilka chwiejnych kroków na pokładzie i runął bez słowa.

Za nim nadbiegł Franz Böhler, krzycząc: - Zerwało łańcuch z lewej burty!

Zebraliśmy się wokół cieśli. Ktoś przyklęknął i podniósł jego głowę. Położyłem mu na czole mokrą szmatkę.

Wtedy spostrzegłem, że cieśla osiwiiał - w jednej chwili jego włosy zbieleły jak śnieg.

- Zerwał się łańcuch - wydyszał Franz Böhler. -Trzy ogniwa przebiły ścianę burty... trzy ogniwa, tuż obok głowy cieśli... trach, trach, trach, wszystkie wbiły się w ścianę. Patrzcie! - krzyknął nagle. - Ma zupełnie siwą głowę...!

- Przygotować raketnicę! Fleiderer, ładuj racę ratowniczą! - zawołał stary z rufy. Wszyscy drgnęliśmy. Raca ratownicza... raketnica... to już koniec.

„Hamburg” znowu odwrócił się w poprzek prądu, pędząc dziko ku wybrzeżu. Dał się nieść jak bezradna belka, miotany przez fale i smagany przez wiatr.

Trrach!... uderzenie, które wstrząsnęło całym kadłubem i znowu... ttrach...

Po raz drugi wyrzuciło nas na mieliznę!

Raketnica była już załadowana. Rakiety wzbily się wysoko nad reje, z których zwisały poszarpane żagle.

- Przygotować łodzie! Niech każdy weźmie swoje dokumenty!  
rozkazał stary.

Pobiegliśmy do kubryku. Nagle Jonas zatrzymał się w pół drogi, złapał mnie za ramię i pokazał na luk śródokręcia: - Szczury! - wyszeptał z przerażeniem.

Fala przyboju rozwalila pokrywę luku i oto wychodziły: olbrzymie, utuczone pszenicą z naszego ładunku, ze spiczastymi pyskami i długimi ogonami. Prawdziwie piekielny pomiot.

- Szczury! - powtórzył Jonas, tym razem głośno.

Jakby dał sygnał. Böhler, Jonas i Fleiderer rzucili się z wściekłym rykiem na zwierzęta i na pokładzie zaczęła się dzika pogoń. Kopali szczury ciężkimi wysokimi buciorami, ciskali w nie gwoździami, chwycili dźwignie z kabestanu i tłukli nimi wokół jakby oszaleli. Można by sądzić, że cała nasza tłumiona złość z powodu bezradności, cała rozpacz ostatnich nocy i dni wyladowywała się teraz, w tym polowaniu. W końcu wszyscy jak w amoku zaczęliśmy gonić za szczurami.

Było już późne popołudnie, prawie piąta godzina. Wody przyplywu wznosiły się. Pojawiły się znowu silniejsze fale przyboju i powoli zapadał zmrok.

Fleiderer trafił drągiem szczura. Złapał go za ogon i podniósł wysoko. Zwierzę jeszcze żyło. Piszczalo przeraźliwie i cienko, prawie ludzkim głosem. Piszczalo i piszczało, próbując się uwolnić i ukąsić Fleiderera w rękę, aż ten wyrzucił je za burtę.

Wtedy usłyszeliśmy, jak stary pyta cieśnię: - Ile wody w statku?

A po dłuższej chwili z dziobu rozległ się głos: - Na dziobie cztery stopy, w śródokręciu cztery i pół.

Krótko po piątej do burty statku podплыła łódź ratunkowa z Kingstown i zabrała nas na pokład. Wcześniej słyszeliśmy, jak jej silnik pyrkocze w ciemnościach.

Stary siedział na stewie dziobowej i patrzyłem mu prosto w twarz. Zacisnął wargi i wpatrywał się nieporuszony we wrak „Hamburga”. Między kolanami trzymał chronometr i miał woskowobiałą twarz.

Kiedy dotarliśmy do Dublina, była już noc. Wieziono nas przez ciemne ulice obcego miasta i zakwaterowano w przytułku Armii Zbawienia. Nie podawano tam alkoholu, tylko herbatę i kanapki. Wcześniej członkowie Armii Zbawienia zaśpiewali pobożną pieśń, a my razem z nimi. Nie znaliśmy tekstu, melodia była jednak taka sama, jak w jednej z naszych kabestanowych szant. Śpiewaliśmy więc ze złożonymi

dłońmi: „Czyś widział tę łajbę, co przyszła z Mombasy, ho ho a ho. A maszty ma krzywe jak szypra kulasy, ho ho a ho!”

Następnego dnia sztorm ucichł i mogliśmy podpłynąć do „Hamburga”. Statek wyglądał kiepsko. Nadbudówki na pokładzie były porozbijane przez fale, a w kubryku woda stała po kostki.

Przez cały dzień i noc opróżnialiśmy statek z wody ręcznymi pompami. Potem, kiedy wilgotna pszenica zaczęła pęcznieć, targaliśmy worki na pokład, rozcinaliśmy je i wysypywaliśmy zboże do morza. Było tego prawie trzydzieści cztery tysiące worków, wystarczająco dużo, aby nakarmić cały pułk głodnych.

I tak tkwiliśmy sześć tygodni pod Dublinem. W mieście zyskaliśmy sobie dużą popularność, a to z powodu naszej pobożności. Członkowie Armii Zbawienia wszędzie bowiem rozslawili nasz żarliwy śpiew. Poza tym byliśmy Niemcami, a każdy wróg Anglii jest przyjacielem Irlandczyka. W małych kinach na widok niemieckiego wojska rozlegały się oklaski, a futrzane czapy brytyjskiej Gwardii witano gwizdami. Już wtedy, w roku 1925<sup>4</sup>.

Po sześciu tygodniach los naszego „Hamburga” został przesądzony. Statek uznano za nie nadający się już do remontu!

Węzołap poleciał Hamburga samolotem, aby złożyć sprawozdanie armatorowi. Nas zaś osiem dni później zabrano na pokład „Lützowa” i przewieziono do Bremerhaven. Pasażerowie trzeciej klasy - marynarze bez statku.

W Bremerhaven rozeszliśmy się. Tylko Harry Stoewer, Witaschek i ja trzymaliśmy się razem.

Chcieliśmy bowiem razem zamustrować na statek w hamburskim Urzędzie Morskim.

Dotarliśmy tam nazajutrz w południe, w ponury grudniowy dzień. Następnego dnia była Wigilia. Piechotą poszliśmy na ulicę Admiralicji, przy której znajdował się Urząd Morski.

W urzędzie paliło się już światło. Za barierką siedział mały, łysy człowieczek. Kiedy weszliśmy, uniósł głowę i natychmiast ją opuścił pisząc dalej. Siedzący w głębi ubrany na czarno mężczyzna wstał i zbliżył się do nas. To był Węzołap.

- Powinniśmy sobie raczej jeszcze raz uścisnąć dłoń na pożegnanie powiedział, wyciągając ku nam swoją chudą prawicę. Ukłoniliśmy się. A potem odebraliśmy nasze papiery.

<sup>4</sup> Punkt kulminacyjny tej sympatii nastąpił w 1945 r., kiedy to Irlandia jako jedyny kraj europejski wystosowała depeszę kondolencyjną na wieść o śmierci Hitlera (przyj. tłum.).

Za drzwiami Witaschek, ani trochę nie wzruszony, skomentował:

- Znowu wykpił się tanim kosztem. Wolałbym już szklanę grogu!  
Następnie udaliśmy się do armatora po zapłatę. Najpierw pieniądze dostał Stoewer, potem Witaschek, a potem przysła koleją na mnie.

- Jest pan nam jeszcze winien pięć marek siedemdziesiąt fenigów - oznajmił urzędnik.

- Co proszę?

- Mówię, że jest pan nam jeszcze winien pięć marek siedemdziesiąt fenigów - powtórzył urzędnik. Był to energiczny młody mężczyzna, który chciał się nas szybko pozbyć.

- Jak to możliwe?

- Proszę, niech pan sam przeczyta - podsunął mi jakiś papier.

Był to rachunek wystawiony chłopcu okrętowemu Güntherowi Prienowi własną ręką Wężołapa. Zaczynał się od pary butów z cholewami za czterdzieści pięć marek, po czym następowała długa kolumna: pakiety robocze, papierosy, każdy drobiazg, jaki pobrałem od starego na pokładzie.

Gapiłem się w papier bez słowa.

- Niezłe ceny - stwierdził Witaschek. - Na ładzie mógłbyś za to wykupić całą kantyne.

Zaśmiał się. Mnie natomiast nie było specjalnie do śmiechu. Po to pracowałem przez cały rok... niedojadałem... marzłem... harowałem, aż mi się porobiły pęcherze na rękach... więc po to!

- A jak mam teraz dojechać do domu? - spytałem, trzęsąc się ze złości.

- Armator jest gotowy zapłacić za pana koszt biletu czwartej klasy odpowiedział urzędnik wspaniałomyślnie.

- Wy zasmarkane sukinsyny... - zacząłem.

Ale Stoewer położył mi na ramieniu szeroką łapę: - Trzymaj język za zębami, chłopcze, weź pieniądze i chodź. Nic więcej od tych obesrańców nie dostaniesz.

Podpisałem więc i poszliśmy

- No, głowa do góry Güntherku - pocieszał mnie Witaschek na schodach. - Pójdźmy teraz na jednego, a ty z nami.

-Stawiam ci - Stoewer klepnął się po kieszeni, aż zabrzęczały srebrne monety.

- Ja też - dodał Witaschek.

Marynarz po wypłacie to wielki pan. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, Stoewer gwizdnięciem przywołał taksówkę i pojechaliśmy we trójkę do St. Pauli. Najpierw, by obejrzeć damski boks w „Grosse Freiheit”. Tego chciał Witaschek.

Ale dziewczyny były jak na jego gust za chude, więc ruszyliśmy do ujeżdżalni.

Leżała ona tylko parę kroków dalej na tej samej ulicy. Harry Stoewer nalegał jednak, aby portier w liberii ze złotymi galonami wezwał dla nas taksówkę. Nie pójdzie ani kroku piechotą, dopóki będzie miał jeszcze feniga w kieszeni.

W ujeżdżalni, dzień przed Wigilią, też nic się nie działo. Pojechaliśmy do „Lejka”, a potem do „Alcazara”. Wszędzie piliśmy po dwa lub trzy grogi. - Barrrdzo gorrrące - zamawiał Harry Stoewer głosem Wężołapa.

Na koniec wylądowaliśmy na czarnej sofie u Herminy Hansen. Witaschek siedział po prawej, Stoewer po lewej, a ja w środku. Piliśmy, aż po policzkach ciekły nam alkoholowe łzy, a Harry Stoewer bełkotał: - Jeszcze jeden rejs, Prien, i będę miał dość pieniędzy. Wtedy kupię sobie „Gwiazdę Dawida” przy Davidstrasse. Wiesz, na dole, koło portu. To kopalnia złota. I zostanę szynkarzem. A jak wpadniesz kiedyś do mnie, dostaniesz u starego Harry'ego tyle piwa i grogu gratis, aż wpadniesz pod stół. Mówię ci to teraz, i za to wypijemy jeszcze jednego. Halo, panienko...!

Zaspana dziewczyna podskoczyła za bufetem i przyniosła trzy nowe porcje wody na grog. U Herminy Hansen rum stał bowiem na stole. A my piliśmy dalej, niestrudzeni.

Gdzieś około szóstej szklanki Stoewer wyciągnął swój gwizdek i zagwizdał, aż wszyscy w lokalu podskoczyli ze strachu. Chciał zapłacić, bo o czwartej odjeżdżał mój pociąg.

Przyjechała taksówka i zabrała nas na dworzec

Ramię w ramię wdrapaliśmy się na peron i chodziliśmy po nim tam i z powrotem w mrocznej szarzyźnie przedświt. Pociąg stał już przy peronie okna były oświetlone. Obiecaliśmy sobie, że nigdy się nie rozstaniemy i że zawsze będziemy razem pływać.

Kolejarz w czerwonej czapce dał sygnał do odjazdu. Zdążyłem akurat dowlec się do przedziału, kiedy pociąg ruszył.

Stoewer i Witaschek stali jednak wciąż ciasno objęci na peronie i śpiewali, aż hala dworcowa dudniła echem:

*Rolling home, rolling home*  
*Rolling home across the sea*  
*Rolling home to my old Hamburg*  
*Rolling home, my land, to thee!*

Jest to, jak już powiedziałem, najpiękniejsza ze wszystkich pieśni, a w każdym rejsie śpiewa się ją tylko raz: przy podnoszeniu kotwicy przed drogą do macierzystego portu.



# 4

## W HUKU WYCIĄGAREK I W SADZY KOMINÓW

Kilka tygodni później byłem znowu w Hamburgu i zamustrowałem na „Pfalzburg”. Ten wielki frachtowiec pływał z drobnicą na zachodnie wybrzeże Ameryki Południowej.

- Niezły apartament sobie wyszukałeś, nie ma co - powiedział sternik żagłówki przewożącej mnie na statek. Wskazywał przy tym na brzydki, czarny parowiec, z którego sterczały jeden obok drugiego bomby ładownicze.

- Jak wszystkie pójdą w ruch... przy czterdziestu stopniach w cieniu... ho, ho... - kiwał z powątpiewaniem głową.

Zaraz potem podpłynęliśmy do burty. Zarzuciłem marynarski worek na ramię i wspiąłem się po trapie. U góry powitał mnie niewysoki, barczysty mężczyzna o okrągłej twarzy ze spłaszczonym nosem. Był to bosman „Pfalzburga”.

- Czego tu szukasz? - zapytał.

Pokazałem mu świadectwo z „Hamburga”. Przeczytał i podniósł brwi.  
- Tylko nie pokazuj tego tutaj nikomu! - ostrzegł.

- Dlaczego nie? - spytałem.

Wzruszył ramionami. - Możesz iść od razu na dziób – zamiast odpowiedzi wskazał kciukiem kwatery załogi.

Kubryk był pusty. Ciasne, niskie pomieszczenie. Na środku sześć piętrowych koi ustawionych po dwie. Żelazne łóżka z drucianymi sprężynami rozpiętymi na ramach, jak w koszarach. Przy ścianach blaszane szafki, a na suficie dwie lampy bez abażurów, rzucające kredowobiałe światło. Palily się zawsze, dzień i noc.

Rozejrzałem się. Wszędzie na kojach wisiła brudna bielizna. Szafki zamknięto na kłódki zdjęte z worków marynarskich.

Nie mogłem nie pomyśleć o „synagodze” na „Hamburgu”. Jak tam było przytulnie! Wszystko z drewna. Koję wpuszczone w ściany. I nikt nigdy nie zamykał na klucz swojej szafki. Na żaglowcach wśród kolegów nie zdarzają się kradzieże.

Do pomieszczenia wszedł młody chłopak z obydwoma rękami w kieszeniach i papierosem tkwiącym krzywo w kąciu ust. Zatrzymał się i zmierzył mnie ciekawym spojrzeniem: - Skąd tu się wziąłeś?

- Zamustrowałem dzisiaj jako marynarz.

- Ach tak - powiedział obojętnie.

- A ty? - zapytałem.

- Jestem tu chłopcem okrętowym.

Od razu przypominałem sobie powitanie na „Hamburgu” wtedy, kiedy jeszcze byłem jungą. Zwróciłem się do niego:

- Powiedz, wolno ci tu „tykać” wszystkim marynarzy?

Oparł się nonszalancko plecami o koję i patrzył, jak się rozpakowuję: - No jasne.

- Niech będzie, ja w każdym razie sobie tego nie życzę. Kiedy byłem chłopcem okrętowym, też musiałem mówić do marynarzy per „pan”.

Wyjął papierosa z ust i spojrzał na mnie wielkimi oczami. Potem odwrócił się i wyszedł z kubryku. Na zewnątrz trzy razy zapał jak kogut i pobiegł na rufę, stukając drewnianymi chodakami.

Pół godziny później rozległo się wołanie na posiłek. Poszedłem do mesy. Było to małe pomieszczenie z ławkami przy ścianach i wąskim stołem pośrodku. Siedziało przy nim czternastu chłopów, przeważnie starsi wiekiem. Z markotnymi twarzami siorbali zupę. Wśród nich znajdował się także chłopiec okrętowy.

Wcisnąłem się między dwóch ludzi na wolne miejsce. Naprzeciwko mnie siedział olbrzymi mężczyzna z podwiniętymi rękawami koszuli. Kiedy się usadowiłem, podniósł na moment głowę i przyjrzał mi się. - Aha, nowy pan marynarz - powiedział i mlaskając, jadł dalej. Chłopiec okrętowy zachichotał ze swego miejsca.

Przyjrzałem się mężczyźnie bliżej. Wyglądał jak brutal: szeroka twarz, czoło potężnie sklepione nad małymi, nisko osadzonymi oczkami i prawdziwie wilcze szczęki. Z wycięcia koszuli wyglądał grotmaszt wytatuowanego na błękitno żaglowca, zaś na nagim przedramieniu można było podziwiać wizerunek splecionej w uścisku parki poruszającej się frywolnie w takt gry mięśni.

Był to Maylund, znany także jako „Beachcomber<sup>5</sup>”, absolutny władca w kubryku dziobowym.

- Ty, skąd jesteś? - zapytał mój sąsiad, mały człowieczek o twarzy jak suszona morela.

- Z pełnorejowca „Hamburg”.

- Aha, to znaczy, że jesteś „a.o.”?

Od razu zwróciły się na mnie spojrzenia wszystkich. Teraz zrozumiałem, co bosman miał na myśli. Aspiranci na oficerów najwyraźniej nie byli lubiani na tym pokładzie.

- Tak, jestem - odrzekłem.

Wszyscy milczeli i jedli dalej. W powietrzu wisiało jednak jakieś wrogie napięcie.

Po posiłku, kiedy wychodziłem z mesy, Beachcomber złapał mnie za ramię. - Słuchaj no, u nas nie ma ceregieli z tytułami i mową per „pan” - My tu wszyscy jesteśmy ulepieni z jednej gliny, rozumiano?

I nie czekając na moją odpowiedź, ciężkim krokiem wytoczył się na zewnątrz - prawdziwa góra mięsa i kości.

Tydzień później wyszliśmy w morze. A potem zaczął się dzień powszedni, ogłupiający dzień powszedni na frachtowcu: obstukiwanie rdzy i szorowanie pokładu.

Kiedy wyczyściliśmy rufę, dziób zdążył się już zabrudzić.

Jeszcze gorsza była rdza. Pojawiała się wszędzie: na kominie, dziobie i na wszystkich sprzętach, jak pleśń na wilgotnym chlebie.

<sup>5</sup> dosł. ang. „czesać plaży”, określenie fali morskiej zalewającej brzeg lub człowieka żyjącego ze zbierania dóbr wyrzuconych przez morze (przyp. tłum.).

Obstukiwaliśmy ją młotkami i zdrapywaliśmy skrobaczkami. Następnie oczyszczone miejsce szorowaliśmy jeszcze drucianymi szczotkami, smarowaliśmy pokostem, potem szła na to minia i na końcu farba.

Od rana do wieczora wyglądało to tak: skrobanie, oliwienie, nanoszenie minii i farby. Już prawie przestałem wierzyć, że jestem marynarzem. Czułem się jak fabryczny robotnik w wielkiej żelaznej fabryce, która przypadkiem zabląkała się na morze. Cieszyłem się, jeśli od czasu do czasu miałem wachtę za sterem, albo na oku. To były przynajmniej marynarskie prace.

Pewnego dnia obstukiwałem rdzę z komina, w miejscu położonym tuż nad pokładem, o powierzchni jakichś dwóch metrów kwadratowych. Klęczałem i waliłem młotkiem w resztki farby i grubą brązowy nalot.

Nagle usłyszałem za sobą głos: - Bo ci się zrobią odciski na kolanach!

Odwróciłem się. Nade mną stał Beachcomber. Nie odzywałem się i pracowałem dalej.

Podszedł do mnie całkiem blisko: - Coś ci chcę powiedzieć - zaczął. Nie mam nic przeciwko temu, że się wdzięczysz do zwierzchności. Co do mnie, możesz pierwszemu wejść w dupę, tak że ci tylko stopy będą wystawać. Pewnie musisz to robić jako aspirant.

Było to wierutne kłamstwo. Wykonywałem swoją pracę najlepiej jak umiałem. Ale przed nikim się nie płaszczyłem. Wiedział o tym tak samo dobrze jak i ja.

Podniosłem się i popatrzyłem na niego. W rękę wciąż trzymałem młotek do obstukiwania rdzy. Uśmiechnął się tylko z góry. Przewyższał mnie o półtorej głowy.

- Nie nadymaj się - dodał. - Co do mnie, możesz robić, co chcesz. Ale jedno chcę ci powiedzieć: mam już dość wysłuchiwania ciągle: „trochę żwawiej, Maylund” - zaczął przedrzeźniać głos pierwszego oficera. - „Przenadzący zrobić dwa razy tyle w tym samym czasie”. Mam tego dość, rozumiesz? I inni też. Rzygać się nam chce od tego. Wszyscy tu na pokładzie jesteśmy wolnymi robotnikami. I ani myślimy wypruć z siebie flaki dla tej bandy na górze.

Strzyknął tuż pod moje nogi śliną brązową od tytoniu. Zachowałem zupełny spokój. Próbowali mnie zaszczuć, tak to wyglądało. Tylko spokojem i rozsądkiem da się coś na to poradzić.

- No dobrze - zacząłem. - Ale czy przemyślałeś to w swojej kapuścianej głowie? Żądasz pełnej zapłaty i migasz się od pełnej pracy? To jest naciąganie, mój miły. A jeśli sami zaczynacie naciągać, to jak możecie się uskarżać na pracodawców?

Wybałuszył na mnie oczy i parę razy zamrugał. Moje słowa nie dotarły do niego. Widziałem to wyraźnie. Odszedł, pomrukując coś. Ale od tego czasu zostawił mnie w spokoju podczas pracy.

Wszystko szło dalej spokojnie swoim trybem, aż dopłynęliśmy do piekła. Piekłem było zachodnie wybrzeże Ameryki Południowej. Upał dochodzący do 45 stopni w cieniu, a potem jeszcze załadunek i wyładunek dniem i nocą. Czasami jednego dnia zawijaliśmy do czterech portów. Nie było już wolnych wacht. Na pokładzie potrzebna była każda para rąk. Z miejscowych krajobrazów zobaczyłem niewiele. Jeśli naprawdę trafiało się wolne pół godziny, padaliśmy jak wory na koje i zasypialiśmy, nie zdążywszy się rozebrać.

Pewnej nocy w San Antonio miałem wachtę pod pokładem. Wszyscy zeszli na ląd i upijali się gdzieś w mieście. Poszedłbym chętnie z nimi, ale przydzielono mi służbę.

Stałem pod pokładem w ładowni oświetlonej jaskrawym światłem reflektorów. Robotnicy portowi, brunatnoskórzy metysi ze zlanymi potem plecami wchodzili gęsiego do pomieszczenia. Ładowali butelki z winem z Leixoes na grzbiet i znikali w ciemnym otworze drzwi. Byli to zręczni chłopcy i należało piekielnie uważać, żeby przy okazji coś im się nie przykleiło do rąk. Na pokładzie mieliśmy bowiem wiele drobnicy i ładownia przypominała dom towarowy: wodne klozety i święte obrazki, zyletki i narzędzia, wszystko obok siebie.

O północy, podczas przerwy na posiłek, robotnicy portowi przycupnęli na nabrzeżu, a ja wyszedłem na pokład.

Panowała tu cisza i chłód. Patrzyłem na miasto, które leżało przede mną, skrząc się tysiącem światła. Było zbudowane na wzniesieniu, a za nim ciągnęły się mroczne góry. Wyglądało to tak, jak gdyby lśniąca fala miasta uderzała o czarną ścianę gór.

Na nabrzeżu zrobiło się głośno. Wróciła załoga. Wszyscy ostro zatankowali i hałasowali co niemiara, wchodząc po trapie na pokład.

Na czele szedł Beachcomber. Kiedy mnie zobaczył, zataczając się, ruszył na mnie.

- A ty gówniarzu, znowu masz wachtę pod pokładem. Znowu się podlizujesz kierownictwu, gnojku?

- Sam jesteś gnojek - odpowiedziałem.

Przez moment patrzył na mnie ogłupiały: - Co powiedziałeś?

- To samo co ty.

Parę razy wypuścił ze świstem powietrze przez nos. Staliśmy teraz naprzeciwko siebie, inni otoczyli nas półokręgiem. W matowym świetle pokładowych latarni nie można było rozpoznać twarzy. Ale czułem, że na wszystkich maluje się wrogość.

Od strony dziobu rozległy się kroki. To trzeci oficer robił obchód.

- Chodź z nami do kubryku, jeśli nie masz pietra – powiedział Beachcomber.

Przerzucił kurtkę przez ramię i poszedł przodem. Inni za nim.

Zastanawiałem się przez chwilę: awantura musiała kiedyś nadejść. A jeśli tak, to lepiej teraz.

Kiedy dotarłem do rufy, musiałem przepychać się przez tłum, jak bokser, który wchodzi na ring. Wszyscy stali w wąskim przejściu między mesą a kubrykiem. Drzwi kubryku otwarto, a przejście miało pewnie pełnić funkcję widowni.

W kubryku było tylko dwóch ludzi: Martens leżał na koi i spał, a Beachcomber stał i podwijał rękawy koszuli, przecząc przy tym mięśnie przedramienia.

Poszedłem do swojej koi, ściągnąłem powoli kurtkę i powiesiłem ją na żelaznym słupku.

Potem stanęliśmy naprzeciwko siebie: 190 funtów żywej wagi przeciwko 130.

- Zlej go na kwaśne jabłko, Bully - zawołał jakiś junga z widowni. Inni milczeli.

Przyjąłem postawę bokerską, zginając ramiona i zacząłem pracować nogami. On stał przede mną jak kłoc. Jego pięści, ciężkie jak kowalskie młoty, zwisały luźno. Chciał mi pewnie pokazać, że się nie boi.

- No już, podejdź - zadrwił.

Zrobiłem wypad i uderzyłem go prawym prostym. Nie trafiłem jednak w punkt nokautowy na czubku podbródka.

Potrząsnął szybko kilka razy głową, jakby chciał wytrząsnąć wodę z uszu, a potem zaczął się z wolna zbliżać. Przejście między kojami a ścianą było bardzo wąskie, nie dawało wiele miejsca na unik.

Zamachnął się i uderzył. Obserwowałem, jak zbliża się cios i odskoczyłem na bok. Pięść zdążyła jeszcze musnąć moje ucho. Poczulem ostry ból, krew spłynęła mi ciepłą strużką po szyi. Teraz chciał mnie chwycić. Zbliżał się, wyciągając łapska.

Odskoczyłem do tyłu. Miałem tylko jedno wyjście: chwyt za kciuk!

Złapałem go za prawy kciuk i wygiąłem go z całej siły do tyłu.

Upadł na kolana i jęknął: - Puść mnie, psie!

Nacisnąłem mocniej. Gdybym puścił, stłukłby mnie na miazgę. Wiedziałem o tym dobrze.

Beachcomber dyszał. Na czoło wystąpiły mu krople potu. - Puść! Cisnąłem, ile sił. Wtem rozległ się głośny trzask... kciuk był złamany.

- Auuu... - zawył. A potem zmienionym głosem: - Człowieku, Prien, puść! Już nie mogę!

Puściłem kciuk. Dla pewności postąpiłem kilka kroków do tyłu. Ale on pozostał w kucki na podłodze, masując uszkodzony kciuk. Jak wielu siłaczy, nie najlepiej znosił ból.

Inni weszli do kubryku i położyli się na kojach. Niewiele rozmawiali.

Podszedłem do szafki i przejrzałem się w lustrze. Siła uderzenia rozerwała ucho do połowy. Przycisnąłem do rany chusteczkę i pobiegłem na dziób do wachtowego, żeby mnie obandażował.

- Człowieku, jak to zrobiłeś? - zapytał trzeci.

- A, przewróciłem się na skrzynię - zamruczałem.

Zaraz po mnie nadszedł Beachcomber, wyciągając złamany kciuk. Upadłem - wychrypiał.

Trzeci uśmiechnął się krzywo. - Czy to nie dziwne: Prien wali głową o skrzynię i rozrywa sobie ucho, a ty się przewracasz i łamiesz kciuk. Do rana wymyślcie coś innego, bo jeśli opowiecie te bajki staremu, będzie chryja nie lada.

Kiedy wróciłem z obwiązaną głową do kubryku, przywitało mnie złowrogie milczenie. Udawałem, że niczego nie zauważam i przebrałem się. Po dziesięciu minutach przyszedł Beacheomber. Jego obandażowany biały kciuk sterczał jak woskowa świeca. - Prien nie puścił pary na śródokręciu - oznajmił głośno. Tym samym znowu nastał pokój.

Przez następne dni traktowaliśmy siebie z wyszukaną uprzejmością. A w dwa tygodnie później, w Taltal, Beachcomber zszedł nocą z pokładu, zabierając ze sobą dwóch innych. Nagle nasza gośćnica nabrała chęć podróży, namiętność, której nie oprze się żaden beachcomber. Musiał dotrzeć do Diamantino i pojechał tam, mimo że stracił przy tym całą wypłatę.

Jednak od tego dnia miałem spokój. Wprawdzie nie polubili mnie szczególnie i pozostałem w ich oczach „a.o.”. Ale byłem także mężczyzną, który walczył z Beachcomberem, i przynajmniej to respektowali.

# 5

## PRZED URZĘDEM MORSKIM

Rozległo się pukanie do drzwi - Panie Prien, proszę pójść na mostek, do pana Busslera - zawiadomił mnie steward, nie wchodząc.

Zeskoczyłem z koi i podbiegłem do umywalki. - Zaraz będę! zawołałem, odkręcając kurek z ciepłą wodą. Przez okno mogłem obserwować część pokładu spacerowego „San Francisco”. Na dworze świeciło słońce, wszystko wyglądało czysto i przyjaźnie. Takie tu w kabinie: wielkie lustro, sofa obita *épingle* i szeroka koja, a pod nią liczne szufladki.

Dało się żyć.

Nałożyłem granatowy mundur z wąskimi złotymi paskami na rękawach i poprawiłem czapkę przed lustrem.

Byłem czwartym oficerem na „San Francisco”... Egzamin na sternika i patent radiooperatora w kieszeni... pierwsze szczeble drabiny miałem już za sobą.

Skinąłem do siebie głową w lustrze i wyszedłem. Pierwszy oficer przywitał mnie na mostku. - Panie Prien, proszę pojechać do Amerykańskiego Biura Imigracyjnego przy Dworcu Głównym. Musimy odebrać stamtąd pasażerów.



Zasalutowałem i odszedłem. Na przystani wziąłem taksówkę. Biuro Imigracyjne było drewnianym barakiem. Panował tu ruch jak w hali dworcowej, tragarze krzyczeli, a przez tłum mężczyzn, kobiet i dzieci niekiedy przemykali lekarze w rozwianych białych kitlach.

Po raz pierwszy miałem kontakt z pasażerami. Otoczyli mnie jak gzy spoconego konia i zasypali głupimi pytaniami. - Czy na pokładzie odbywają się też tańce i czy oficerowie biorą w nich udział - zapytała starsza pani z błyskiem w oczach. Pewien silnie wyperfumowany mężczyzna chciał wiedzieć, czy jesteśmy dostatecznie zabezpieczeni przed zatonięciem.

Wreszcie udało mi się załadować całe towarzystwo, około pięćdziesięcioro ludzi, do omnibusu, i ruszyliśmy do portu. Na pokładzie przekazałem rozgęgane stado stewardom i poszedłem na mostek złożyć meldunek.

Spotkałem tam trzeciego oficera. Nie widziałem go jeszcze na pokładzie. Krótka prezentacja: Prien - Schwarzer.

- *Your peoples aboard*, panie Prien? - zapytał życzliwie. - Zawsze mamy tu osobliwy bukiet ludzkich typów. Musi pan się tylko wystrzegać kobiet. Są cholernie skłonne do przytulania się na pełnym morzu! Mam swoje doświadczenia.

Mogłem się tylko zdziwić w duchu. Z perkatym nosem i uszami jak talerze Schwarzer nie wyglądał zbyt uwodzicielsko.

W tym momencie na mostku pojawił się niski gruby mężczyzna, bardzo elegancki, w ciemnym płaszczu, meloniku i jasnych getrach. Był to kapitan. Stałem na baczność i złożyłem meldunek.

Krótkie, badawcze spojrzenie małych, szarych oczu. Wymamrotane pod nosem: „Dobrze, panie Prien, dziękuję” i już znikł w swojej kajucie.

- Potrafi nieźle dać w kość, jeszcze pan zobaczy - wyjaśnił Schwarzer półgłosem. - Pozycja słońca, pozycja gwiazd, dziennik okrętowy, kontrola bagażu, wachta radiowa... tak, my oficerowie nie mamy z nim łatwo.

Spacerowaliśmy tam i z powrotem po mostku. Na pokładzie stali pasażerowie okutani w grube płaszcze i spoglądali na nas. Od czasu do czasu patrzyliśmy na nich z góry i czuliśmy się bajecznie. On miał wtedy dwadzieścia trzy lata, ja dwadzieścia jeden.

Jedenastego marca wypłynęliśmy z Hamburga. Noc była zimna i szara, w powietrzu wisiał śnieg. Kiedy tuż przed czwartą pełniłem psią wachtę na mostku, zaczęła się zadymka. Klębiła się taka mgła, że ledwo widziałem dłoń przed oczami.

Płynęliśmy w górę Wezery i znajdowaliśmy się mniej więcej na wysokości latarni morskiej w Hoheweg. Statek posuwał się połową mocy, róg mgłowy odzywał się w coraz krótszych odstępach.

Bussler, pierwszy oficer, stał na mostku obok pilota. Zastanawiali się, czy nie lepiej byłoby od razu rzucić kotwicę.

- Niech pan pobiegnie na dziób, Prien i przygotujcie się z cieślą do rzucenia kotwicy! - zawołał do mnie pierwszy

Zbiegłem na dół po schodach i popędziłem na dziób. Pokład był pusty i ciemny, nie paliła się żadna lampa. Ryk rogu mgłowego coraz to rozlegał się poprzez zawieję.

Zabębniłem pięściami w drzwi lawizy i zawołałem cieślę. Czekałem dobrą chwilę, zanim wyszedł. W rękę trzymał latarnię i jeszcze nie do końca się rozbudził.

Przeszliśmy do kotwicy z prawej burty. Cieśla poświecił, a ja schyliłem się. Nagle zobaczyłem przed nami światło, wielkie białe światło prosto na naszym kursie. Odwróciłem się błyskawicznie i krzyknąłem, ile tchu: - Ogień z przodu po prawej burcie! - Nie wiedziałem, czy słyszą mnie na mostku, bo róg mgłowy trąbił bez przerwy.

Światło zbliżało się, było teraz oddalone co najwyżej o pięćset metrów. Niemożliwe, żebym zdążył jeszcze dobiec do mostku! Zawołałem jeszcze raz ze wszystkich sił: - Ogień z przodu po prawej burcie!

Przede mną wyrósł czarny cień: dyżurny z posterunku obserwacyjnego.

- Szybko, do kubryków! - krzyknąłem do niego. - Obudźcie wszystkich! - Pobiegł, ile sił w nogach.

Z mostku rozległ się głos Busslera: - Prawo na burt! - potem przeraźliwy, świdrujący dźwięk parowego gwizdka. Ale światło nie usuwało się, leżało cały czas wprost na naszym kursie.

Przez owiewkę słyszałem, jak oko budzi załogę: - Wyskakiwać z koi, czwarty oficer kazał. Wyskakiwać z koi, komu życie miłe.

W następnej sekundzie wyrosła przede mną olbrzymia czarna ściana.

Potem nastąpiło uderzenie, które powaliło mnie na ziemię. Jednocześnie usłyszałem podobny do grzmotu huk żelaza zderzającego się z żelazem.

Statek przechylił się silnie na prawą burtę. Krótkie komendy z mostku:

- Obie maszyny stop! Obie maszyny cała wstecz. Lewo na burt!

„San Francisco” odwrócił się ociężale i przepłynął wzdłuż wysokiej burty drugiego statku. Z góry świeciły na nas tysiące bulajów. A zaraz potem obcy statek zniknął w śnieżnej zawiei za naszą rufą jak zjawia.

Zbiegłem na dół, żeby zbadać szkody. Ściany jednego kubryku zostały rozerwane, komora linowa zmiądzona. Przez popękane płyty wdzierał się z wyciem wiatr. Ale nikt nie był ranny - graniczyło to z cudem.

Kiedy wróciłem na dziób, kotwica prawej burty właśnie zanurzała się w wodzie. Pobiegłem przez pokład na mostek.

Drzwi kabin były pootwierane, zdenerwowani pasażerowie wyskakiwali na pokład. Piskliwy kobiecy głos krzyczał: - Pomocy Arturze, toniemy! - Głęboki bas odpowiadał na to: - Cicho bądź kochanie, przecież umiem pływać.

Kapitan stał wysoko w kabinie nawigacyjnej, właśnie wyszedł z łóżka. Był chory, głowę miał rozpaloną od gorączki.

- To nie widział pan tego statku wcześniej? - napadł na mnie.

- Nie, panie kapitanie.

- Zauważył pan, jak się nazywał ten statek? - Nie, panie kapitanie.

Zmełł w ustach przekleństwo: - Ach, ci uczeni absolwenci!

- Widział pan gdzie jest dziura? - zapytał pierwszy oficer. - Wszystko nad poziomem wody, panie Bussler.

Kapitan podszedł do bulaja i zaczął bębnić palcami o szyby. - Więc chociaż to zobaczył - zamruczał.

- Proszę spróbować ustalić nazwę drugiego uczestnika kolizji, panie Prien - polecił pierwszy.

Zasalutowałem, pierwszy odsalutował, natomiast kapitan udał, że nie widzi mojego pozdrowienia.

Na dole, w radiokabinie, zasiadłem do klawiszy.

„C. Q. - C. Q.”, nadałem, „do wszystkich stacji. Tu motorowiec ‘San Francisco’. Przed chwilą miałem kolizje pod Hoheweg. Proszę o podanie nazwy drugiego uczestnika kolizji...”

Nasadziłem słuchawki i czekałem.

Bez odpowiedzi.

Potem słabe trzaski w eterze: „Tu statek ratowniczy ‘Seefalke’. Idę z prędkością maksymalną z Bremerhaven. Potrzebujecie pomocy?”

„Nie potrzebujemy pomocy”, odtelegrafowałem. Na to tylko czekały te sępy marynarki, pomyślałem, odholować nas i zainkasować połowę wartości statku jako wynagrodzenie za „ratunek”.

Czekałem. W końcu w słuchawkach znowu zatrzeszczało: sygnał z „Karlsruhe”, parowca towarzystwa Lloyda.

„Miałem z wami kolizje, proszę czekać.”

Długa przerwa.

Żeby tylko nic się nie stało, myślałem. Stary był wściekły i to wyraźnie na mnie. Ale dlaczego właśnie na mnie?

I znowu znaki alfabetem Morse'a: „Do 'San Francisco'. Nie potrzebujemy pomocy”. Podpis: „Karlsruhe”.

Dzięki Bogu! Podskoczyłem, zerwałem słuchawki i wybiegłem.

Tymczasem pasażerowie powychodzili z kabin. Okutani w futra stali w grupkach na pokładzie.

Jeden z nich, wyperfumowany grubas z czarnymi, migdałowymi oczami zatrzymał mnie:

- Czy to pan jest czwartym oficerem?

- Tak, panie...

Nie uznał za konieczne przedstawić się. - Jeśli tak, to chcę panu coś powiedzieć - kontynuował - słyszałem wszystko, młody człowieku, wszystko! To najbardziej niewiarygodna rzecz, jaka mi się do tej pory przytrafiła!

Mówił coraz głośniejszym i coraz bardziej nerwowo. Wokół nas zebrała się gromada ludzi.

- Kazał pan budzić załogę - zwrócił się do stojących wokół gapiów. - I wiecie co, moi państwo? „Niech każdy wstaje, komu życie miłe” -tak powiedział!

- Przepraszam bardzo, nie powiedziałem tego!

- Co, chce mi pan insynuować kłamstwo? Moi państwo, wyobraźcie sobie tylko: kiedy statek jest w niebezpieczeństwie, budzi się załogę. A my, pasażerowie, możemy po prostu iść na dno!

Z ciemności rozległ się pełen oburzenia gwar. Grubas zdobył sobie audytorium. Był śpiewakiem operowych jak się później dowiedziałem.

- Ładne obyczaje tu panują, nie ma co. To, że oficer musi wytrzymać do końca, i że obowiązkiem kapitana jest zatonać wraz ze statkiem, o tym pewnie nic panu nie wiadomo, młody człowieku, co?

Ach, jak chętnie wałnąłbym go w trzęsącą się jak galareta twarz! Ponieważ jednak pasażer jest na statku gościem, odpowiedziałem tylko:

- Mój panie, jeśli sądzi pan, że ma pan powody do zażalenia, proszę zwrócić się bezpośrednio do kapitana. - Zostawiłem go z tą informacją i poszedłem na mostek.

- Melduję posłusznie, panie kapitanie, że nazwa drugiego uczestnika kolizji brzmi „Karlsruhe”. Statek na szczęście nie potrzebuje pomocy.

Powoli zwrócił do mnie wielką głowę i odezwał się ze złością:

- Na szczęście? I jeszcze się pan pewnie z tego cieszy? Gdyby pan bardziej uważał, całe to świństwo by się w ogóle nie zdarzyło!

- Nie widzę żadnej swojej winy, panie kapitanie.

Popatrzył na mnie ostro, potem wstał bez słowa i podeszedł do drzwi. Na progu odwrócił się jeszcze raz:

- O pańskiej winie orzeknie Urząd Morski - powiedział i zatrzasnął z hukiem drzwi za sobą.

Poczułem się, jakby ktoś drewnianym młotem walnął mnie w czaszkę.

- Myśli pan, że ta historia trafi przed Urząd Morski, panie Bussler? - zwróciłem się do pierwszego.

Ten wzruszył ramionami: - Możliwe.

- I co wtedy?

- Wtedy może pan być spokojny - stwierdził z gorzką ironią. - Panowie zza biurka już znajdą kozła ofiarnego. O mało co, mnie się też by coś takiego przytrafiło. Na zachodnim wybrzeżu USA. W nocy przepływała tam koło nas tratwa. Wie pan, jedna z tych wielkich konstrukcji z pni drzew, które spływają po Missisipi. Trzeszczała i skrzypiała na falach, a rano okazało się nagle, że ponoć przepłynęliśmy obok wraku, że rozbitkowie głośno lamentowali i wołali o pomoc. Od razu zgłosiło się pięciu czy sześciu pasażerów, którzy to podobno wyraźnie słyszeli. Gdyby przypadkiem palacz nie stał na wolnej wachcie przy relingu i nie przysiągł potem, że to naprawdę była tratwa, mieliby mnie w garści.

Aż mi zaschło w gardle. - A gdybym został uznany za winnego, jaka czekałaby mnie wtedy kara?

- Czy ja wiem? - zastanowił się niechętnie. - W najgorszym razie odebranie patentu.

Nie rozmawialiśmy dłużej. Staliśmy obok siebie i patrzyliśmy prosto w noc, która rozciągała się przed nami, czarna i bezgwiezdna. Utrata patentu - pomyślałem - koniec kariery... tyle lat harówki... i na koniec oficer bez patentu. To jeszcze mniej niż marynarz. Myśli takie dręczyły mnie coraz mocniej.

O świcie podnieśliśmy kotwicę, a koło ósmej wpłynęliśmy do Bremy.

Kiedy po zakończonej wachcie wracałem przez pokład do kabiny, witały mnie nieżyczliwe spojrzenia pasażerów. Jakaś mała dziewczynka podeszła i zapytała ze współczuciem: Pójdzie pan teraz do więzienia?

W Bremie fachowcy otaksowali szkodę. Opiewała na trzydzieści pięć tysięcy marek. Po naprawie mogliśmy kontynuować rejs.

Nie była to dla mnie przyjemna podróż. Stary unikał rozmów ze mną. Traktował mnie z chłodnym lekceważeniem, które raniło mocniej niż głośnie zarzuty.

Dlatego zdumiałem się, kiedy pewnej nocy wezwał mnie do siebie na mostek. Staliśmy pod San Francisco, a statek spowijała mgła, jakbyśmy płynęli przez mokrą watę.

Stary stał u góry w kabinie nawigacyjnej. Miał zasepioną minę, jak rolnik oglądający swoje wysuszone pola.

- Zna się pan na radionamierzaniu? - zapytał.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Proszę ustalić naszą pozycję.

Wyszedłem na mostek i wykonałem namierzenie własne. Róg mgłowy statku dźwięczał w krótkich odstępach. Ale z białej mgły przed nami nie nadchodziła żadna odpowiedź, mimo że płynęliśmy najbardziej uczęszczanym szlakiem parowców na Zachodnim Wybrzeżu.

Zakończyłem namierzenie, wróciłem do kabiny nawigacyjnej i naniósłem wynik. Kapitan wszedł zaraz za mną i spojrzał mi przez ramię na mapę.

- Robi pan jakieś głupoty - odezwał się grubiańsko. - Nasza pozycja powinna być tu - i puknął palcem wskazującym w miejsce położone bardziej na zachód.

Nic nie odpowiedziałem.

- No, dalej, niech pan już schodzi i bierze namierzenie obce.

- Tak jest, panie kapitanie.

Pięknie, pomyślałem, skoro mi nie ufasz, niech inni powiedzą ci to samo.

Zszedłem do radiokabiny i dałem się namierzyć przez najbliższą stację na lądzie. Nowe miejsce leżało jeszcze bardziej na wschód niż to ustalone przeze mnie.

Kapitan czekał w kabinie nawigacyjnej. Kiedy złożyłem meldunek, wybuchnął: - Zupełnie pan rozum stracił? Już sam zdrowy rozsądek musi panu podpowiadać, że to się nie zgadza! - Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w mapę. - To przez to, że pańskie namierzenie własne było złe. Niech pan jeszcze raz namierzy!

Namierzyłem jeszcze raz.

Nowe miejsce odpowiadało dokładnie temu, które ustaliłem przy pierwszym namierzaniu.

Kapitan milczał. Z założonymi za siebie rękami chodził w kółko po kabinie, jego buty stukwały głośno o deski pokładu.

- Będę płynął według namierzania obcego - wyrzucił z siebie.

- Wtedy za dwie godziny utkniemy w łajnie - ostrzegłem.

Zatrzymał się: - A jeśli zostaną przy pańskim namiarze, to najpierw miniemy cel, a potem też utkniemy w łajnie.

Wiedziałem, że nie mam nic do stracenia. - Panie kapitanie, proponuję, abyśmy popłynęli najpierw według mojego zamiaru - powiedziałem spokojnie - a potem może pan przecież popłynąć docelowo.

Wybałuszył na mnie oczy jak podrażniony buldog.

- No dobrze - odparł w końcu. - Ale jeśli statek utknie w łajnie, to dopiero wtedy pan mnie pozna. Załatwię pana przed Urzędem Morskim na cacy.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Zostałem sam w kabinie nawigacyjnej. Na zewnątrz mgła otaczała nas murem, a na moje sygnały nie nadchodziła wciąż żadna odpowiedź. Czułem się cholernie niewyraźnie. Gdyby teraz coś się nie udało, byłbym ugotowany. Bo w to, że stary spełni swoją obietnicę, nie wątpiłem ani przez chwilę.

Po plecach zaczął mi sływać pot.

Pół godziny później zameldowałem: - Do kapitana: czas na żeglugę docelową! - Zjawił się po chwili.

- Nowy kurs czterdzieści dwa stopnie, do żeglugi docelowej.

- Dobrze, kurs czterdzieści dwa stopnie - potwierdził zimnym i spokojnym głosem, nie patrząc na mnie. Potem odszedł.

Jeśli mój zamiar się zgadzał, musieliśmy być teraz w pobliżu wybrzeża i w każdej chwili mogła pojawić się łódź pilota. Ale nic się nie pojawiało. Tylko noc i mgła.

Przez drzwi wetknął głowę wachtowy.

- Oko melduje pięć krótkich dźwięków przed nami - zawiadomił. Mówił cicho, aby nie zagłuszyć sygnału.

Poszedłem na mostek. Słuchaliśmy obaj. Mijały sekundy. Nagle usłyszeliśmy sygnał z przodu, od strony lewej burty, całkiem jeszcze słaby i daleki.

O dziesięć kroków dalej stał kapitan, bez ruchu. Jak ciemny posąg we mgle.

- Panie kapitanie, pilot przed nami po lewej - szepnąłem. Głos drżał mi lekko, był to bowiem mój najpiękniejszy moment na „San Francisco”

- Ma pan mnie za głuchego? - spytał - Słyszałem to już dawno.  
Wróciłem do kabiny nawigacyjnej. Stary szedł za mną krok w krok.  
- Niech pan od razu zejdzie na dół i przyjmie pilota - polecił. A gdy już wychodziłem, dodał niechętnie: - No, dobrze pan to zrobił.

Była to najwyższa pochwała, jaką kiedykolwiek usłyszałem z jego ust.

Od tego czasu stał się dla mnie miłszy. A kiedy w drodze powrotnej byliśmy oddaleni od wybrzeża o jakieś 120 mil morskich, odesłał mnie z mostku. Zabronił mi pełnić wachty i przez trzy dni musiałem bawić się w pasażera, abym był świeży i wypoczęty na wypadek, gdyby trzeba było znowu wykonać radionamierzenie.

Mimo tego wszystkiego strach przed Urzędem Morskim pozostał. Bussler wprawdzie uważał, że w ogóle nie dojdzie do rozprawy. W końcu nikt nie został zabity ani ranny.

Kiedy dotarliśmy do Hamburga, rzuciłem się do przeglądania poczty. Nic znalazłem żadnego wezwania. Także kapitan i pierwszy oficer niczego nie otrzymali.

Odetchnąłem z ulgą. Ale wieczorem na pokład wkroczył kapitan Schumacher z dyrekcji. Wraz z naszym starym zniknęli w kajucie, a kiedy z niej wyszli, stary rzucił, przechodząc obok mnie:

- Za trzy dni rozprawa w Urzędzie Morskim w Bremerhaven, Prien. Tej nocy miałem wachtę. I dobrze, bo i tak nie zmrzyłbym oka.

O dziewiątej wszedł na pokład dyżurny oficer straży portowej, stary człowiek z łysiną i siwą brodą. Siedzieliśmy razem w pustej mesie, zamówiłem dla niego grog i parę kanapek z szynką.

Opowiedział, że był kiedyś kapitanem statku dwa razy większego niż nasz. Przez dwadzieścia lat. A teraz, na starość, został zredukowany, z pensją 180 marek na miesiąc.

Zapytał, czy może wziąć jedną kanapkę dla tony, a gdy przytaknąłem, zawinął ją starannie i schował do kieszeni, uśmiechając się z zakłopotaniem.

Odwróciłem się. Tak nisko upadł - a jak nisko upadnę ja? Za trzy dni oczekiwała mnie rozprawa przed Urzędem Morskim - Teraz nam dadzą popalić - skomentował wcześniej Bussler tę wiadomość.

Trzy dni później czekaliśmy w długim, ciemnym korytarzu starego gmachu Urzędu Morskiego w Bremerhaven. Kapitan, pierwszy oficer, ja i kilku członków załogi. Zaraz po nas przyszli oficerowie z „Karlsruhe”.

Zimna wymiana ukłonów.



Staliśmy na wprost wielkich brązowych drzwi sali posiedzeń. Ludzie z „Karlsruhe” zatrzymali się przy najbliższym oknie. Na dworze było pochmurno i w przejściu panował półmrok.

- No, Prien, do patentu ci się chyba nie dobiorą - pocieszał stary.

Obok nas przeszedł tyczkowały mężczyzna ze spiczastą bródką, w okularach. Wszyscy pozdrowili go. Podziękował z rezerwą i zniknął w sali posiedzeń.

- To komisarz - wyjaśnił kapitan - coś jak prokurator w sądzie.

Za wysokim chudzielcem nadeszło kilku panów z aktówkami, rumianych i zadowolonych z siebie.

- To ławnicy - dodał kapitan. - Wszyscy z Bremy i okolic.

- Marne widoki dla nas, hamburczyków - orzekł Bussler ponuro.

Na samym końcu, jak kret do nory, wbiegł do sali posiedzeń niski mężczyzna: przewodniczący. Zaraz potem woźny zaprosił nas do środka. Duża skromnie urządzona sala. Za stołem przewodniczący z ławnikami. Na lewo od niego komisarz jako przedstawiciel państwa.

Podeszliśmy do stołu, podając swoje patenty i książeczki marynarskie.

- Obyśmy je tylko dostali z powrotem — szepnął do mnie Bussler.

Wreszcie pozwolono nam usiąść.

Przewodniczący odczytał formułę otwierającą rozprawę. Jako pierwszy był przesłuchiwany kapitan „Karlsruhe”.

Mówił bardzo zdecydowanie. Wyjaśnił, że „Karlsruhe” rzuciło kotwicę z powodu złej pogody i uszkodzonej maszyny. Poza tym podjął wszystkie przepisowe działania: dzwon okrętowy bił w krótkich odstępach czasu, a kiedy zbliżaliśmy się do statku, kazał dać sygnał o niebezpieczeństwie.

Skłonił się i wrócił na miejsce, pozostawiając wspaniałe wrażenie.

Przyszła kolej na naszego starego. Nie zeznał za wiele. W momencie kolizji leżał w łóżku z wysoką gorączką.

- Tak, tak - przerwał komisarz. - To może powinien był pan zatrudnić innego kapitana?

- Nie mogłem wcześniej przewidzieć grypy - odparł szorstko nasz stary. Następnie wrócił na miejsce.

Pierwsza rundę wygrało „Karlsruhe”.

Wezwano Busslera.

Następny będę ja, pomyślałem. Czulem, jak przesłuchanie podpełza do mnie coraz bliżej.

Zasyпали naszego pierwszego oficera gradem ostrych pytań. Czemu nie rzucił kotwicy, kiedy pogorszyła się pogoda? Odparł, że byłoby to niemożliwe na środku toru wodnego. Spytali, czemu nie zwolnił tempa. Odrzekł, że płynęliśmy połową mocy.

- Połowa mocy to za mało - wtrącił komisarz. - Powinien pan być przejść „wolno naprzód”.

Bussler milczał.

- Co pan zrobił potem?

- Wysłałem czwartego oficera na dziób, aby przygotował kotwicę.

- Kto jest czwartym oficerem?

Wstałem. Ustalono moje personalia.

- Poszedł pan zatem z panem Busslerem na mostek – stwierdził komisarz. Przy każdym słowie jak dzięcioł stukał złotym ołówkiem o blat stołu.

- Tak jest.

- O której to było? - Tuż przed czwartą.

- Ile minut przed czwartą mniej więcej?

To była pułapka! Czułem to instynktownie, ale na próżno wysyłałem się, aby odgadnąć, do czego zmierzał.

- Około trzech do czterech minut - odpowiedziałem z wahaniem.

- Aha! - Jednym ruchem zwrócił głowę do pilota.

- Twierdził pan przecież, że noc była ciemna, choć oko wykol. Niebo całkowicie zachmurzone, zadymka?

Pilot skinął głową.

Komisarz zwrócił się znowu do mnie. Szklą jego okularów rzucały ostre błyski.

- Z mojego marynarskiego doświadczenia wynika, że potrzebował pan co najmniej siedmiu do ośmiu minut, aby przyzwyczać wzrok do ciemności. Nic dziwnego, że pan nic nie widział.

- Widziałem jednak...

- Tu wtrącił się jeden z ławników:

- Przepraszam, panie komisarzu, ale u młodych ludzi oczy przyzwyczajają się szybciej do ciemności.

Posłałem mu wdzięczne spojrzenie. Komisarz zrobił minę, jakby rozgryzł ziarno pieprzu.

- No dobrze - wycedził urażonym tonem - na razie możemy pozostawić tę kwestię otwartą.

Zwrócił się ponownie do Busslera: - Kiedy właściwie zobaczył pan po raz pierwszy „Karlsruhe”?

- Kiedy zameldował mi o nim pan Prien.

- Ach tak, i co takiego pan widział, panie Prien?

- Zauważyłem białe światło palące się bardzo wysoko.

- Hmm... no to proszę nam opowiedzieć, jak to po kolei było: a więc otrzymał pan rozkaz przygotować kotwicę. I co pan wtedy zrobił?

- Pobiegłem na dziób, obudziłem cieśnię - zastanawiałem się nad każdym słowem. - A potem poszliśmy razem do kabestanu.

- Zajął się pan zatem od razu kotwicą? -

- Tak jest

Triumfalny błysk w oku: - A nie przyszła panu do głowy oczywista w tych okolicznościach myśl, żeby najpierw trochę się rozejrzeć?

Milczałem.

W tym momencie nasz stary wybuchnął: - Po co te śmieszne pytania? - zaczął. - Czwarty oficer dostał rozkaz przygotowania kotwicy, więc zajął się najpierw kotwicą, i basta. Na moim statku załoga ma wykonywać moje polecenia i nic poza tym.

Mówił coraz głośniej. Przewodniczący zadzwonił: - Panie kapitanie, bardzo proszę.

Ale mimo to miałem wrażenie, że tę rundę my wygraliśmy.

Następnie Bussler musiał opisać działania, jakie przedsięwziął po zderzeniu. Wyliczył je pięknie i starannie po kolei, podczas gdy komisarz co i rusz dziobał go pytaniami.

Rozprawa zakończyła się, a przedstawiciele Urzędu Morskiego udali się na naradę. Chodziliśmy tam i z powrotem po pogrążonym w półmroku korytarzu.

- Myśli pan, że źle się to dla nas skończy, panie kapitanie? -zapytałem.

- To jak ruletka w kasynie - odparł.

W końcu zawołano nas. Wszedł sędzi i sędzia stojąc, odczytał wyrok. Winną uznana została tylko pogoda i nikt poza nią.

Poczułem, że nagle ubyło mi parę kilogramów. I kiedy razem schodziliśmy po schodach, a Bussler zapytał, co mam teraz zamiar począć, odpowiedziałem głośno zwycięskim tonem:

- Teraz pójdę do Wyższej Szkoły Morskiej i zrobię patent kapitański.

# 6

## BEZ PRACY

Pod koniec stycznia 1932 roku zdałem egzamin na kapitana żeglugi wielkiej. Wydawało mi się, że teraz będzie już z górki, to znaczy automatycznie będę pokonywał kolejne szczeble kariery. Zamiast tego czekało na mnie bezrobocie.

Tuż po uściśnięciu dłoni przewodniczącego komisji egzaminacyjnej wskoczyłem do taksówki i rozpocząłem objazd. Hapag, Slomann, armator tankowców W. A. Riedemann. Wszędzie to samo. Współczujące wzruszanie ramionami. Westchnienie: - Ach, ta koniunktura! - A w najlepszym razie mało pocieszająca obietnica: - Zanotujemy sobie pana adres na wszelki wypadek...

Mimo to pozostałem w Hamburgu, aby nie przegapić jakiegóż szansy i żyłem ze swoich skromnych oszczędności. W końcu, kiedy nie miałem już żadnych perspektyw, chwyciłem za pióro. Kupiłem sto kartek białego papieru, stary słownik angielsko niemiecki i zacząłem tłumaczyć *Chińskie klipery*. Jedną z najpiękniejszych książek o żaglowcach.

Kiedy doszedłem do pięćdziesiątej strony, skończyły mi się pieniądze.

Harry Stoewer, mój stary bosman z „Hamburga” pomagał mi, jak potrafił. Zgodnie ze swoimi planami przejął na własność lokal „Pod Gwiazdą Dawida” i zapowiedział: - Możesz u mnie jeść i pić, ile chcesz. Kapitan Prien zawsze za wszystko zapłaci, tego mogę być pewien.

Jego zaufanie wzruszało, ale dla mnie było to już za wiele. Pewnego wieczoru poszedłem na dworzec i pojechałem nocnym pociągiem pospiesznym do domu, do matki. Znalazłem się w Lipsku w szary lutowy poranek. Kiedy wchodziłem po schodach do naszego mieszkania, serce zaczęło mi bić mocniej. Nie jest łatwo wracać do domu po ośmiu latach, bez pieniędzy i stanowiska.

Zadzwoiłem. Otworzyła matka.

- Chłopcze! - ucieszyła się i wciągnęła mnie do ginącej w półmroku sieni. W ostatnim czasie mocno posiwiiała.

Weszliśmy do mieszkania. W pracowni na stole i wszystkich krzesłach leżały modele, wystawowe atrapy: szynki i kiełbasy z surowego drewna.

Patrzyłem na nie zdumiony.

- Ach - uśmiechnęła się. - Tak długo drwiłeś z mojego „szynkar-skiego” malarstwa, że w końcu zaczęłam naprawdę malować szynkę<sup>6</sup>.

Potem przygotowała mi śniadanie. Po posiłku położyłem się na sofie i zacząłem czytać gazetę. Najpierw ogłoszenia o pracy. Beznadziejna sytuacja. Na dwudziestu poszukujących pracy przypadała jedna oferta. Jak senny koszar zacząła ciążyć mi myśl, że będę tu leżał beczynnie całymi dniami, tygodniami, może nawet latami.

Zerwałem się jednym susem. Miałem przecież znajomych, kolegów szkolnych, synów zamożnych rodziców. Gdzieś przecież da się coś zrobić, zdrowy i silny mężczyzna z głową na karku musi przecież znaleźć jakąś pracę.

Nie mogą mnie tak po prostu wykluczyć, żebym gnął za życia.

Rzuciłem się do wyjścia. - Cześć, mamó! - zawołałem w stronę pokoju obok.

A potem rozpoczęła się bieganina, od domu do domu, od biura do biura. I wciąż to samo! Wielu z tych, których odwiedzałem, skrzywdziło los: zrezygnowali ze studiów i z wyuczonego zawodu, zaczęli się gdzieś i teraz trzymali się kurczowo zdobytej posady, pełni strachu, że ją utracą i pogrążą się w szarych odmetach bezrobocia.

<sup>6</sup> W języku niemieckim wyraz „Schinken” oznacza zarówno szynkę jak i kiepski obraz (przyp. tłum.).

Wielu z kolei, zbyt wielu, powodziło się tak samo jak mnie. Chodzili po mieście, pukali do zawsze zamkniętych drzwi, wpadali w rozpacz i wciąż od nowa mieli nadzieję na cud; cud, który nazywał się „pracą”.

Trzeciego dnia biegający spotkałem Hinkelhausa. Studiował prawo, ale go nie ukończył. Zabrakło mu pieniędzy, lecz nie dał za wygraną i utworzył biuro doradztwa prawnego.

- Jeśli chcesz, możesz zostać u mnie kierownikiem biura, - zaproponował. - Nie mogę ci jednak płacić pensji. Ale jeśli ci to odpowiada, podzielimy się zyskiem.

Przystałem na to.

Biuro leżało przy ulicy Kolejowej. Niewielki surowy pokój z dwoma stołami, pięcioma krzesłami i z szyldem na drzwiach: „Ernst Hinkelhaus doradca prawny”. To było wszystko.

Przez następne osiem dni chodziłem tam regularnie każdego rana, z drugim śniadaniem w kieszeni, a wieczorem wracałem do domu. Jednak poza Hinkelhausem nigdy nikogo w biurze nie spotkałem. Debatowaliśmy wiele o marnych czasach i o nieudolności rządu, który pozwalała na to, aby olbrzymia część narodowego organizmu obumierała za życia. Te dyskusje były bardzo zajmujące, ale jeśli miało tak dalej trwać, to mój udział pod koniec miesiąca byłby równy połowie niczego.

W końcu Hinkelhaus zdecydował, że będzie chodzić po sądach i tam wylapywać klientów. Ja tymczasem miałem pilnować biura i odpowiadać za obsługę interesantów.

I tak zostałem sam w małym, nieprzytulnym pokoju. Wyglądałem na szarą ulicę, na dachy domów i ciągnący się za nimi nasyp kolejowy. Czekałem. Nie przyszedł jednak żaden klient.

Osiem dni później biuro doradztwa prawnego zamknęło swe podwoje. Na zawsze.

Znowu byłem na bruku. Teraz pozostała już tylko jedna droga. Droga po zasilek. Pewnego ranka wybrałem się zatem do starej kamienicy przy Georgsring.

W szarej i brudnej poczekalni siedziało już paru ludzi. Wyglądali na wyczerpanych i kompletnie bez pieniędzy - tak jakby bieda wyzrzała ich od środka, pozostawiając jedynie zewnętrzne powłoki. Za każdym razem, gdy rozlegał się dzwonek, jeden z nich wstawał i znikał za oszklonymi drzwiami.

W końcu przyszła kolej na mnie. Wyglądziłem ubranie i wszedłem. Mały człowieczek o rzadkich siwych włosach siedział za barierką i pisał. Spojrzał na mnie przez szkła okularów zmęczonym, tępym wzrokiem.

- Nazwisko? Zawód? Data urodzenia?
- Pióro skrzypiało, a zielony zarękawek posuwał się powoli po papierze.
- Dlaczego zgłasza się pan dopiero teraz?
- Ponieważ najpierw próbowałem znaleźć pracę.
- No tak - podał mi przez stół kartę rejestracyjną.
- Za trzy tygodnie pierwsza wypłata przy ulicy Gellerta.
- A do tego czasu? - zapytałem zrezygnowany.

Ale on nacisnął już przycisk dzwonka, wzywając następną osobę.

W połowie marca poszedłem na ulicę Gellerta. Byłem tam już rano o ósmej, ale wielu przyszło jeszcze wcześniej. Stali w długiej szarej kolejce, poruszającej się powolnymi drgnięciami do przodu.

- Bum - zadudnił stempel przy okienku. Odprawili jednego z czekających i kolejka przesunęła się o krok. - Bum, bum... - dwa kroki. Procesja nędzy poruszała się rytmicznie, zawsze w takt głuchych uderzeń bębna, którego pałeczki dzierżyła bieda.

Wreszcie przyszła kolej na mnie. Dostałem mniej niż mało. Pokwitowałem i wyszedłem szybko na zewnątrz. Kolejka jeszcze się wydłużyła. Widok tych otępiatych, pozbawionych nadziei twarzy, ciężki zaduch ubóstwa, głuche dźwięki uderzeń stempla, wszystko to było skrajnie przygnębiające.

Znalazłem się na ulicy. A więc znowu byłem na dnie, na samym dnie. Po co właściwie tak się męczyłem i wypruwałem z siebie żyły? Lata spędzone na żaglowcach też nie były usłane różami. A teraz, kiedy wreszcie do czegoś doszedłem, zabrano mi grunt pod nogami Odesłany na złom w wieku dwudziestu czterech lat!

Dlaczego? Każdy, kogo pytałem, wzruszał ramionami: „Cóż, po prostu nie ma pracy, takie są warunki, mój drogi!” Do cholery, czy ci tam na górze, ministrowie, partyjni bonzowie<sup>7</sup>, urzędnicy, nie byli od tego, żeby zmienić te warunki? Jak mogli spokojnie spać, jeśli istnieli silni zdrowi ludzie, chętni do pracy - żłaknieni pracy! - teraz zmuszeni gnąć jak rozkładająca się słoma?

Tych parę nędznych miedziaków, które nam rzucali, chroniło nas akurat przed głodową śmiercią. Dawali je, choć z niechęcią, bo bali się naszej rozpacz. Zawijali ochłapy w papier gazet pełnych pięknych frazesów o wrażliwości społecznej.

<sup>7</sup> „Bonzowie” i „bonzokracja” były jednymi z kluczowych pojęć używanych w propagandzie Trzeciej Rzeczy do opisu stosunków panujących w Republice Weimarskiej (przyp. tłum.).

Tak, ci panowie mogli spać spokojnie, aż za wygodnie im było na miękkiej poduszce wyborczych haseł: żyj i daj żyć innym. Ale rzeczywistość obdarła ich frazesy z blichtru. Tu, na dole, postrzegaliśmy życie takim, jakim było. I ich też postrzegaliśmy takimi, jakimi byli. Żyj, a innym daj zdechnąć. Taka była prawdziwa treść ich dewizy.

Ogarniała mnie dzika wściekłość na tę subtelną, zakłamaną obojętność.

Wówczas zostałem członkiem ruchu narodowosocjalistycznego.



# 7

## W KOLUMNIE HUNDSGRÜN

Zgłosiłem się do Ochotniczej Służby Pracy. Dla pewności napisałem od razu do kilku obozów. Wszystkie odrzuciły moje podanie. W wieku dwudziestu czterech lat byłem podobno za stary. Tylko Lamprecht, komendant obozu w Vogtsberg, był gotowy mnie przyjąć. „Jeśli zgodzi się pan zacząć jako zwykły ochotnik” - napisał - „może pan przyjeżdżać”.

Trzy dni później wyruszyłem w nudną podróż do Vogtlandu<sup>8</sup>. W Plauen miałem półgodzinny postój. Mimo upału i kurzu przeszedłem się po małym miasteczku z kocimi łbami uliczek i białymi domkami z pruskiego muru. Liście zaczynały już żółknąć. Lato chyliło się ku końcowi, były ostatnie dni sierpnia.

Czułem ciężar na duszy. Zawsze, kiedy wy pływałem na morze, cieszyłem się, ale teraz nie miałem powodów do radości.

Pewnie każdy rodzaj życia byłby lepszy od beczynnego siedzenia, w końcu jednak byłem ciałem i duszą marynarzem, a marynarz na suchym lądzie czuje się jak kaczka wyjęta z wody.

<sup>8</sup> Kraina geograficzna położona na południe od Lipska, między Lasem Turyńskim a Rudawami (przyp. tłum.).

W ogrodzie jednej z willi siedziała dziewczyna, jasnowłosa i ubrana na biało. Spojrzałem na nią i gorzko odczułem, że dzieli nas znacznie więcej niż krata przydomowego ogródka.

To był impuls: postawiłem walizkę, przeszedłem na drugą stronę ulicy do kwaciarni, kupiłem róże i wszedłem prosto do ogródka, gdzie siedziała dziewczyna.

Furtka z kutego żelaza zaskrzypiała, kiedy ją otworzyłem. Dziewczyna uniosła głowę. Przeszedłem na ukos przez trawnik, wcisnąłem jej kwiaty w dłoń, pochyliłem się i pocałowałem ją.

Otworzyła usta ze zdumienia, ale nie powiedziała ani słowa. Stałem jeszcze przez chwilę, potem odwróciłem się i wyszedłem z ogrodu. Chwyciłem walizkę i ruszyłem w dół ulicy. Nie odwracałem głowy. Poszedłem prosto na dworzec.

To był tylko krótki postój w Plauen, małej stacji pośredniej.

Potem pociąg ruszył dalej. Po południu dojechałem do Ölsnitz. Obóz pracy znajdował się w zamku górującym nad miastem. Przedtem budynek ten służył jako więzienie kobiece. Okna były jeszcze zakratowane, a w środku, jak w ulu, znajdowały się obok siebie małe cele.

Ordynans zaprowadził mnie do komendanta obozu. Mijaliśmy liczne drzwi, idąc po żelaznym pomoście skrzypiącym pod stopami. Ordynans zapukał i otworzył drzwi. Stałem przed komendantem obozu. Lamprecht był wysokim, szczupłym mężczyzną. Miał jasną twarz o surowych rysach. Kiedy wszedłem, podniósł się.

- A, to pan - przywitał mnie. - I chce pan zacząć jako zwykły ochotnik?

- Tak jest!

Wyciągnął rękę: - W takim razie witam pana jako kolege, Prien. Niech pan idzie do gospodarza, aby wydał panu strój. Proszę mu powiedzieć, że jest pan przydzielony do kolumny Hundsrün.

Jeszcze jedno uściśnięcie dłoni i byłem za drzwiami.

Pobrałem ubranie, stary mundur wojskowy, a potem przydzielono mi szafkę i koję. Spaliśmy w siedemdziesięciu w dużej, widnej sali, która dawniej służyła więźniarkom za halę roboczą.

Ułożyłem w szafce rzeczy i czekałem. Kolumny pracowników były jeszcze na zewnątrz, w miejscach pracy. Wracali dopiero około piątej. Słyszałem ich już z daleka. Śpiewając, wmaszerowali na dziedziniec i z hałasem, pokrzykując, weszli po schodach.

Pierwsi z wchodzących zdumieli się na mój widok. Niski, wychudły chłopak podszedł do mnie i zapytał: - To ty jesteś tym oficerem marynarki?

- Tak, a co?

- Ach, już od dawna słyszeliśmy, że przyjedziesz – wyjąkał i schował się za innymi.

Rozejrzałem się. Prawie wszyscy byli młodzi, mieli po dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Pracowali przeważnie jako tkacze dywanów w wielkiej fabryce w mieście koło dworca. Większość wyglądała nędznie. Sprawiali wrażenie wygłodniałych, mieli w sobie coś płochliwego, stłamszonego, typowego dla ludzi, którzy za długo żyli w strachu o powszedni chleb. Mierzyl mi ciekawymi spojrzzeniami, ale nikt więcej o nic nie zapytał.

Następnego dnia o wpół do szóstej zaczęła się służba. Kolumny zebrały się na dziedzińcu i otrzymaliśmy dzienne racje: chleb, masło, kiebasę i ser oraz manierkę z letnim czarnym wywarem, który był wydawany jako kawa, a który my nazywaliśmy „potem Murzyna”.

Po śniadaniu wyruszyliśmy ciężarówkami albo na piechotę, w zależności od tego, jak daleko było miejsce pracy. My z kolumny Hundsrgrün musieliśmy maszerować.

Przeszliśmy przez Ölsnitz, i ruszyliśmy dalej szosą w górę doliny Elstery. Tuż przed wsią Hundsrgrün znajdował się plac budowy. Leżał na rozległym stoku łąki opadającym łagodnie ku rzece. Z dołu dochodził turkot młyna, a nad nami aż po grzbiet góry rósł las.

Naszym zadaniem było wydrenowanie całego terenu. Wbijaliśmy szpadle w ziemię, zrywaliśmy darń i kopaliśmy wąskie rowy o głębokości półtora metra.

Od jedenastej do wpół do dwunastej mieliśmy przerwę na obiad. Siedzieliśmy na skraju lasu na pniach drzew, jedliśmy nasz prowiant i gadaliśmy. I znowu praca, od wpół do dwunastej do wpół do trzeciej, a następnie ustawialiśmy się do powrotnego marszu. O wpół do piątej, kiedy byliśmy na miejscu, dostawaliśmy obiad, jedyny ciepły posiłek w ciągu dnia. Potem był czas wolny, chyba że komendant obozu zarządził musztrę.

Tak to się ciągnęło, dzień po dniu, i jako tako już się pogodziłem z nowym życiem. Trudniej było jedynie w wolne wieczory i niedziele. Z okien zamku rozciągał się widok na całą okolicę. Górskie grzbiety gęsto porośnięte lasem ginęły w oddali w niebieskawej mgielce. Wyglądało to tak, jak gdyby nadpływające od strony horyzontu wysokie,

zielone fale zastygły w bezruchu. Mimowolnie myślałem o morzu i tęskniłem za nim jak za domem.

Pewnego dnia zrobiło się wielkie zamieszanie: zniknął gdzieś administrator obozu. Biegaliśmy po całym zamku, wołaliśmy i krzyczeliśmy, ale odpowiedzi nie było. W końcu zaczęliśmy chodzić od celi do celi, szukając go. Za każdym razem, gdy otwieraliśmy drzwi, uderzał w nozdrza zimny, stęchły zapach. Większość cel była bowiem niezamieszкана i znajdowała się w takim stanie, w jakim została opuszczona, kiedy zamek Vogtsberg przestał być więzieniem.

W końcu znaleźliśmy zgubę. W jednej z cel lewego skrzydła zamku. Leżał wyciągnięty jak struna na pryczy, z węzem od butli gazowej w ustach. Aby mleć pewność, że umrze, zalepił sobie przylepcem nos i kąciki ust.

Mimo to umierał chyba z trudem. Prawą ręką ścisnął kurczowo szyję, jakby chciał w ostatniej chwili oderwać od siebie śmierć.

Otworzyliśmy okna i wynieśliśmy go. Potem zadzwoniliśmy po lekarza, próbując tymczasem reanimacji. Wszystko na próżno, był już po tamtej stronie, pojawiły się pierwsze oznaki stężenia pośmiertnego.

Dlaczego to zrobił? To pytanie nurtowało wszystkich.

- Miał pod sobą kasę - mruknął ktoś. Sprawdzono kasę, zgadzała się, podobnie jak księgi.

Przeszukaliśmy jego szafkę. Plik listów od dziewczyny, ostatni sprzed trzech dni: „Czekałam przez cztery lata” - pisała - „i już więcej nie mogę. Nie znajdziesz przecież pracy i zestarzałabym się, zanim byśmy się pobrali...”

Tak, zawsze to samo: bieda, nędza, rozpacz i przyszłość jak bezlitosne szare niebo. Trzeba być twardym, aby móc to znieść.

Zaraz po posiłku zostałem wezwany do komendanta. Stał na żelaznym pomoście przed swoją celą. Dowódcy drużyn kolumny Hundsgrün zebrali się wokół niego.

- Kolego Prien - powiedział Lamprecht - mianuję cię dowódcą „siódemki”.

- A Nestler? - zapytałem. Nestler był dowódcą tej drużyny.

- Nestler zostanie administratorem - odparł.

Strzeliłem obcasami i odmeldowałem się. Ucieszyło mnie, że pozwolili mi tak szybko awansować. A jednak na radości kładł się cień.

Następnego ranka moją nominację obwieszczono oficjalnie na apelu, a potem jak zwykle wyruszyliśmy do pracy. Niewiele się dla mnie zmieniło. Musiałem zrywać darń i kopać rowy, tak jak do tej pory.

Czas upływał i praca stawała się coraz cięższa. Nadszedł październik, pełen mgieł i deszczów. Grzęźliśmy w moczarach, a w drodze powrotnej nieraz zaskakiwały nas ulewy i docieraliśmy do zamku przemoczeni do szpiku kości.

Czasami wizytował nas naczelnik biura landrata, wysoki i kościsty mężczyzna, typowa biurowa mumia. Chodził po zamku, krzywił nos na wszystko i odgrywał przed nami dobrodzieja. Ochotnicza Służba Pracy była bowiem dofinansowywana z powiatowej kasy. Nazywaliśmy naczelnika Jasiem Rakarzem.

Pewnego ranka pojawił się w towarzystwie grubego, łysego osobnika, który okazał się inspektorem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Saksonii.

Wraz z dowódcą kolumny chodzili po łące, zatrzymywali się tu i tam przy różnych grupach, czyniąc krytyczne uwagi. Byłem przy tym pewny, że w ogóle się nie znają na drenowaniu. Zwłaszcza grubas z ministerstwa nie wyglądał na takiego, który by potrafił podnieść na szpadlu kostkę darni.

Przez cały ranek siała drobna mżawka. Teraz rozpadało się na dobre. Zza górskiego grzbietu nadpłynęła chmura, z której lunęły strugi deszczu.

W naszej kolumnie obowiązywało swoiste prawo zwyczajowe: dopóki siało, pozostawaliśmy na zewnątrz, kiedy jednak zaczynało lać, mogliśmy schronić się w pakamerze albo na skraju lasu.

Jaś Rakarz i człowiek z ministerstwa byli już dawno pod dachem.

Wpatrywaliśmy się wszyscy w dowódcę kolumny, ale ten nie kwapił się z pozwoleniem odejścia. Chłopcy zaczęli szemrać. Rzuciłem szpadel na trawę i podszedłem do niego.

- Jak długo właściwie każesz nam tu jeszcze pracować w deszczu?

Wzruszył ramionami: - Człowieku, przecież jest inspekcja.

- W porządku, jak masz pietra, to odejdz i daj się zastąpić.

- Zastąpisz mnie? - spytał.

- Jasne, ma się rozumieć.

- W takim razie przekazuję ci dowództwo kolumny - oznajmił z ulgą.

Czekałem tak długo, aż zniknął w lesie. Potem zagwizdałem. Wszyscy pobiegli do pakamery. Ruszyłem powoli za nimi. Jaś Rakarz naskoczył na mnie od razu, gdy tylko wszedłem.

Co to ma znaczyć? - prychnął. - Dlaczego kazał pan ludziom przerwać pracę?

- Bo pada - odpowiedziałem.

Przez moment łapał powietrze. Potem wtrącił się grubas z ministerstwa.

- Gdzie jest wasz dowódca kolumny?

- Robi kupę - wyjaśniłem.

Spojrzał na mnie zaskoczony. Wreszcie polecił: - Niech pan natychmiast każe ludziom pracować dalej.

- Ani myślę.

- Wydaję panu rozkaz służbowy.

- Rozkazy wydaje mi tylko komendant obozu.

- To się zobaczy - wtrącił Jaś Rakarz zjadliwym tonem. - Jak się pan nazywa?

- Dowódca drużyny Prien.

Wyciągnął z kieszeni notes i zapisał sobie nazwisko. - Tak - wycodził.

- Czy teraz każe pan swoim ludziom dalej pracować?

- Już raz powiedziałem, że nie.

- A dlaczego nie? - zapytał znowu grubas.

- Bo jestem odpowiedzialny za zdrowie podwładnych.

- Ach tak! - rzekł Jaś Rakarz. - To mi wystarczy. Chodźmy, panie inspektorze, to bezcelowe.

W deszczu zeszli łąką do szosy. Kroczyli obok siebie, mały grubas i wysoki chudzielec. Na szosie czekał na nich służbowy samochód landrata. Wsiadli do niego i odjechali.

Kiedy powróciliśmy do zamku, zostałem wezwany do komendanta obozu. W celi Lamprechta siedział grubas z ministerstwa i Jaś Rakarz. Na ich twarzach malowała się złośliwa radość, jak u wzorowych chłopców, którzy pobiegli na skargę i teraz czekają na ukaranie grzesznika.

- Kolego Prien, proszę opowiedzieć, co się stało w Hundsgrün – zaczął Lamprecht surowym tonem.

Zdałem krótką relację.

- Czy to się zgadza, panowie? - zapytał Lamprecht. Obaj przytaknęli.

- Ponieważ pański dotychczasowy dowódca kolumny chce nas opuścić w poniedziałek, mianuję pana dowódcą kolumny, kolego Prien - oznajmił Lamprecht. - Pochwalam pana postępowanie w każdym punkcie.

- Ależ to... - wysapał urzędnik z ministerstwa. Wstał z krzesła, także Jaś Rakarz podniósł się.

- Pożaluje pan tego, Lamprecht - zagroził, wychodząc. Ale nic się nie stało.

Cztery tygodnie później Lamprecht poszedł na urlop, mianując mnie zastępcą komendanta obozu.

Mój awans na dowódcę kolumny przyjęto w obozie w miarę spokojnie. Teraz jednak wszyscy byli wściekli. Mogłem to wyraźnie wyczytać z ich min. Zwłaszcza starsi, którzy niekiedy odsłużyli już dwa lata w Ochotniczej Służbie Pracy, poczuli się pominięci. Wprawdzie nikt nic nie powiedział, odzywali się jednak do mnie obrażonym tonem, który uważali za zapewne za ściśle służbowy.

Miałem za dużo zajęć, aby troszczyć się o ich odczucia. Rano odwaląłem papierkową robotę, a później przez cały dzień gnałem na motocyklu z jednej budowy na drugą, aby wszystkiego dopilnować.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie młynarz z Hundsgrün, z młyna leżącego na dnie doliny. Skradziono mu szynkę. Jako sprawca wchodził w grę ktoś z kolumny Hundsgrün.

- Kiedy odkrył pan kradzież?

- Trzy dni temu.

Obiecałem zarządzić surowe śledztwo i odłożyłem słuchawkę. Co za głupota! Jeśli zdarzyło się to trzy dni temu, szynka była już zapewne doszczętnie zjedzona i można by znaleźć co najwyżej kość. Robienie apelu nie miało w tej sytuacji żadnego sensu.

Wieczorem, po odegraniu na werblach capstrzyku, zarządziłem ponowną zbiórkę. Rewizja szafek. Z ręczną latarką szedłem od szafki do szafki, od łóżka do łóżka. Pod materacem chłopaka z Drezna znalazła się szynka. Nienaruszona, nie odkrojono ani plasterka.

Wezwałem do swojego pokoju dowódców: kolumny i drużyny, w której pracował sprawca. Potem kazałem przyjść jemu samemu. Był to niewysoki, blady chłopak z chudymi, odstającymi jak talerze uszami, zupełna mizerota. W czarnych oczach malował się strach zbitego psa.

- Czy to ty ukradłeś szynkę z młyna?

Długa pauza. Potem prawie niedosłyszalnie: - Tak jest.

- A dlaczego?

Milczenie.

Stałem też przy nim: - Dlaczego ukradłeś?

Zaczął płakać. Płakał bezgłośnie, wykrzywił jedynie twarz, po której ciekły łzy, ale nie odezwał się.

- Nie chcesz mówić?

Parę spazmatycznych oddechów, które utknęły w szlochu. Potem znów milczenie.

Zrozumiałem, że nic z niego nie wydobędę. - Dobrze więc powiedziałem. Szynka zostanie tutaj, a ty opuścisz jutro rano obóz. Z samego rana, rozumiano? Nie musisz już przychodzić na apel.

Trzasnął obcasami z rękami wyciągniętymi wzdłuż szwów spodni, a po jego twarzy wciąż lały się łzy.

- Po nim najmniej bym się tego spodziewał - zdziwił się dowódca kolumny po wyjściu delikwenta.

Obaj dowódcy wyszli. Zostałem sam.

Położyłem się na pryczy z rękami pod głową i myślałem o tym przypadku. Co za idiotyczna sprawa. Za głupia na to, żeby zdarzyła się akurat wtedy, gdy kierowałem obozem.

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Wejść!

Na progu stał Manthey. W migoczącym blasku świecy jego twarz przybrała zacięty, niemal zły wyraz.

- Chciałbym porozmawiać z tobą przez chwilę, kolego Prien.

- Podniosłem się. - Proszę.

- Przychodzę w sprawie kolegi, który ukradł szynkę - zaczął.

- A co cię to obchodzi? - zapytałem. - Czemu on sam nie przyjdzie?

- On płacze - powiedział Manthey krótko. Manthey był starszy od większości obozowiczów, miał już dwadzieścia trzy lata. Był górnikiem z Zagłębia Ruhry. Bardzo radykalny, ale najlepszy z naszych robotników i zawsze koleżeński.

- Powiedział nam, że wyrzuciłeś go - ciągnął dalej. - Chciałem cię prosić, aby został.

- Nie da rady, chłopak popełnił kradzież.

- Ukradł szynkę - odparł Manthey wzburzoną głosem - ponieważ potrzebuje pieniędzy. Jego matka jest chora i chciał jej posłać pieniądze, dlatego.

- I ty w to wierzysz?

- Tak, wierzę - potwierdził z naciskiem.

Mówiąc szczerze, to sam w to wierzyłem. Ten biedny, płaczący przede mną chłopak nie wyglądał na pospolitego złodzieja. Na tyle znałem się już na ludziach. A to, że Manthey wstawiał się za nim, było dobrym znakiem. Ale dyscyplina obowiązywała. Nie mogłem go ułaskawić, choćbym nie wiem jak chciał, również przez wzgląd na Manthey'a.



- Spójrz, kolego Manthey - tłumaczyłem tak przyjaźnie, jak umiałem musisz to przecież zrozumieć. Jeśli puszcze sprawę płazem, to potem każdy drań przyjdzie i powie: „Wtedy gdy ukradziono szynkę, przymknąłeś oko. Dlaczego nie teraz?” Dokąd byśmy zaszli? Nie, nie, chłopak musi być ukarany. A poza tym pomyśl tylko, jakie to zrobi wrażenie, jeśli na zewnątrz zaczną rozpowiadać, że Ochotnicza Służba Pracy to złodziejska szajka...

- Gównu mnie obchodzi, jakie to zrobi wrażenie na zewnątrz przerwał mi wulgarnie. - A o tym, jakie to zrobi wrażenie na chłopaku, chyba wcale nie pomyślałeś. Jak teraz może wrócić do domu? Matka chora, ojciec bezrobotny, a on przyjeżdża wyrzucony za kradzież. To po nim lekko nie spłynie, tyle ci powiem.

Wstałem. Byliśmy jednakowego wzrostu i patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

- Dość już tego! - zakończyłem. - Będzie tak, jak powiedziałem i koniec. Idź teraz spać.

Stał jeszcze przez chwilę z zaciśniętymi wargami, potem odwrócił się na pięcie i odszedł.

Zostałem sam.

Po raz pierwszy odczułem z całą ostrością sprzeczność pomiędzy losem jednostki a dobrem społeczności. Wybrałem społeczność i wiedziałem, że zawsze podejmę taką decyzję, choćby była nie wiem jak ciężka.

Następnego ranka na apelu brakowało drezdeńczyka. Postarałem się o to, aby opuścił zamek jeszcze przed zbiórką. Rzucił mi się w oczy rozluźniony szyk i niezadowolenie w szeregach, ale nic nie mówiłem. Sądziłem, że jakoś to w końcu zaakceptują. Nie miałem jeszcze doświadczenia w kierowaniu ludźmi i nie wiedziałem, że opór należy dławić w zarodku, jeśli nie chce się stracić panowania nad zespołem.

Wieczorem, kiedy kolumny powróciły ze służby, w kantynie jak zwykle był ciepły posiłek. Wszedłem, gdy wszyscy już siedzieli przy stole.

- Smacznego - powiedziałem.

- Nikt się nie odezwał.

Rozmowy przy stole były stłumione, a jednak podniecone. Nachylali do siebie głowy i szeptali, a potem głośno się śmiali.

Nagle ktoś z tyłu krzyknął grubym głosem:

- Już my mu tę szynkę przyprawimy!

Podniosłem głowę w stronę mówiącego. Z mojego miejsca nie mogłem rozpoznać, kto to był. - Po kolacji zbiórka w sali szkoleniowej! - poleciłem głośno.

Na moment zapadła cisza, potem szeptury rozległy się ze wzmożoną siłą.

Zrozumiałem, że gra idzie o wszystko. Jeśli im teraz ustąpię, wezmą mnie na postronki. I wtedy koniec z dyscypliną w obozie. Nie mogłem tak zawieść Lamprechta.

Pół godziny później wszyscy siedzieli w wielkim, pozbawionym ozdób pomieszczeniu, które służyło nam za salę zebrań. Był listopad, na dworze zapadł już zmrok. W migotliwym blasku świec cienie głów tańczyły na białej ścianie.

Stałem przed zebranymi. - Koledzy - rozpocząłem - wszyscy wiecie, co zdarzyło się tutaj wczoraj. Musiałem usunąć jedną osobę z naszego grona, ponieważ popełniła kradzież. Wiem, że niektórzy z was uważają to za zbyt surową karę. Ale musiałem ją wymierzyć w interesie nas wszystkich.

W tylnych ławkach zaczęło narastać szemranie. Odczekałem chwilę. Rozmawiali nadal. Wtedy krzyknąłem tak głośno, jak potrafiłem: - Komu się nie podoba, może iść, ale natychmiast!

Szuranie nóg, przesuwanie ławek. Ktoś wstał, jeszcze ktoś - a potem około trzydziestu osób wyszło, wśród nich Manthey.

Przekazałem dowództwo w sali jednemu z dowódców kolumn i wyszedłem za tą trzydziestką.

- Zbiórka na dziedzińcu - poleciłem. Niechętnie posłuchali.

- W ciągu pół godziny macie oddać swoje rzeczy i wszyscy razem opuścić zamek. Nie należycie już do nas. Kto po tym czasie będzie jeszcze tu przebywał, będzie oskarżony o najście. Odmaszerować!

Potem wróciłem do sali i obwieściłem to pozostałym. Przyjęli wiadomość w milczeniu. Nikt nie odważył się na jakąkolwiek uwagę. Wróciłem do swojej celi. Czuję się podle. Było mi żal chłopaków, którzy odchodzili i przykro z powodu takiego zakończenia koleżeńskich stosunków.

To był przykry zgrzyt, przeforsowałem jednak swoją wolę i służba toczyła się dalej.

Kilka dni później otrzymałem wiadomość, że Kriegsmarine zatrudnia byłych oficerów marynarki handlowej jako uzupełnienie przyszłej kadry oficerskiej. Tęsknota za morzem tkwiła we mnie przez cały czas. Teraz

chwyciła mnie z przemożną siłą. Na pytanie, czy chciałbym się zgłosić, odpowiedziałem „tak”.

I oto w styczniu 1933 roku wstąpiłem w Stralsundzie do Kriegsmarine. Znowu zaczynałem od początku, jako marynarz.

# 8

## PIERWSZY RAZ POD WODĄ

Dla każdego, kto staje się żołnierzem, zaczyna się nowe życie. Wolność osobista zostaje ograniczona do minimum. Jej miejsce zajmuje rozkaz, twarda reguła służby w siłach zbrojnych. Żołnierz jest zawsze na służbie i inne wydarzenia odsuwają się na dalszy plan. Tu obowiązuje stara dewiza:

*Kto na chorągiew króla przysięga pruskiego,  
Nie ma już żadnej rzeczy, co by była jego.*

W takim duchu odbywało się moje szkolenie oficerskie. Służba i wielkie wydarzenia polityczne przysłoniły wszystko. Po zakończeniu zwykłego szkolenia zostałem odkomenderowany do Kilonii, do szkoły podwodniaków.

Wreszcie, pod koniec lutego, przyszedł czas na praktykę. Był wietrzny, chłodny dzień. Płynęliśmy przez Zatokę Kilońską, cała flotylla U-bootów w jednej linii. Na każdym okręcie kilku podchorążych. Ja płynąłem na U-3.

Kiedy dopłynęliśmy w pobliże miejsca zanurzenia, zeszedliśmy przez właz kiosku do centrali. Mimo opanowanej teorii, z początku bezradnie rozglądaliśmy się po ciasnym pomieszczeniu. Jaskrawobiałe światło odbijało się od szkła, niklu i mosiądzu. Płatnina elektrycznych drutów, przewodów ze sprężonym powietrzem i kół ręcznych. Na środku kolumna peryskopu, obok wielkich rozmiarów główny kompas.

Warkot dieslowskich silników, na górze tłumiony przez fale, był tutaj tak głośny, że nie rozumiało się własnych słów. Cały okręt drżał od ich pracy. Do tego przenikliwy zapach stali i oleju.

Powitał nas główny mechanik okrętu. Krótka prezentacja. Zmierzył nas kątem oka, szybkim i chytrym spojrzeniem, a potem zaczął instruować: - Nigdy panowie nie zapominajcie odmeldować się, jeśli chcecie przygotowym do zanurzenia okręcie jeszcze raz wyjść na górny pokład. W przeciwnym razie przytrafi wam się to, co słynnemu podporucznikowi Müllerowi, któremu okręt po prostu usunął się spod nóg. Gdyby nie miał akurat w spodniach pęcherza powietrza, utopiłby się jak mokry szczur.

Z kiosku rozległa się krótka komenda: - Gotowi do zanurzenia! – Z poszczególnych części okrętu przyszedł odzew:

- Dziób gotowy do zanurzenia. Rufa i centrala gotowe do zanurzenia.

Potem zaczęliśmy ćwiczyć zanurzenie. Rura wydechowa i zawory zamknięto, pokrywa włazu zatrasnęła się z głuchym hukiem, na który odpowiedziało metaliczne echo.

- Proszę nigdy nie zapominać o zamknięciu zaworów - tłumaczył dalej główny mechanik stłumionym głosem. - W przeciwnym razie przytrafi się panom to, co staremu U-3 w Heikendorfer Bucht. Płynęli wtedy także z podchorążymi i zapomnieli zamknąć zawór wentylacyjny. Do wnętrza dostała się woda i zalała baterie akumulatora. Krótkie spięcie. Gazy. Dowódca i dwóch członków załogi udusili się w kiosku, a o mało co zginęliby wszyscy. Szkoda by ich było. Mieli na pokładzie niezłych asów: Weddigena i Fürbringera.

Jego słowa przerwało przenikliwe brzęczenie. Silniki elektryczne rozpoczęły pracę.

Wentylatory zaczęły buczeć. Próba podciśnienia. Miało się uczucie, jakby do uszu trysnęła woda. Główny mechanik zameldował: - Podciśnienie 20 milibarów.

Potem cisza. Tylko brzęczący śpiew maszyn trwał nadal. Słyszać było wyraźnie, jak sternik nastawia ster poziomowy. Po dwóch minutach

nowy meldunek głównego mechanika: - Podciśnienie stałe. - A z kiosku w odpowiedzi rozkaz:

- Przygotować odpowietzniki!

- Gotowe!

- Napełniać zbiorniki!

Czterech ludzi przykłęło i pociągnęło w dół dźwignie odpowietzników. Rozległo się syczące parskanie, powietrze zaczęło uchodzić i do zbiorników z bulgotem runęła woda.

Okręt z wolna pochyłał się to ku dziobowi, to ku rufie. Wrażenie kołysania się, jak w balonie. W końcu nastąpiło wyrównanie do pozycji poziomej. Panowała grobowa cisza. Wszyscy milczeli. Nikomu nie wolno było się ruszyć. Tylko główny mechanik wydawał półgłosem rozkazy sternikom głębokości.

Wreszcie z szumem podobnym do tego, jaki wydaje winda, wysunięty został peryskop. Dowódca wzywał nas pojedynczo do kiosku. Po raz pierwszy zobaczyłem świat przez peryskop. Horyzont skurczył się do małego wycinka nieba i wody, który co chwilę zalewały szare fale.

Musieliśmy po kolei obsługiwać ster głębokości, wielkie ręczne koła, którymi kręciło się jak młynkiem do kawy.

Po przepłynięciu pod wodą dłuższego odcinka padł rozkaz dowódcy: Do wszystkich stanowisk: okręt opada na dno. Kierunek dno, głębokość wody dwadzieścia jeden metrów.

Główny mechanik meldował: - Szesnaście metrów... osiemnaście metrów... dwadzieścia. Obie maszyny stop.

Lekki wstrząs, który wprawił w drżenie cały okręt. W końcu okręt osiadł cicho na dnie morza.

- Głębokość zanurzenia dwadzieścia dwa metry, ciśnienie wody dwie tony - zameldował główny mechanik.

O wpół do pierwszej mieliśmy posiłek. Stół nakryto w części dziobowej. Podano zupełny rumszyk i owoce dla oficerów i załogi. Wszystko smaczne i w dużych porcjach, tyle tylko że pomieszczenie było bardzo wąskie, podobne do tunelu. Czasem lekki chłopot z zewnątrz przypominał o tym, że leżymy dwadzieścia dwa metry pod wodą, na dnie Zatoki Kilońskiej. Z rufy dobiegał odgłos, jak gdyby ktoś obsługiwał ręczną pompę.

- A cóż to takiego? - zapytał Schreiber, jeden z podchorążych.

Dowódca milczał, za to pierwszy oficer wyszczerzył zęby. - To ktoś trzusi się, aby wyprawić swoje jedzenie za burtę - wyjaśnił usłużnie. -

WC z napędem ręcznym. Męczące zajęcie przy dwudziestu dwóch metrach głębokości.

Jego okrągła twarz jaśniała zadowoleniem. Oto znalazł temat, z którego tak szybko nie zejdzie.

- Ale to jeszcze nic - kontynuował z zapałem. – Wyobraźcie sobie tylko panowie, że jest wojna. Wtedy obowiązuje zasada „Ścisnąć półdupki, panie poruczniku, i wytrwać dla ojczyzny!” Marynarskie „kaktusy” wypływają bowiem na powierzchnię i mogą zdradzić położenie okrętu. Kiedyś stary podwodniak opowiedział mi taką historię z wojny światowej. Leżeli raz na dnie przez trzydzieści sześć godzin...

- Przy odrobinie sprytu znalazłby pan może jakiś inny temat do rozmowy przy stole - uciał dowódca.

Pozostaliśmy na dnie przez dwie godziny. Potem kontynuowaliśmy ćwiczenia. Okręt podniósł się. Najpierw do głębokości peryskopowej, a w końcu wynurzyliśmy się na powierzchnię. Trochę zmęczeni od ciężkiego, nasyczonego dwutlenkiem węgla powietrza, trochę oszołomieni zjelczałym zapachem oleju napędowego. Od tego czasu wiele przepłynąłem pod wodą i pobyt na okręcie stał się dla mnie czymś powszednim, przyzwyczajeniem i rutyną. Ale wspomnienie pierwszego zanurzenia pozostało. Ludzi i rzeczy widzi się bowiem zawsze najwyraźniej za pierwszym razem albo przy rozstaniu.

Po zakończeniu kursu zostałem odkomenderowany na U-26 jako pierwszy oficer wachtowy. Dowódcą okrętu był kapitan marynarki Hartmann. - Ostry jak żyłotka - określił go jeden ze starszych kolegów.

- Ale dużo można się przy nim nauczyć.

U-26 nie opuścił jeszcze stoczni Deschimag w Bremie.

Jadąc do Bremy, zatrzymałem się w Hamburgu i pojechałem do St. Pauli. Chciałem odwiedzić Harry'ego Stoewera, starego bosmana z „Hamburga”, a teraz gospodarza w „Gwieździe Dawida”, który wspierał mnie darmowym jedzeniem i darmowym piwem, kiedy nie miałem pracy.

Było późne popołudnie. W „Gwieździe Dawida” panowały pustki. O szynkwias opierała się tleniona blondynka.

- Dwa duże jasne i gospodarza - zamówiłem. Spojrzała na mnie zdumiona, zakreśliła się na pięcie i za chwilę wróciła z niskim drobnym człowieczkiem, który idąc, dopinał sobie pasek od spodni. To nie był Harry Stoewer.

- Czego pan sobie życzy? - zapytał mnie z lekkim ukłonem.  
- Chciałbym rozmawiać z Harrym Stoewerem.  
- Ach tak - w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie. - Stoewer nie żyje, już od dwóch lat.

- Ach...

Odwrócił się z zamiarem odejścia.

- Jak to się w ogóle stało?

- Powiesił się - powiedział gospodarz.

- Powiesił? Dlaczego? - wskazałem palcem na drugi kufel piwa, gospodarz kiwnął głową i usiadł.

- Widzisz pan, stary Stoewer nie miał głowy do interesów. Każdemu marynarzowi stawiał na piękne oczy. Aż w końcu sam nie miał co do gęby włożyć. Do takiego interesu trzeba mieć łeb na karku. Ludzie sobie myślą, że stać za barem i nalewać piwo to już wszystko, ho, ho...

Podziękowałem i wyszedłem.

Przez całą drogę na dworzec myślałem tylko o Harrym Stoewerze.

Dlaczego, pytałem sam siebie, nie zwrócił się do nas? Pomógł tylu ludziom, a kiedy na niego przyszło, to po prostu cichaczem się wyniósł. Zbyt dumny, aby być dla kogoś ciężarem, i zbyt poczciwy, aby żyć w świecie kupczenia i pogoni za zyskiem.

Pojechałem dalej najbliższym pociągiem. W Bremie udałem się od razu do stoczni. Okręt stał przy nabrzeżu, przycumowany do pontonu. Oglądany z wysokości nabrzeża był śmiesznie mały.

Zszedłem na dół i zameldowałem się u dowódcy. Przyjął mnie w swojej kabinie. Krępy, muskularny mężczyzna o twardych, ostrych rysach twarzy.

- Podporucznik marynarki Prien melduje posłusznie swój przydział na U-26.

Wstał i podał mi rękę. - No, jest pan. - Oczekiwałem pana. Ale w tej chwili nie ma tu nic dla pana do roboty. Czy przypadkiem nie ma pan jeszcze urlopu?

Z miejsca pojąłem sytuację. Tak jest, panie kapitanie - wypaliłem.

- No właśnie, to niech pan jedzie na urlop, na jakiś tydzień. - Podziękowałem i uszczęśliwiony odszedłem.

W tych dniach przeszłość zdawała się za mną gonić. W podróży powrotnej spotkałem pewnego chorążego. Nawiązaliśmy rozmowę i pokazał mi grupowe zdjęcie z balu sylwestrowego.



Pośród wielu nieznanym, jedna znajoma twarz. Jasnowłosa dziewczyna z ogrodu w Plauen, ta, której dałem różę i którą pocałowałem. Było to już dawno temu, ale nie zapomniałem jej.

Poprosiłem chorążego o jej adres i napisałem do niej list.

Odpowiedź nadeszła wkrótce.

Podziękowała za list, który uznała za bardzo dowcipny. Wyjaśniła, że nigdy w życiu nie była w Plauen. Mimo to po pół roku została moją żoną. I nigdy nie pożałowałem tej pomyłki.

Urlop trwał bardzo krótko. Już po trzech dniach wezwano mnie telegraficznie do powrotu.

- Płyniemy do Hiszpanii - oznajmił dowódca, kiedy mnie ponownie zobaczył. - Strzec niemieckich interesów. - Promieniał radością.

W największym pośpiechu okręt został przygotowany do działań wojennych, załadowano prowiant, paliwo i amunicję, i już następnego dnia wyszliśmy w morze.

Wierzyliśmy, że napięcie rozładuje się wkrótce. Ale była to burza, która przeszła obok nas, trafiając w inny kraj.

W kanale zarządzono próbne zanurzenie. Znajdowałem się właśnie w centrali. Wszystkie stanowiska, także przedział torpedowy, zameldowały gotowość do zanurzenia.

Następnie przyszła komenda: - Woda do zbiorników!

I nagle krzyk z przedziału dziobowego:

- Mamy „węgorza”, mamy „węgorza”!

Pobiegłem na dziób. Jedna torpeda ześlizgnęła się do tyłu z wyrzutni i sterczała w przedziale dziobowym. Napierało na nią czterech ludzi, stękając z wysiłku.

Wiedziałem, że już długo nie wytrzymają. Ciężar „węgorza” spychał ich krok po kroku do tyłu. Jeśli okręt przechyli się jeszcze o kilka stopni na rufę, pocisk wpadnie do przedziału dziobowego, zgniecie trzymających go mężczyzn i prawdopodobnie rozerwie cały okręt na strzępy.

Kilka skoków na rufę: - Do przedziału dziobowego wpada „węgorz”!  
- krzyknąłem do głównego mechanika.

Looschen zrozumiał natychmiast. Zaterkotały oba ręczne koła steru głębokościowego.

Popędziłem znowu na dziób i podparłem torpedę. Powoli okręt uzyskał pozycję horyzontalną i tak samo powoli, centymetr po centymetrze „węgorz” powracał do swojej nory. Aż w końcu z metalicznym szczękiem zatrzaskała się za nim zamek.

- Jak to się stało? - naskoczyłem na mata przedziału torpedowego. Mężczyzna stał przede mną, oczekując potem i drżąc na całym ciele, z nabrzmiałymi żyłami na skroniach.

- Nie wiem - odpowiedział bez tchu. - Obsługiwałem jeszcze „węgorza”. Nastawiałem mechanizm, wtedy chyba zaklinował się jakiś bolec.

- To znaczy, że za wcześnie zameldował pan gotowość do zanurzenia? - zapytałem.

Zagryzł wargi: - Tak jest - potwierdził półgłosem.

Kiedy złożyłem meldunek dowódcy, wezwał do siebie winowajcę i nawrzeszczał na niego tak, aż zakolysały się zasłony. Ale wkrótce potem, przy śniadaniu w mesie, stwierdził spokojnym i pozornie obojętnym głosem: - No cóż, były to po prostu wypadek przy pracy, w końcu U-boot to nie dom starców.

Był to rejs pełen wypadków. W Zatoce Biskajskiej mieliśmy sztorm, najcięższy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek przeżyłem na okręcie podwodnym. Kiedy punktualnie o godzinie ósmej wyszedłem na pomost, stąpając w impregnowanym ubraniu niezgrabnie jak chodząca szafa, niebo miało barwę kamiennoszara, a morze było czarne jak kipiący atrament. Okręt z dudnieniem i sykiem przewalał się przez fale, a nasze twarze smagał deszcz. Od czasu do czasu pokład zalewała fala, zanurzając nas w wodzie aż po brzuchy. Kapitan nucił:

*Padalo już na rejsie*

*A we Francji jeszcze więcej...*

Ale to był dopiero początek. Przed nami piętrzyły się coraz potężniejsze fale: ciemne, bez bałwanów, za to poprzecinane drżącymi żyłkami białej piany. Wznosiły się, aby runąć na nas z impetem katarakty.

Lornetki powędrowały na dół, a pasy bezpieczeństwa na górę. Poprzypinaliśmy się nimi wszyscy, tylko dowódca pozostał nieprzypięty. Stał z przodu w kiosku, mocno zaciskając ręce na poręczy i z wysuniętą do przodu głową opierał się falom jak byk.

Diesle pracowały z parsaniem. Kiedy grzbiet fali wynosił nas do góry, śruba z łoskotem meła powietrze.

Nagle przed nami wyrosła mokra ściana, wyższa niż wszystkie poprzednie. Widzieliśmy, jak idzie prosto na nas, a potem z całym kioskiem zniknęliśmy pod wodą. Kiedy plując i parsając, wynurzyliśmy

się, brakowało jednego człowieka: podoficera z pomostu. Węzły jego pasa bezpieczeństwa zerwały się, a on leżał przewieszony przez reling kiosku.

Jednym susem znalazł się przy nim dowódca, podciągnął go do góry i wysłał wraz z dwoma ludźmi do wnętrza okrętu. Pozostaliśmy sami na kiosku.

Fale stały się jeszcze potężniejsze. Niektóre były tak wysokie, że z wody wystawały tylko głowy wachty na pomoście.

W końcu nie pozostało nam nic innego, jak zanurzyć się. Następne zaczerpnięcie oddechu przez morze wykorzystaliśmy do zejścia przez właz kiosku. Za nami wlały się do wnętrza okrętu spienione potoki wody.

Pompy żęzowe mlaskając i bekając, rozpoczęły swą pracę. Wkrótce zanurzyliśmy się.

Im głębiej schodziliśmy, tym większa ogarniała nas cisza. Wreszcie umilkły wszystkie dźwięki świata zewnętrznego. Słyszeliśmy tylko odgłosy okrętu i wysoką nutę silników elektrycznych.

Płynęliśmy przez wiele godzin pod wodą, a kiedy wynurzyliśmy się, sztorm minął, a przed nami w szarości poranka ciągnęło się strome i ciemne wybrzeże Hiszpanii. Nie paliła się żadna latarnia morska, tylko księżyc przeświecał przez poszarpane obłoki.

Podoficer nawigacyjny zaklął. Bez znaków nawigacyjnych nie sposób ustalić pozycji; mógł jedynie stwierdzić, że znajdujemy się gdzieś między Bilbao a Santander.

Nastał dzień, a my rozpoczęliśmy naszą służbę patrolową. Wciąż tam i z powrotem, między Pasajes i przylądkiem Finisterre. Morze było wymiecione do czysta, tylko czasem nad horyzontem unosiły się smużki dymu. Za to ląd leżał przed nami ciemny i milczący. Tylko kiedy od jego strony wiał wiatr, słyszeliśmy z oddali grzmot dział. Dźwięk wnikał w nasze serca, budząc tęsknotę, jaką odczuwa każdy prawdziwy żołnierz: być tam, gdzie toczy się walka. Na to jednak było jeszcze za wcześnie. Tylko raz wojna przeszła tak blisko, że myśleliśmy, iż porwie nas ze sobą. Stało się to w okolicach Bilbao. Sygnaliści zameldowali:

- Dwa okręty wojenne po lewej burcie!

Dowódca wszedł ze mną na kiosk. Były to dwa okręty generała Franco, krążownik „Admirante Cerveira” i niszczyciel „Velazco”. Płynęły na nas całą naprzód, piętrząc po obu stronach dziobów potężne wąsy z białej piany.

Obserwowaliśmy je przez nasze lornetki i zobaczyliśmy, że kierują na nas lufy dział.

- Z pewnością biorą nas za czerwonych - stwierdził dowódca.

Sytuacja była skomplikowana. Spojrzałem na Hartmanna. Co zrobi? Jeśli zawrócimy, wezmą to za ucieczkę i zaczną strzelać. Jeśli popłyniemy w ich kierunku, odbiorą to jako atak. Jeśli się zanurzymy, zasypią nas bombami głębinowymi.

- Obie maszyny stop! - rozkazał kapitan.

Położyliśmy się w dryf, okręt kołysał się na falach z wyłączonymi silnikami. Na maszt radiostacji wciągnięto banderę, a reflektor gorączkowo zamigał alfabetem Morse'a w trzysekundowych odstępach: „Aleman... Aleman... Aleman...”

Na próżno! Nadal w nas celowali.

- Trochę duszno w tej okolicy - powiedziałem, przesuwając palcem po kołnierzyku.

Dowódca roześmiał się.

Wyloty luf były skierowane bezpośrednio na nas.

Ale wtedy, w jednej chwili, w odległości niecałej półtorej mili morskiej, okręty skrzyły, a wieżyczki ich dział ustawiły się w pozycji zerowej. Przepłynęły obok, pozdrawiając nas opuszczeniem flag.

Wojna musnęła nas i przemknęła obok. Nasz czas jeszcze nie nadszedł.

# 9

## PIERWSZE OSTRE STRZAŁY

Jesienią 1938 roku po raz pierwszy objąłem stanowisko dowódcze. Rozkaz dzienny brzmiał: „Porucznik marynarki Prien, dotychczasowe stanowisko służbowe: oficer wachtowy we flotylli U-bootów, nowe stanowisko służbowe: dowódca we flotylli U-bootów”.

A więc nareszcie własny okręt!

Z początkiem grudnia pojechałem do Kilonii. Udałem się do dowódcy flotylli, kapitana marynarki Sobego, który miał kwatery na okręcie pomocniczym „Hamburg”. Sobe przyjął mnie w swojej kajucie.

- No i jak, widział pan swój okręt? Był pan już w stoczni?

- Nie, panie kapitanie.

Uśmiechał się, ale jego ostre szare oczy mierzyły mnie badawczo.

- Widział pan już swoich ludzi?

- Nie, panie kapitanie.

- No, to niech pan najpierw obejrzy jedno i drugie.

Uścisk dłoni, wymamrotane „miło mi, że wylądował pan u nas”, niemieckie pozdrowienie i już byłem za drzwiami.

Pojechałem do stoczni. Okręt znajdował się tam, czekając na ostateczny szlif. Był to pierwszorzędny okręt, o szczupłej, ostrej sylwetce. Przespacerowałem się po nim i przyjrzałem wszystkiemu dokładnie. Czułem się tak, jakbym obejmował w posiadanie każdą część z osobna.

Poszedłem do adiutanta i zapowiedziałem na jutro przegląd załogi o dziesiątej rano na rufowym pokładzie okrętu pomocniczego „Hamburg”.

Następnego dnia była pogodna i słoneczna grudniowa niedziela. Kiedy wspinałem się po trapie prowadzącym na pokład, odczuwałem osobliwe napięcie. Jak przed rozstrzygającym spotkaniem. Trzydziestu ośmiu ludzi, stojących tam w górze, było tymi, z którymi miałem dzielić los przez najbliższe lata, na dobre i na złe, w czasie pokoju i - jeśli tak się stanie - w czasie wojny.

Potem zobaczyłem ich: stali na pokładzie w dwuszeregu, oficerowie, podoficerowie, marynarze. Ostry głos: - Do złożenia meldunku dowódcy - na lewo patrz!

Przez dwuszereg przebiegł błyskawiczny ruch. Potem podszedł do mnie porucznik pełniący obowiązki dowódcy, wysoki, barczysty mężczyzna o skupionej, poważnej twarzy:

- Porucznik inżynier Wessels melduje posłusznie panu porucznikowi zbiórkę załogi!

Stałem przed dwuszeregiem. - Czołem załoga! - Jak z jednych ust rozległo się:

- Czołem panie poruczniku!

Wcześniej często myślałem o tym, co powiem swoim ludziom, kiedy po raz pierwszy obejmę dowództwo. Teraz, kiedy stałem przed nimi, przemówiłem krótko:

- Za kilka dni staniemy się nową jednostką niemieckiej marynarki wojennej. Oczekuję, że każdy będzie wykonywał swoje obowiązki, tak jak i ja to będę czynił. Jeśli tak się stanie, będziemy żyć ze sobą w zgodzie.

Potem przeszedłem wzdłuż dwuszeregu, każąc sobie podać wszystkie nazwiska i stopnie. Zazwyczaj były to młode twarze, gładkie i świeże, nie naznaczone jeszcze życiem. Kilka jednak osób utkwiło mi w pamięci. Na przykład Endrass, pierwszy oficer wachtowy, szczupły i muskularny, typ sportowca; Spahr, podoficer nawigacyjny, krępy, spokojny i zdecydowany. Zapamiętałem również pocziwą, szeroką twarz Gustawa Böhma, mata z obsługi centrali, osobliwie zadumane

oczy mata maszynowni Holsteina, do tego jeszcze chytrego Górnoślązaka nazwiskiem Smyczek, a także szczerą i świeżą, chłopięcą twarz Lüdeckego.

Rozmawiałem z każdym, starając się poznać, jakim jest człowiekiem. Ale w gruncie rzeczy było to podobne do rozwiązywania zagadek. To bowiem, co naprawdę jest w człowieku, poznaje się dopiero przy pracy, albo w chwili niebezpieczeństwa.

Wiosną ćwiczyliśmy na okręcie każdego dnia, najpierw w zatoce, potem na Bałtyku. W trakcie tych ćwiczeń poznałem swoich ludzi. Doprawdy nie byli doborowymi marynarzami. Ale mieli serce na właściwym miejscu, byli żądni przygód i tak pełni temperamentu, że objawiał się on przy każdej okazji. Wszyscy ochotniczo zgłosili się do jednostek podwodnych, bo mieli nadzieję przeżyć tu więcej, niż w powszedniej służbie na okrętach wojennych.

Z początkiem sierpnia wypłynęliśmy na dłuższy patrol ćwiczebny po Atlantyku. W powietrzu czuło się już silne napięcie, wielu widziało przyszłość czarno, prorokując, że kiedy wrócimy, pokój już się skończy.

Patrol był wspaniały. Mieliśmy cudowną pogodę, klarowne dni późnego lata, zielone, lekko falujące morze i rozgwieżdżone noce. Kiedy tylko się dało, słuchaliśmy przez radio wiadomości z ojczyzny. Głos spikera oddalonego od nas o ponad tysiąc mil morskich budził uczucie ciepła i swojskości. Ale wiadomości, jakie podawał, były poważne i pachniały wojną.

Rozpoczęte z takim zapalem ćwiczenia zaczęły tracić sens i wyraźnie dało się zauważyć rozprężenie wśród załogi. Wolne wachty leżały na kojach, prowadząc polityczne dyskusje. Szczególnie niez mordowany był Gustaw Böhm. Z jego okrągłego ciała tryskała mądrość w coraz to nowych sentencjach.

W głębi serca jednak nikt z nas nie wierzył w wojnę, albo przynajmniej nie w wielką wojnę. Myśl o tym, że narody ponownie zaczną się rozszarpać, wydawała się nam bowiem niedorzeczna.

A jednak wojna nadeszła.

Pamiętam tę godzinę, jakby to było dziś. Stałem razem z Endrassem na kiosku. Był trzeci dzień września, dziesiąta rano. Wiał świeży wiatr z północy, fale wieńczyły białe piekarskie czapki piany. Okręt szedł połową mocy. Fala dziobowa szemrała, a z dołu dobiegał głęboki uspokajający pomruk silników. Nagle z wnętrza okrętu ktoś zawołał: -Panie kapitanie! - I jeszcze raz, głośniej: - Panie kapitanie!

Chwilę potem przez właz kiosku wyskoczył Hänsel. Poblady i bez tchu krzyczał, połykając końcówki: - Panie kapitanie... komunikat specjalny... wojna z Anglią!

Rzuciłem się na dół po drabince. W centrali Spahr i jeszcze dwóch ludzi stało przed małą brązową skrzynką, z której dobiegała marszowa muzyka w ostrym, szarpiącym nerwy rytmie. Stali z zaciśniętymi wargami. Milczeli.

- Co jest? - spytałem.

- Zaraz powtórzę, panie kapitanie - szepnął Spahr. Muzyka ucichła i rozległ się głos spikera:

„Tu Radio Wielkie Niemcy! Podajemy komunikat specjalny telegrafii bezprzewodowej: rząd brytyjski zażądał w nocy skierowanej do rządu Rzeszy wycofania na pozycje wyjściowe oddziałów niemieckich walczących na terenie Polski.

Dzisiaj rano, o godzinie dziewiątej poprzez angielskiego ambasadora w Berlinie oznajmiono w prowokacyjnej nocie, że jeśli do godziny jedenastej przed południem Londyn nie otrzyma zadowolającej odpowiedzi, Anglia uzna, iż weszła w stan wojny z Niemcami.

Brytyjskiemu ambasadorowi odpowiedziano na to, że rząd Rzeszy Niemieckiej i Naród Niemiecki odrzucają odbieranie i przyjmowanie do wiadomości ultymatywnych żądań rządu brytyjskiego, nie mówiąc już w ogóle o ich spełnianiu.”

Odczytano następnie niemiecki memoriał. Potem rozległy się dźwięki nowego marsza.

Milczymy. Myślę intensywnie, szybko i matematycznie ściśle. Wojna! To oznacza wojnę według prawa przowego! Obszar operacyjny wedle własnego uznania!

Wciąż jeszcze dźwięczy marsz. Poza tym na okręcie panuje zupełna cisza. Jak gdyby wszyscy wstrzymywali oddech i czekali na to, co się teraz stanie. Trzej ludzie w centrali stoją i patrzą na mnie. Odwracam się do mapy i kiwnięciem ręki przywołuję Spahra.

- Kurs 220 stopni, tam chcę operować - pokazuję mu trasę. Mimowolnie mówię stłumionym głosem. Za to z dziobu, tam gdzie wolna wachta wyleguje się w kojach, rozlega się: - Niech Bóg ma w swej opiece tych, co są winni takiej wojny...

Wspinam się powoli na kiosk. Endrass i sygnaliści patrzą na mnie w napięciu.

- Tak, Endrass, stało się! - mówię.

- No to do dzieła! - odpowiada poważnie.



Następnie wydaję rozkazy: - Wszystkie posterunki obserwacyjne mają prowadzić stałą obserwację przez lornetki. Jeśli tylko coś się pojawi w polu widzenia, meldować! Uważać przede wszystkim na lotników i peryskopy nieprzyjacielskich okrętów podwodnych!

Endrass salutuje bez słowa. Schodzę znowu do wnętrza okrętu. W małym kąciuku za kioskiem, służącym mi równocześnie za sypialnię i miejsce pracy, zaczynam pierwszą stronę naszego dziennika wojennego.

Kiedy zapis jest gotowy, kładę się na koi. A więc wojna, myślę, teraz zacznie się próba wytrzymałości. A ponieważ wiem, że odtąd będę potrzebował wszystkich sił, próbuję zasnąć i faktycznie po chwili zapadam w sen.

Budzi mnie krzyk: - Pomost do dowódcy. Dym 200 stopni z prawej burty! - Zrywam się z posłania. - Co?

Z centrali ktoś powtarza meldunek. Przerzucam nogi przez krawędź koi, chwytam czapkę z wieszaka i wdrapuję się po drabince do kiosku.

Na zewnątrz, na tle bladego popołudniowego nieba, widać smużkę dymu. Cienką i drżącą jak z ogniska, w którym dopiekają się ziemniaki. Przykładam lornetkę do oczu i patrzę.

Coś maleńkiego i czarnego sunie powoli po zaokrąglonym horyzoncie. Bierzymy kurs na statek. Daję całą naprzód. Odkosy fali dziobowej przelewają się przez pokład.

Powoli zbliżamy się. Statek wygląda na frachtowiec. Od pięciu do sześciu tysięcy ton, oceniam.

Kiedy możemy rozróżnić niezgrabne kształty mostka, zanurzamy się. Diesle milczą. Woda z szumem wpada do zbiorników balastowych, a potem z cienkim brzęczeniem zaczynają pracę silniki elektryczne. Stoimy w kiosku. Z nosem przyklejonym do peryskopu patrzę ponad zieloną powierzchnię na czarny punkt, który zbliża się do nas coraz bardziej.

- Mamy coś? - dopytuje niespokojnie z centrali Endrass.

- Endrass, uspokój się chłopie! - mówię. - Tata musi popatrzeć!

Ustawiliśmy się na kursie statku i płyniemy mu naprzeciw. Teraz mogę już rozpoznać oznaczenia. To Grek; stary, brudny frachtowiec wlokący z astmatycznym kaszlem ładunek przez morze.

- Grek - mówię głośno. - A potem:

- Przygotować się do boju artyleryjskiego! Przygotować flagi sygnałowe! Meldować, kiedy centrala będzie gotowa!

Z okrętu dobiega dudnienie kroków. Słychać klekoczący dźwięk, z jakim pociski wyciągane są z tulej, a potem metaliczny szcęk towarzyszący ich uzbrajaniu.

W chwilę później meldunki ze wszystkich stron: - Gotowi do boju artyleryjskiego!

Wynurzenie. Sprężone powietrze wpada z sykiem do wszystkich zbiorników.

Otwieramy właz kiosku. Wyskakujemy na pokład. Za mną artylerzyści z hałasem windują w górę drabinkę. - Jeden ślepy strzał! - rozkazuję.

Zaraz potem nad wodą rozbrzmiewa grzmiący głos Endrassa: - Ognia! Rozlega się huk działa. Echo detonacji wprawia kadłub okrętu w drżenie. Pocisk eksploduje sto metrów przed dziobem Greka. Nad fontanną wody wznosi się obłoczek dymu. Z wnętrza okrętu wysuwa się nasz maszt, a Endrass odzywa się znowu: - Ładować i zabezpieczać!

Pokład Greka przypomina mrowisko, w które ktoś wetknął kij. Wszyscy biegają bezładnie w kółko. Przez lornetkę można rozpoznać każdego z osobna. Widać jak na dłoni, że nasze wynurzenie nappełniło ich panicznym przerażeniem.

Zwalniają tempo, zatrzymują maszyny. I oto statek stoi przed nami, kołysząc się na falach i spuszczać parę.

Na jego maszcie pojawia się sygnał identyfikacyjny i flaga narodowa, my zaś sygnalizujemy: „Wysłać łódź z dokumentami!”

Ostrożnie podchodzimy do wielkiego, ciemnego pudła. Działo gotowe do strzału w każdej chwili.

Teraz jesteśmy na odległość głosu. Przytykam do ust megafon i wołam: - *Send a boat please, with your papers!*

W tej samej chwili, kiedy podnoszę tubę, ludzie na statku znikają za łodziami. Tylko ich dłonie, uniesione w niemieckim pozdrowieniu, wystają jeszcze ponad górną krawędzią łodzi ratunkowych. Wygląda to jak grządką dziwacznych roślin drżących na wietrze.

Dopiero po długiej chwili ze statku odzywa się głos: - *O. K. Sir.*

A potem Greka ogarnia gorączkowe ożywienie. Obie łodzie ratunkowe zostają spuszczone za burtę. Załoga wdrapuje się do nich z małą zręcznością. Za burtę lecą pokrywy luków i deski. Ledwo tylko łodzie dotknęły wody, załoga zaczyna wiosłować, byle dalej od nas, byle dalej od własnego statku. Pracują, aż gną się wiosła, jakby uczestniczyli w regatach. Jestem prawie gotowy uwierzyć, że chcą przed nami uciec, wiosłując.

W wolnym tempie płyniemy za łodziami i po paru minutach jesteśmy przy nich. Załoga natychmiast wciąga wiosła do łodzi i podnosi ręce wysoko nad głowę.

- *Who is the captain?* - pytam.

Z ławki podnosi się wysoki blondyn.

- *Your papers?*

Ręka, która podaje nam brązową skórzaną teczkę, drży.

Sprawdzam dokładnie papiery. Wszystko jest w porządku. Neutralny statek z ładunkiem - i to jeszcze dla Niemiec! Najmniejszego powodu do interwencji.

- *All right* - zwracam mu osobiście teczkę. - *You may go on!* - Gapi się na mnie z niedowierzaniem.

- Nie wolno wam podawać przez radio informacji o naszym spotkaniu - dodaję - bo zostanie to uznane za wrogi akt.

Potakuje skrętnie i podnosi rękę do niemieckiego pozdrowienia.

Zostawiamy łódź na falach i odpływamy. Załoga siedzi wciąż bez ruchu, jak skamieniała, z podniesionymi rękami. Dopiero, gdy jesteśmy oddaleni prawie o milę morską, widzimy, że obie małe łodzie pospiesznie powracają do porzuconego statku.

- Czy aby nas nie zrobili w ciula, panie kapitanie - Gustaw Böhm kiwa z powątpiewaniem głową okrągłą jak księżyc w pełni. Mówiąc to, wygląda rzeczywiście na bardzo strapionego.

Tylko dlatego zauważam łagodnie: - Drogi Gustawie, po pierwsze jako weteran marynarki handlowej widzę dobrze nawet bez okularów, a po drugie, tak pobożny marynarz jak ty powinien używać tego rodzaju wyrażen tylko w wyjątkowych wypadkach.

Strzela na to obcasami, aż trzęsą mu się policzki, a na horyzoncie Grek wypuszcza pierwsze kłęby dymu.

A potem płyniemy dalej, cały czas po wielkim szlaku parowców. Ale od tego pierwszego spotkania prześladowuje nas pech. Przez dwa dni nie widzimy nic poza niebem i wodą.

Wreszcie o świcie 5 września na horyzoncie znowu kiwa się smuga dymu. Stoję akurat na kiosku. Jest zamglony poranek. Lekka mgiełka wisi tuż nad falami, a nad szarymi oparami wschodzi krwistoczerwone słońce.

Trudno rozpoznać cokolwiek przy takim oświetleniu. Tak więc dostrzegamy dym dopiero wtedy, kiedy statek, mały czarny punkt, wyłania się zza horyzontu. Płyne dziwnym zygzakiem, jak ważka

kluczająca nad wodą. Endrass zauważa roztrupnie: - Kto ma coś na sumieniu, woli kręte drogi.

Zanurzamy się. Stoję przy peryskopie i obserwuję, jak statek zbliża się. To krótki, przysadzisty parowy frachtowiec, pomalowany na dziwne krzykliwe kolory. Komin jest lśniący czerwony, kadłub czarny, a dno ma kolor soczystej trawy. Na dziobie widać ogromne litery „Bosnia”.

Anglik! Widać, że jest ostrzeżony i gotowy na przykre niespodzianki. Nie powinniśmy wynurzać się przed nim. Może jest uzbrojony, może też próbuje nas staranować.

Pozwalam mu przepłynąć obok. Zaraz potem wynurzamy się i strzelamy mu przed dziób. Skręca, pokazując nam rufę, za którą coraz gwałtowniej pieni się woda. Próbuje uciec.

Drugi strzał. Tym razem tak blisko przed jego nosem, że po detonacji słup wody zalewa mu pokład. Ale nie zatrzymuje się. Jednocześnie z okrętu rozlega się okrzyk: - Meldunek do dowódcy. Nieprzyjaciel wysłał sygnały radiowe!

Zdyszany goniec wdrapuje się do kiosku. - Oto przechwycony komunikat!

Podaje mi kartkę: „Jestem ścigany i ostrzeliwany przez niemieckiego U-boota. Proszę o pilną pomoc!”. Potem podanie pozycji, a dalej, jak jeden wielki, nie kończący się śmiertelny okrzyk: „SOS... SOS... SOS...”

Teraz nie ma już czasu do namysłu. Musimy strzelać ostrymi pociskami. Daję Endrassowi znak. Ładowanie odbywa się szybko i dokładnie jak na manewrach. Potem głos Endrassa: - Ognia! - Krótki, ostry huk. Po nim, od strony „Bosni”, przeraźliwy odgłos uderzenia. Ze śródokręcia bucha kłęb niebieskiego dymu. Ale „Bosnia” płynie dalej...

- Pięć strzałów ogniem szybkim!

I znowu wyraźnie widoczne trafienie, po którym następuje trzecie.

Teraz Anglik zatrzymuje się wreszcie. Kołysze się na wodzie jak zranione zwierzę. Z luków bucha dym, ciężkie sinożółte opary wędrują do góry i rozpościerają się nad umierającym statkiem. Muszą wieść ładunek siarki, inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

Zbliżamy się do nieprzyjaciela, a ja obserwuję, jak załoga w pośpiechu rzuca się do łodzi i szybko spuszcza je na wodę.

Wtedy Hänsel krzyczy za mną:

- Dym w polu widzenia!

Odwracam się szybko. Rzeczywiście, na horyzoncie, na północnym zachodzie widać gruby obłok dymu, ciężki i czarny jak żałobna chorągiew. Błyskawicznie zastanawiam się: to może być pomoc dla Anglika... niszczyciel albo lekki krążownik...

- Niech pan nie spuszcza oka z tego statku - polecam Hänselowi – i melduje natychmiast, kiedy pan rozpozna, co to jest.

Żałoga „Bosni” pospieszyła się zanadto z wsiadaniem do łodzi. Jedna z nich nabrała wody. Żałosny to widok, gdy tak bezradnie kręcą się na falach. Jedni krzyczą, inni wyciągają do nas ręce i machają.

Bierzemy kurs na tonącą łódź. Samann i Dittmer leżą na prawej burcie, aby wziąć na pokład rozbitków. Leżą wychyleni daleko poza pokład, tak że ich ręce prawie zanurzają się w wodzie. Łódź ratunkowa „Bosni” jest teraz pełna wody aż po krawędź burty. Naraz przelewa się przez nią fala. Kilku ludzi wpada do wody. Inna fala rozdziela ich, widać jeszcze tylko pojedyncze głowy, rozproszone tu i tam. Wszystko to odbywa się w ciągu kilku sekund.

Paru marynarzy macha dziko ramionami wokół siebie. Ci pewnie nie umieją pływać. Inni płyną do drugiej łodzi, która teraz ustawiła się w dryf i zbliża się do rozbitków.

Nagle Dittmer i Samann wychylają się mocniej, chwytają jednego i wciągają na pokład. To niski rudowłosy chłopaczek, zapewne boy z mesy. Siedzi na pokładzie, łapiąc powietrze. Po jego twarzy i ubraniu strumieniami ścieka woda.

Za mną Hänsel melduje: - Panie kapitanie, to frachtowiec!

Odwracam się i przykładam lornetkę do oczu. Kadłub płynącego z południowego zachodu statku wystaje wysoko ponad powierzchnię wody. Widocznie nie wiozą ładunku.

- Dobrze, Hänsel - odpowiadam i oddycham głęboko. Spotkanie z niszczycielem przed zatopieniem „Bosni” byłoby kłopotliwe.

Boy z mesy wstał tymczasem i podszedł w towarzystwie Dittmera i Samanna do relingu. Stoi, trzęsąc się z zimna w mokrym ubraniu. Przywołuję go skinieniem do kiosku: - Byłeś na „Bosni” boyem w mesie?

- pytam.

- Tak jest, sir.

- Jaki wieźliście ładunek?

- Siarkę, sir.

- Dokąd mieliście płynąć?

- Do Glasgow - mówi straszliwym cockneyem<sup>9</sup>, ale odpowiada bez najmniejszego skrępowania. Widać, że jest chłopakiem z londyńskich slumsów, na którym byle co nie robi wrażenia.

- Trzęsiesz się, tak się bałeś?

Potrząsa głową. - Nie, tylko mi zimno, sir.

- Dostaniesz później koniaku - mówię. Skłania lekko głowę i chyba na znak wdzięczności dodaje:

- Oczywiście byliśmy wszyscy bardzo przerażeni, sir. Nie może pan sobie wyobrazić, jak to jest. Człowiek patrzy na wodę i nie widzi nic poza niebem i falami. Aż tu nagle, tuż przy tobie, wyskakuje taki wielki szary stwór. Prycha głośno jak zwierzę. Myślę, sir, że gdybym spotkał potwora z Loch Ness, to tak bym się nie przestraszył.

Podchodzimy teraz blisko do drugiej łodzi ratunkowej.

- Gdzie jest kapitan? - krzyczę.

Jeden z oficerów wstaje i wskazuje na „Bosnię”.

- Na pokładzie - odpowiada.

Spoglądam na statek. Spowity dymem i płomieniami wygląda jak pływający wulkan.

- Co tam robi?

- Pali papiery.

Błyskawicznie wyobrażam sobie tę sytuację. Sam jeden na płonącym statku, oddalony od lądu o setki mil morskich, bez łodzi ratunkowej, stoi w dymie i pożarze, niszcząc dokumenty statku, aby nie dostały się w ręce wroga. Czapki z głów!

- A pan kim jest? - pytam oficera.

Przykłada dłoń do czapki: - Pierwszym oficerem na „Bosni”!

- Niech pan wchodzi do nas na pokład.

Oficer wspina się na pokład, korzystając z pomocy Dittmera. Właściwie wcale nie wygląda na marynarza. Ciało ma tuste i miękkie. Kiedy stoi już na pokładzie, salutuje jeszcze raz w stronę kiosku.

Tymczasem małego boya przejmuje łódź „Bosni” i płyniemy dalej, w stronę zbliżającego się statku. To wielki Norweg, całym kadłubem wystający z wody.

Po drodze dostrzegamy jeszcze jednego rozbitka. Zatrzymujemy się. Samann i Dittmer biorą go na pokład.

Schodzę z kiosku i przyglądam się wyłowionemu. Leży jak martwy. To niski, wychudzony człowiek, jeszcze dość młody, ale spracowany

<sup>9</sup> Gwara londyńska (przyp. tłum.).

jak stara szkapa<sup>10</sup>. Na twarzy i ubraniu czarne ślady miału węglowego - to pewnie palacz z „Bosni”.

Samann zdejmuję mu kurtkę i koszulę. Jest rozpaczliwie chudy. Żebra sterczą mu jak pręty metalowej klatki.

Dittmer złapał go za ramiona i robi sztuczne oddychanie. Obok mnie stoi pierwszy oficer z „Bosni”, również spoglądając na nieprzytomnego. Nagle odzywa się: - Niemcy to jednak wspaniałomyślny naród, sir.

Patrzę na niego, jak sobie stoi, tłusty, zadbany i najwyraźniej bardzo zadowolony z własnej lizusowskiej chytryści.

W końcu nie mogę się już powstrzymać i mówię ostro: - Lepiej by było, gdyby pan dawał temu biedakowi więcej do jedzenia...

Potem zostawiam go i wracam do kiosku.

Norweg zbliżył się teraz tak bardzo, że można rozpoznać wielką flagę narodową na przednim maszcie. Każę dać sygnał „stop”. Zatrzymuje się tuż przed naszym okrętem. Jego kadłub, czarny i stromy, wystaje z wody jak ściana skalna.

Sygnalizujemy: „Proszę o przejęcie załogi angielskiego statku”. Odpowiadają: „Zrozumiano” i spuszczaają na wodę łódź.

Kiedy łódź stoi już przy naszej burcie, jako pierwszego wnoszą na nią małego palacza. Wciąż jeszcze jest nieprzytomny. Następny jest pierwszy oficer. Zanim wsiądzie, jeszcze raz salutuje w stronę kiosku.

Rozmawiam z norweskim oficerem z łodzi ratunkowej i wyjaśniam mu sytuację. Pokazuję na łódź ratunkową „Bosni” i na płonący statek. Właśnie w tej chwili ktoś skacze z niego do wody. To na pewno kapitan. Prawdopodobnie uporał się już ze zniszczeniem papierów.

- Musicie jeszcze uratować tego człowieka - mówię. Norweg kiwa głową i odbija.

Potem czekamy, aż zakończy akcję ratunkową. Trwa to długo i nasze posterunki obserwacyjne niespokojnie omiatają wzrokiem horyzont. W końcu „Bosnia” nadała SOS, a obłok dymu sterczy nad płonącym statkiem jak wielkie wołanie o pomoc. Pewnie jest widoczny w promieniu setek mil.

Wreszcie Norweg kiwa nam flagą i odpływa na południe. Musimy poświęcić jednego „węgorza”, aby szybko zakończyć sprawę.

Prawie cała załoga wyszła na pokład, by obejrzeć strzał. To nasz pierwszy ostry atak torpedowy w tej wojnie i każdy chce zobaczyć jego

<sup>10</sup> W oryginale „jak polski koń” (Polenpferd), dobór porównania zapewne nieprzypadkowy we wrześniu 1939 r. (przyp. tłum.).

efekty. Znamy wszyscy zdjęcia z poprzedniej wojny. Trafiony parowiec zanurza się zwykle stewą dziobową, staje dęba, a potem z rufą sterczącą jak wieża, zjeżdża na dno.

Ale tu wszystko przebiega inaczej. Z mniejszym patosem, bardziej rzeczowo i może dlatego w tej prozaiczności o wiele straszliwiej. Tępe uderzenie... słup wody wzbija się wysoko ponad maszty. A potem trafiony statek przelamuje się w połowie... po prostu rozpada się na dwa kawałki, które w ułamku sekundy, jak olbrzymie odłamki skalne, znikają w głębinie. Kawałki drewna, pokrywy skrzynek, puste lodzie huśtające się na falach - to wszystko, co zostaje.

Płyniemy w szybkim tempie na północ. Dopiero po dwóch dniach napotykaemy następny statek. Znowu Anglika. „Gartavon” - głoszą wielkie białe litery na kadłubie. Frachtowiec, szacuję go na trzy tysiące ton. Wynurzamy się tuż za nim i strzelamy mu przed dziób.

Nie zatrzymuje się. Telegrafuje o pomoc, więc automatycznie oddajemy drugi strzał tuż nad nim. Teraz zatrzymuje się, a jego nadajnik milknie. Załoga przechodzi do łodzi ratunkowych.

To cudowne, z jaką dokładnością wykonują ten manewr. Żadnego zamieszania, żadnego fałszywego ruchu. Wszystko przebiega sprawniej niż na niejednych ćwiczeniach floty.

Wytresowana łajba, myślę z uznaniem.

Ledwo tylko łodzie dotknęły wody, załoga zaczyna wiosłować. Równomiernie, krótkimi, twardymi uderzeniami oddalają się od swojego statku. Kiedy odpłynęli kawałek dalej, stawiają żagle. Obserwuję wszystko przez lornetkę. Także i to odbywa się z doskonałą zręcznością. Potem odwracam się w stronę opuszczonego statku.

I zdejmuję mnie lodowaty strach! „Gartavon”, statek bez załogi, ruszył z miejsca i kieruje się wielkim łukiem na nas.

Błyskawicznie pojmuję: puścili na nas pusty statek, chcą nas staranować!

- Obie maszyny cała naprzód! - krzyczę do wnętrza okrętu. Boleśnie długie sekundy, zanim odpowiada mi huczący warkot diesli.

„Gartavon” zbliża się coraz bardziej, już pada na nas cień jego olinowania. I wtedy spienia się woda pod uderzeniami śruby. Okręt skacze do przodu, a parowiec przecina tuż za nim nasz kilwater. Tak blisko, że jego fala dziobowa spycha na bok naszą rufę.

Ogarnia mnie zimna wściekłość. Rozpoczynamy pogoń za łodziami, które szybko oddalają się, równocześnie żeglując i wiosłując. Najwyraźniej próbują się nam wymknąć.



Nie zapominaj, że to rozbitkowie, wbijam sobie do głowy, podczas gdy nasz okręt zmniejsza dystans do uciekających.

Niedaleko od kapitańskiej łodzi „Gartavona” zwalniamy tempo i zatrzymujemy się. Jesteśmy od siebie oddaleni o niecałe dziesięć metrów.

Każę sobie podać tubę i wołam:

- Halo... ! Gdzie kapitan?

Z rufy łodzi podnosi się szczupły, jasnowłosy mężczyzna. Kapitan „Gartavona”, bardzo układny, bardzo zadbany, dżentelmen od stóp do głów. Przynajmniej zewnątrz.

Obok niego, na ławce, główny mechanik. Z czego on tak się cieszy? Z gęstwiny jego ciemnej brody połyskują białe zęby. Z pewnością to on napuścił na nas statek, a poczciwina kapitan tylko temu przytaknął.

- Macie jeszcze ludzi na pokładzie? - krzyczę przez megafon. Kapitan przykłada dłoń do ust.

- *No, Sir.*

- Ponieważ dopuściliście się działania zaczepnego, nie będę telegrafował o pomoc - zawiadamiam - ale skieruję do was neutralny statek, jeśli go spotkam.

Pokazuje, że zrozumiał - *O. K. Sir* - a potem, po krótkiej pauzie: - Czy mogę teraz odpłynąć?

- *Yes, go on* - odkrzykuję.

Salutuje jeszcze raz. Odsalutowuję. Jesteśmy uprzejmi wobec siebie, rycerscy przeciwnicy, jak ze szkolnej czytanki. Ale pod tą uprzejmością czai się lodowata, zaciekła nienawiść, nienawiść dwóch narodów, które stają naprzeciwko siebie do rozstrzygającej walki o być albo nie być na tym świecie.

Wracamy do „Gartavona”. Statek pływa wciąż w kółko jak owca przybita do palika.

Oszczędzamy torpedy i strzelamy kilkoma pociskami w jego kadłub. Wybuchy rozrywają ścianę burty, z otworu bucha biały dym. Powoli „Gartavon” schodzi coraz niżej.

Jeszcze jeden strzał!

Ociężale, jak trafione zwierzę, statek chyli się na bok, okręcając się jeszcze raz wokół własnej osi. Przez chwilę widać jego kil, obrośnięty zieloną trawą morską i wodorostami, a potem wszystko znika z bulgotem pod wodą.

Odtąd wojna z każdym dniem robi się twardsza. Anglicy uzbrajają swoje statki handlowe, albo płyną w konwojach. My się do tego

dostosowujemy! Każdy statek idący w nieprzyjacielskim konwoju jest torpedowany natychmiast i bez ostrzeżenia. Wśród podwodniaków popularne staje się powiedzenie: „Kto włącza się do konwoju, ten w konwoju ginie”.

Ja nie widziałem jeszcze żadnego konwoju. Niestety. Ale pewnego późnego zimowego popołudnia dostrzegamy smugę dymu rosnącą na horyzoncie. Potem wylania się olinowanie dużego statku. Potem jeszcze jedno. W końcu w naszą stronę płynie cały las masztów.

Doliczamy się dwunastu parowców eskortowanych przez pięć angielskich niszczycieli. Dla większego bezpieczeństwa wielkie statki zataczają się po morzu jak pijak wędrujący z jednej strony ulicy na drugą. Wokół nich przemykają, kreśląc zygzaki, małe niszczyciele.

Idziemy im naprzeciw. Morze jest dość wzburzone, niskie szare niebo zwiesza się tuż nad wodą. Wiatr wieje z północnego zachodu prosto na nas.

Nie jest łatwo śledzić ruchy nieprzyjaciela. Wciąż na nowo muszę zarządzać zmianę prędkości i kursu. Raz po raz zielone fale zalewają peryskop, który wciąż na nowo wysuwamy i wciągamy, ostrożnie jak ślimak rogi. Do tego mamy coraz mniej światła.

Wreszcie zapada wieczór i niebo zlewa się z morzem w jednolitą szarość. Myśliwy nie strzelałby przy takim świetle, byłoby to naruszeniem prawa łowieckiego. Ale w tym polowaniu obowiązują inne reguły. Nie spuszczam wzroku ze stada i wybieram sztukę do odstrzału. Jest nią gruby tankowiec, trzeci w rzędzie. Większy i cięższy niż pozostałe statki, a poza tym jako tankowiec szczególnie cenny.

Nie zapomnieliśmy słów Jellicoe<sup>11</sup> o tym, że alianci doszli do zwycięstwa na falach ropy naftowej. Ale ta fala nie dopłynie do brzegu.

Jesteśmy tak blisko, że musimy ograniczyć prędkość, żeby nie wpaść na statek. Tu na dole słyszymy całkiem wyraźnie ciężkie stękanie jego silnika. W polu widzenia peryskopu wyrasta dziób statku. Olbrzymia czarna ściana odcinająca się od nieba wypełnia w końcu cały widziej.

Rzucam komendę: - Pa!

Okręt drży od siły odrzutu. Na dole w centrali Spahr liczy monotonnym głosem: - Piętnaście... - To przecież niemożliwe... piętnaście sekund i jeszcze nie ma detonacji... czyżbyśmy go nie trafili?... Nie trafili, z takiej odległości?...

<sup>11</sup> John Rushworth Jellicoe (1859-1935), admirał brytyjski, morski bohater pierwszej wojny światowej (przyp. tłum.).

Ach, tu tkwi błąd! To śmieszne, zapomniałem uwzględnić lekkie powiększenie przez peryskop... W tym samym momencie słyszymy głucho uderzenie... Detonacja, hurra! „Węgorz” dotarł do celu. Ostrożnie wysuwamy peryskop. Jaskrawe światło, oślepiająco jasne. Z kadłuba trafionego statku strzela w niebo słup płomieni. Wysoki na jakieś sto pięćdziesiąt metrów.

Dwa niszczyciele pędzą w naszą stronę.

- Uwaga, niszczyciele! - krzyczę do załogi. I już pierwsze bomby głębinowe wpadają z przeraźliwym jazgotem w morze. Twarde szarpnięcia targają okrętem.

Chowamy peryskop. Odplywamy. Pauza z wstrzymanym oddechem... A potem po raz drugi, jeszcze bliżej i jeszcze przeraźliwiej kolejna seria bomb. Mamy wrażenie, jakby okręt pochwyciła gniewna pięść trzęsąca nim na wszystkie strony

Potem znowu milczenie.

W nagłej ciszy słychać pracę śrub niszczycieli. Piłujący nerwy terkot.

Trzecia seria bomb.

Tym razem nie widzialna pięść trafia nas ze straszliwą siłą. Brzęk tłuczonego szkła. Upiorny półmrok. Żarówki pękają z hukiem. Pęka szkło manometrów i wskaźników poziomu wody, a okruchy rozsypują się po pomieszczeniu.

Okręt chwieje się jak znokautowany bokser. Potem znów dochodzi do siebie.

Spokojny głos Wesselsa: - Meldować usterki centrali.

Z przedziałów dobiegają kolejno odpowiedzi:

- Przedział rufowy: uszkodzone trzy żarówki... przedział dziobowy: nie działają dwa manometry, uszkodzonych kilka żarówek... kabina radiooperatora: wysiadło oświetlenie, włączyło się awaryjne... - Ciska.

Potem parskanie, jakby lew morski wypuszczał powietrze z nozdrzy. I głos z centrali:

- Chłopie, to nam się znowu pofarciło.

Odplywamy. Odgłosy następnych bomb zostają daleko za nami.

Nagle z oddali dobiega do nas huk i łoskot, jakby pękającej stali. Powoli wysuwamy peryskop. Na powierzchni jest teraz noc. W ciemnościach wznosi się olbrzymia ognista katedra: szeroka na pięćset metrów i wysoka na sto. Tankowiec eksplodował, wylewając na morze swój płonący ładunek.

Przez sekundę myślę o ludziach uwięzionych w tym płomienistym piekle wstrząsa mną dreszcz.

# 10

## W POTRZASKU

Otrzymaliśmy rozkaz zapobiec lądowaniom oddziałów brytyjskich i krążymy już od kilku dni w okolicy Narwiku. Późnym popołudniem pewnego kwietniowego dnia wchodzimy do fiordu.

Jest pogodny dzień, słońce stoi wysoko na bładoniebieskim niebie, a wielkie zaspy śniegu odbijają jaskrawą bielą jego światło.

Powoli i ostrożnie suniemy w głąb fiordu. Po prawej i lewej pną się na wysokość setek metrów skały, prawie prostopadłe do powierzchni morza, a przed nami ciągnie się wąski tor wodny. Woda, którą orze nasz dziób, jest ciemna i spokojna. Nieprzyjemna to jazda. W każdej chwili zza górskiego grzbietu może wyłonić się nieprzyjacielski lotnik, a w czystej wodzie będzie nas widać na wiele metrów w głąb. W każdej zatoczce po bokach naszego toru może kryć się nieprzyjaciel czyhający, aby nas zaskoczyć i zniszczyć, tak jak my chcemy go zaskoczyć i zniszczyć. Każdy dom, każda droga na lądzie oznacza niebezpieczeństwo. Obecnie bowiem postawa Norwegii jest jeszcze niejasna.

Stoimy na kiosku i omiatamy lornetkami niebo, morze i ląd. Widać osadę. Parę małych, brązowych domków rozrzuconych z dala od siebie,

tułących się mocno do skalnej ściany. Schodzimy na głębokość peryskopową.

Kiedy wynurzamy się znów, jest noc. Biała, jasna, letnia skandynawska noc, w której blakną tylko kolory, a kontury rzeczy pozostają widoczne.

Okręt mija powoli załom skalny. Za nim - tuż przed nami, oddalony ledwie o dwa tysiące metrów - okręt wojenny na kotwicy. Angielski krążownik, siedem do ośmiu tysięcy ton. Jego sylwetka ostro odcina się od zaśnieżonych górskich ścian.

Natychmiast ustawiam okręt do ataku. To już mniej więcej końcówka naszej operacji, w wyrzutni mamy tylko jedną torpedę. Jeden strzał. Musi trafić w cel.

- Przygotować wyrzutnię! Gotowi! Pal!

Wstrząs wystrzału wibruje jeszcze w okręcie, a my już odwracamy się do ucieczki. Musimy płynąć bardzo powoli, gdyż przy szybkim tempie zdradziłaby nas fala dziobowa i warkot silników. Jesteśmy tak blisko nieprzyjaciela. Nie możemy się jednak zanurzyć, gdyż tuż przy brzegu woda jest za płytka. Podczas gdy okręt wciąż się jeszcze obraca, ja obserwuję tor biegu torpedy.

- Co za cholerna świnstwo, nie utrzymuje prostego toru! – Torpeda zbacza z kursu, płynąc łukiem na ścianę skalną przed Anglikiem. Nagle cichy zgrzyt pod naszym kilem. Pakujemy się na mieliznę. Utykamy. Tuż pod działaniami przeciwnika.

W tej samej chwili torpeda uderza o skałę. Piorunujący huk. Olbrzymi słup wody wspina się po skalnej ścianie.

Przez ułamek sekundy paraliżujące uczucie:

- Beznadziejna sytuacja, wszystko stracone...

Mimo to zostaje tylko jedno: działać, szybko działać.

- Obie maszyny stop! Obie maszyny cała wstecz! - krzyczę.

Huk zapalanych silników, sypią się iskry, z rufy leci dym. Ale okręt nie rusza się z miejsca. Krótkie spojrzenie w stronę krążownika. Nic nie widać. Dalej śpi z przygaszonymi światłami, jak po środku nasennym.

Łapie pierwszego oficera wachtowego: - Niech pan stanie w tylnej części kiosku i każe załodze wolnej od służby biegać od burty do burty, żeby rozkołysać okręt.

Rozkaz do drugiego oficera wachtowego: - Do środka okrętu, natychmiast zniszczyć tajne dokumenty, przygotować okręt do wysadzenia!

Varendorf znika w luku kiosku.

Krótkie spojrzenie przez rufę na Anglika. Nie do wiary, wciąż jeszcze śpi. Chciałbym mieć taki sen, kiedy przejdę na emeryturę.

Nowe rozkazy. - Opróżnić z wody wyrzutnie! Szasować dziobowe zbiorniki trzymujące! - Trzeba odciążyć część dziobową.

Okręt przypomina mrowisko, w które ktoś wetknął kij. Z dołu, potykając się w pośpiechu, wybiegają ludzie i mijając mnie, pędzą po schodach na pokład.

Krótki sygnał gwizdkiem pierwszego oficera. Odpowiada mu tupot wielu nóg. Załoga biegnie na lewą burtę.

Znowu gwizd, stłumiony, prawie niesłyszalny w huku maszyn. Nogi tupoczą z powrotem, w kierunku prawej burty.

Ciągnie się to minutami, tam - i z powrotem, tam - i z powrotem. Okręt porusza się ociężale, ale nie odrywa się od dna. Musimy wykonać zwrot.

- Prawa maszyna stop! - komenderuję. - Ster lewo na burt, lewa maszyna wolno naprzód!

Niezgrabny obrót, nieskończenie wolny, ale dalej ryjemy w dnie.

Oko z posterunku na lewej burcie szepce: - Panie kapitanie, tam widać jakiś cień...

Odwracam się: - Gdzie? - Wskazuje palcem w noc.

Przez fiord w stronę naszej zatoczki zmierza powoli jakiś statek. Nie słychać go i ledwie widać, jest szary jak zmierzchające niebo.

Nagle z jego pokładu błyska światło. Lampa wysyła sygnały alfabetem Morse'a. Wywołują nas, podając swój znak rozpoznawczy.

- Panie kapitanie, mam im wcisnąć jakiś kit? - pyta sygnalista półgłosem, mimo że hałas maszyn zagłusza wszystko.

Mamy teraz dwóch nieprzyjaciół w bezpośredniej bliskości. Na plecach krążownik, a z przodu nieznany statek.

Hänsel trzyma już w rękach lampę sygnałową.

- Niech pan to zostawi - polecam szybko. - Może wezmą nas za zgaszone światło nawigacyjne.

Wciąż wysyłają do nas sygnały, ale my milczymy. W końcu przestają.

- Panie kapitanie - słyszę za sobą Hänsela - tam dalej tuż przy brzegu cumuje taki stary kuter rybacki... - przerywa. Ale nasze mózgi pracują w tym napięciu na jednej częstotliwości, tak że pojmują bez dalszych słów. Gdyby nam się nie udało, moglibyśmy nim dopłynąć do Narwiku, myślę i wołam do wnętrza okrętu: - Przygotować karabiny maszynowe, pistolety i granaty ręczne!

Spojrzenie na krążownik: śpi nadal.

Posterunek obserwacyjny z lewej burty melduje: - Panie kapitanie, ten cień to parowy statek rybacki.

Spoglądam w tamtą stronę. Istotnie, ma rację. Uzbrojony statek rybacki. Stoi z wyłączonymi silnikami dokładnie przed wejściem do naszej zatoczki.

A więc uwięzieni, jak mysz w pułapce. Bezradni. Bez torpedy. Tarcza strzelecka dla dwóch przeciwników, z których każdy z osobna jest na wodzie silniejszy od nas.

Głos pierwszego sternika: - Okręt zaczyna poruszać się wstecz. – W tym samym momencie zauważamy to wszyscy. Zgrzytliwy dźwięk, okręt ślizga się do tyłu, daje nura dziobem i kołyszac się, powraca do równowagi.

Wolni! Dzięki Bogu, wolni!

- Cała załoga pod pokład z wyjątkiem wachty pokładowej! komenderuję. - Natychmiast przygotować się do zanurzenia!

Bierzemy kurs prosto na statek rybacki, którego wąska, ciemna sylwetka blokuje nam wyjście. Niecałe tysiąc metrów przed nim zanurzamy się. Przepływamy tuż pod nim. Kiedy nas odkrywa, jesteśmy już daleko, a za nami dźwięczy wściekle dudnienie jego bomb głębinowych.

Kiedy wchodzę do centrali, słyszę, jak ktoś mówi:

- No, można było najeść się strachu.

A ja myślę: pewnie, gdybym miał na to czas, też bym się przestraszył.

# 11

## SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ TYSIĘCY TON

Druga w nocy. Leżę na koi w niespokojnym półśnie. Z naprzeciwna, z kabiny radiooperatora dobiega popiskiwanie znaków Morse'a. Tuż obok mojego ucha, oddzielone tylko zieloną zasłoną z flauszu. Na okręcie jest ciasno.

Steinhagen melduje: - Panie kapitanie, radiogram do wszystkich okrętów: niemiecki samolot wylądował awaryjnie na środkowym Morzu Północnym. - Potem dokładna pozycja.

Wyskakuję z koi, chwytam czapkę i przechodzę do centrali. Szybkie spojrzenie na mapę. Podane namiary leżą tuż przy trasie naszego marszu.

Wychodzę na kiosk. Wachta pokładowa stoi, marznąc w swoich płaszczach. Jest zimno, przenikliwy ziąb pierwszych porannych godzin.

Udzielam krótkich instrukcji wachtowym: - Uważać dobrze: gdzieś tu awaryjnie wylądował samolot. Potem schodzę do centrali, podaję



nowy kurs i każę obudzić się rano o siódmej, o ile nic się wcześniej nie wydarzy.

Rano o siódmej Roth włącza nade mną światło, mówiąc głośno: - Jest siódma, panie kapitanie.

Kiedy wychodzę na pokład, poranna mgła ciągnie się rzadkim oparem nad wodą. Nie zauważono żadnych lotników. Poza tym nic nowego do zameldowania.

Głupia historia. Minęliśmy już podaną pozycję. Ci ludzie teraz bezradnie dryfują po morzu.

Pograżony w myślach, schodzę znowu do mesy. Varendorf siedzi już przy stole i je śniadanie. Salutuje. Siedzimy naprzeciwko siebie, tuż przy nas znajdują się szafki i koje. Varendorf opowiada coś. Ledwo go słucham. Myślami wciąż jestem przy lotnikach, których gdzieś tam niesie prąd. Musimy ich znaleźć, musimy!

To jest jak natchnienie: zrywam się, biegnę parę kroków do centrali i wołam: - Pomost! Ster lewo na burt, nowy kurs, dwieście czterdzieści pięć stopni!

Wracam do stołu. Varendorf zezuje na mnie z boku, ale nie odzywa się. Potem wstaje i idzie do kiosku. Zaczyna się jego wachta. Ja dalej przeżuвам swój chleb.

Naraz meldunek z pokładu: - Do dowódcy, przed nami raca.

Wspinam się na kiosk.

Varendorf wskazuje przed siebie w mgłę: - Tam była... białe światło! Utrzymujemy kurs dokładnie we wskazanym kierunku. Na falach kołysze się coś okrągłego: mina dryfująca. Omijamy ją, a potem wyłania się prosto przed nami szara bryła, z wolna zbliżając się. Gumowy ponton z ludźmi na pokładzie. Jest ich trzech. To lotnicy.

Kilka osób z załogi stoi przy lewej burcie, gotowych przyjąć rozbitków. Ludzie są ożywieni i weseli jak nigdy do tej pory.

- Chłopcy, chłopcy - słyszę jasny, dźwięczny głos bosmanmata Meiera - jak oni się będą cieszyć!

Odpowiada mu wrzawa w pontonie. Dwaj mężczyźni podskakują, wymachują ramionami, zrywają z głów lotnicze furazerki i wywijają nimi w powietrzu, cały czas krzycząc.

Manewrując, ustawiamy się z boku pontonu. Lotnicy już nie wiosłują, z radości prawie zapominają uchwycić linę ratunkową. Jesteśmy już przy nich. Tuzin rąk chwytają ich i wciąga na pokład. Najpierw rannego.

- Gdzie wasza maszyna? - pytam.
- Nie ma maszyny - odpowiada jeden z nich, sierżant.
- Czy kogoś jeszcze brakuje z waszych ludzi?
- Tak, dowódcy.
- Dlaczego?
- Nie żyje.

- Obie maszyny cała naprzód! - komenderuję. Musimy szybko zniknąć, ponieważ raca, którą wystrzelili lotnicy, mogła wskazać drogę także komuś innemu.

Moi ludzie pomagają przedostać się rannemu przez właz kiosku. To jeszcze młody chłopak. Jest blady i wygląda na dość wyczerpanego.

Potem meldują się obaj pozostali. Sierżant Klare i starszy sierżant Lippert. Lippert dziarsko strzela obcasami i melduje: - Ponton z trzema lotnikami na pokładzie. - Obaj mówią czystej wody dialektem saksońskim. Posyłam ich do wnętrza okrętu i po paru minutach podążam za nimi.

Na dole panuje dziki harmider. Ranny leży na koi głównego mechanika. Pięciu ludzi stara się ściągnąć z niego ubranie.

Dwaj pozostali siedzą na koi, ciasno otoczeni moimi ludźmi, którzy zasypują ich pytaniami i częstują herbatą, czekoladą i papierosami.

Nie wierzę własnym uszom, słysząc, jak kucharz Walz pyta: - Czy zrobić panu jajka sadzone, panie sierżancie? - Normalnie pilnuje jajek jak kwoka na gnieździe i dziobie każdego, kto tylko się odważy o nie poprosić.

Kiedy podchodzę, ranny podnosi się z postania i próbuje przyjąć postawę zasadniczą. Macham ręką, a potem badam jego rany. Ma draśnięcie na ramieniu i przestrzeloną łydkę. Czyste postrzały bez powikłań.

W trakcie badania ran każę mu opowiadać, choćby po to, aby odwrócić jego uwagę.

- Na środku morza - zaczyna - natknęliśmy się na angielski myśliwiec, Bristol-Blenheim.

Zaatakował nas i podziobał z karabinów maszynowych i działka pokładowego. Odpowiedzieliśmy ogniem. Wtem mechanik pokładowy zawołał: „Łądowanie awaryjne. Trafiony przewód chłodniczy!” Anglik zawrócił i znowu ruszył na nas. Dowódca, podporucznik Weinlig wcisnął się do wieżyczki karabinu maszynowego, żeby odpowiedzieć ogniem. Nagle przednia szyba zrobiła się czerwona od krwi. „Nic nie widzę!”

krzyknął nasz pilot i już byliśmy na dole. Wszyscy cali, tylko dowódca nie żył. Dostał w głowę na przestrzał, trysnęła krew, a pęd powietrza zalał nią szybę. Wciągnęliśmy go do środka, a Anglik przez cały czas krążył nad nami jak jastrząb. Strzelał natychmiast, kiedy tylko ktoś wystawił głowę. To wtedy dwa razy mnie drasnęło. W końcu wypchnęliśmy naszego martwego kolegę na skrzydło i napompowaliśmy ponton. Dopiero wtedy drań przestał strzelać.

Mieliśmy ze sobą kieszonkowy kompas i zaczęliśmy wiosłować. Ciągle na wschód. Anglik leciał jeszcze przez jakiś czas nad nami, a potem pojawił się jeszcze jeden Bristol-Blenheim, warcząc nam tuż nad głowami. Nie strzelali już, ale też nie zamierzali nas ratować.

Wiosłowaliśmy cały dzień i całą noc, i jeszcze jedną, przez czterdzieści godzin. Ciągle się przy tym zmienialiśmy. Ale spać i tak za bardzo się nie dało. Co jakiś czas wystrzeliwaliśmy racę... a potem zobaczyliśmy U-boota. Najpierw pomyśleliśmy, że to Anglik. Ale kiedy usłyszeliśmy niemiecką mowę, to jakby ktoś nas zdzielił przez łeb. Prawie oszaleliśmy z radości.

Wyczerpany zamilkł.

Skończyłem bandażować.

- No, teraz już dobrze - oceniłem. - Niech pan coś zje, a potem porządnie się wyśpi.

Wszystkich trzech nakarmiono i zniknęli w kojach. Ja natomiast wysyłam radiotelegram: „Lotnicy uratowani. Kontynuuję marsz”.

Dopiero następnego ranka ponownie widzę naszych gości. Dwaj zdrowi stoją, spoglądając z tęsknotą na mały okrągły kawałek nieba widoczny przez właz kiosku. Przypominają ptaki w klatce. W końcu przydzielam ich do wachty na pokładzie, żeby przynajmniej czasami mogli wyjść na świeże powietrze.

Mieliśmy nadzieję, że uratowanie lotników to dobry omen. Tymczasem wyglądało na to, że razem z nimi wzięliśmy na pokład pecha. Od tej chwili niczego nie możemy upolować. A pogoda jak na złość jest idealna do strzelania. Słońce świeci ostro z bezchmurnego nieba, morze oddycha łagodnym falowaniem i do późna w nocy jest jasno. Ale widzimy tylko niebo i wodę, a horyzont jak okiem sięgnąć pozostaje pusty.

Przez jedenaście dni krążymy daremnie w sektorze uchodzącym za najlepszy rewir łowiecki.

Nasze nerwy są napięte do granic wytrzymałości. Wachta stoi na kiosku z lornetkami przy oczach, lustrując widnokrag. Nic. Żadnego dymu, żadnego masztu, żadnego żagla!

Stopniowo ogarnia nas pieski nastrój porównywalny jedynie z chorobą polarną. Ludzie rzucają się na siebie z powodu najmniejszego drobiazgu. Kiedy zmiana wachty pojawia się na kiosku o dwie minuty za późno, już wybucha kłótnia. A gdy sam schodzę z kiosku, to stereotypowe „Dobrze uważać!” prawie więźnie mi w gardle.

Jedenastego dnia o świcie, przy próbnym zanurzeniu okrętu, stoję przy peryskopie i krzyczę do Böhma: - Gustaw, twój peryskop znowu jest zapaćkany!

- Przecież go dopiero co wycierałem, panie kapitanie!

W tym momencie dostrzegam pierwszy parowiec. Jakby mnie prąd kopnął.

- Na stanowiska bojowe! - rozkazuję podniecony.

Zbliżamy się szybko. To samotny tankowiec, jakieś sześć tysięcy ton, kreślący dzikie zygzaki dla ochrony przed atakiem. Przepluwamy pod nim i wynurzamy się tuż za jego rufą.

- Gotowi do boju artyleryjskiego!

W tej chwili odwracam się i zamieram. Na zachodzie, nad horyzontem wyrasta cały las masztów.

Konwój!

Alarm!

Zanurzenie!

O mały włos wpadlibyśmy w pułapkę na U-booty. Samotny statek został wedle wszelkich oznak wysłany naprzód jako przynęta. Mimo to nie rezygnujemy ze zdobyczy. Przez trzy godziny płyniemy w zanurzeniu za konwojem. Chcemy przeciąć mu drogę i ustawić się dokładnie przed nim.

Ale to beznadziejne! Nasza prędkość pod wodą jest zbyt mała. Kiedy w końcu ponownie wynurzamy się, las masztów kołysze się daleko na horyzoncie. Tylko jeden kuter rybacki sunie na nas w pianie fali dziobowej.

Zanurzamy się znowu, a później po raz drugi wychodzimy na powierzchnię. Tym razem z rozerwanej zasłony chmur wyskakuje na nas „Sunderland”, tak że musimy pospiesznie szukać schronienia pod wodą. Tymczasem konwój zupełnie zniknął z pola widzenia.

Klnę na czym świat stoi ze złości, ale w trakcie złorzeczeń słowa więźną mi w gardle. W zapadającym zmierzchu widzę, że w naszą stronę powoli i dostojnie płynie parowiec, który najwyraźniej odłączył się od stada; szacuję go na sześć tysięcy ton.

Na pokładzie ma olbrzymie kraty do przewożenia towarów, a na dziobie dostrzegam lufy dział. Doliczam się ośmiu.

Wynurzamy się naprzeciwko niego i odpalamy w jego kierunku torpedę. Trafiony w śródkręcie! Obserwuję przez peryskop, jak załoga pospiesznie wskakuje do łodzi. Potem parowiec powoli kładzie się na bok i ciągnąc za sobą wielki wir, znika w głębinie.

Odpywając, widzimy jeszcze długo wielkie kraty, kołyszące się na wodzie. Przez szpary między deskami obudowy możemy dostrzec ładunek: części do samolotów, płyty skrzydeł, smukłe kadłuby.

- Posłaliśmy na dno całe stado kanadyjskich kaczek – zauważa złośliwie Meier.

Cieszymy się wszyscy: teraz zły czar przysł. Ale pech nie opuszcza nas. Przez następne siedem dni znowu nie widzimy niczego poza niebem i wodą.

Choroba polarna na pokładzie przybiera rozmiary zarazy. Nie możemy już znieść się nawzajem. Patrzenie na innych, jak jedzą lub czyszczą zęby, może spowodować odruch wymiotny.

I wówczas, siedemnastego dnia, wachta melduje z kiosku: - Parowiec w polu widzenia! - Znowu cały konwój! Dostrzegł go jeden z lotników, sierżant Klare. Płyne około trzydziestu statków, układając się w długą linię na horyzoncie. Ponieważ nasze położenie jest niekorzystne, pozwalam im przepłynąć, wynurzam się za nimi i wyprzedzam dużym łukiem. Jest już wieczór, kiedy ponownie nawiązujemy z nimi kontakt. Tym razem jednak z korzystnej pozycji.

Ciemne sylwetki wspaniale odcinają się od jasnego wieczornego nieba.

Wybieram sobie trzy najgrubsze. Dwa tankowce: dwunasto- i siedmiotysięcznik oraz frachtowiec, który też ma jakieś siedem tysięcy ton.

Podchodzimy do nich pod wodą. Tkwią przy peryskopie i obserwuję. Niżej pierwszy oficer wachtowy wydaje komendy do wystrzelenia torped.

Pierwsza wyrzutnia wypływa torpedę, zaraz po niej druga - za kilka sekund kolej na trzecią.

Ale trzecia wyrzutnia milczy.

Na dole głuchy gwar głosów. W tej chwili nie mogę się jednak o to troszczyć. Muszę obserwować efekt strzałów. Hura, pierwsze trafienie - dwunastotysięcznik „Cadillac”!

Głuchy wstrząs detonacji, ściana wody i wylaniający się zza niej statek, cały spowity w żółtobrunatne kłęby dymu.

Drugie trafienie! Nie wierzę własnym oczom. Parowiec, do którego w ogóle nie celowaliśmy: „Gracia” o wyporności pięciu tysięcy sześciuset ton.

Zaraz potem torpeda dosięga frachtowca - siedmiotysięcznika.

Wszystkie trzy statki zostały skutecznie trafione. Żadnego nie da się już uratować. Oddaliśmy się, a za nami wyją bomby głębinowe.

Wzywam do siebie mata przedziału torpedowego.

- Co tam było przedtem nie tak, Tewes? – wsiałam na niego. - Dlaczego nie strzelano na moją komendę?

Stoi przede mną zakłopotany: - Melduję, panie kapitanie, że się poślizgnąłem i upadłem na mechanizm spustowy, i przez to strzał padł wcześniej.

Chcąc nie chcąc, muszę się roześmiać. - No, coś tam pan mimo wszystko trafił. Ale tak czy owak, jesteśmy przez pana stratni na tysiąc pięćset ton.

Milczy z zakłopotaniem. Potem pyta: - A ile było razem, panie kapitanie?

- Dwadzieścia cztery tysiące - mówię.

Wiadomość lotem błyskawicy obiega okręt. Twarze rozjaśniają się jak niebo po długiej deszczowej pogodzie.

W końcu mamy odmianę. W dwa dni później zatapiamy nocą zaciemniony parowiec z ładunkiem pszenicy. Około dwóch tysięcy ośmiuset ton. Aby zaoszczędzić torpedy, pozwalamy najpierw załozce wsiąść do łodzi ratunkowych i załatwiamy sprawę przy pomocy artylerii.

Jesteśmy dość daleko od lądu, podpływam więc do łodzi i zaopatruję je w chleb, serdelki i rum.

Po dwóch dniach znowu dwa statki. Rano, bladym świtem, czterotysięcznik z ładunkiem drewna. Posyłamy go pod wodę kilkoma strzałami artyleryjskimi. A późnym popołudniem napotykamy holenderski tankowiec z ładunkiem oleju ciężkiego. Na jego pomoście piętrzy się zapowiadająca niebezpieczeństwo bariera z worków z piaskiem.

Posyłamy mu w brzuch serię z działka 88 mm. Jednak kadłub, zamiast tonąć, coraz bardziej unosi się ponad powierzchnię wody. Wyciekający olej czyni go bowiem lżejszym z sekundy na sekundę. W końcu celujemy z działka w maszynownię i teraz statek zaczyna się stopniowo zanurzać.

Łodzie z uratowaną załogą są już dość daleko, kiedy odkrywamy unoszących się na wodzie trzech ludzi. To trzeci i czwarty mechanik oraz palacz. Kapitan nie zatroszczył się o nich. Byli na dole w maszynowni, a on pozwolił im zatonąć razem ze statkiem.

Doganiem łodzie ratunkowe i przekazuję im tych trzech. Przy okazji wygłaszam do owego „chrześcijańskiego” marynarza małą mowę, zaczynając się od słów: „Cholerny łajdaku...” brzmiącą stopniowo coraz dobitniej.

Jak dotąd, w czasie tej operacji zatopiliśmy prawie czterdzieści tysięcy ton - dokładnie zaś trzydzieści dziewięć tysięcy osiemset osiemdziesiąt pięć. Zaczynamy być z siebie zadowoleni. Potem jednak dociera do nas radiowy meldunek: „Niemiecki U-boot powrócił z patrolu zatopiwszy pięćdziesiąt cztery tysiące ton”. Mowa o okręcie, którego dowódca odbywał u nas szkolenie.

Twarze mojej załogi wydłużają się, a radiotelegrafista Steinhagen podsumowuje ogólną opinię: - To bolesne - mówi - widzieć, jak młodzi przerastają nas o głowę.

Jego strapienie wydaje mi się nieco dziecinne. Niemniej jednak cieszę mnie wola czynu widoczna w postawie załogi.

Wzywam do siebie pierwszego i drugiego oficera wachtowego. Wynik naszej narady jest druzgocący. Zostało nam na pokładzie amunicji na zaledwie sześć strzałów artyleryjskich i jeszcze tylko kilka torped, z których jedna na dodatek jest nie całkiem sprawna.

Następnej nocy tracimy torpedę, chybiając celu. W oddali przepływa parowiec z przyciemnionymi światłami. Jest bardzo szybki i musimy strzelać, jeśli w ogóle chcemy go złapać.

Kiedy torpeda opuszcza wyrzutnię, zaczyna się liczenie.

Pięćdziesiąt sekund... każda następna boli, bo z każdą chwilą maleje prawdopodobieństwo trafienia.

Minuta dwadzieścia sekund... - Mój piękny „węgorzu” - zżyma się Varendorf i zaciska usta.

Podajemy pościg, ale nie odnajdujemy już parowca; pochłonęła go ciemność.

Budzą mnie o brzasku. Pierwszy oficer wypatrzył parowiec, „Empire Toucan”, siedem tysięcy ton.

Nasz okręt kołysze się ociężale na falach.

- Musimy zaatakować artylerią! - rozkazuję.

- Czy trafimy przy takim falowaniu - powątpiewa pierwszy wachtowy. Wzruszam ramionami: - Tak czy owak musimy oszczędniej obchodzić się z „węgorzami”.

Budzimy celowniczego, bosmanmata Meiera. Nie chce przyjść. Strzelać przy takiej pogodzie? - mówi do gońca, który wyrywa go ze snu. - Nie zartuj sobie ze starego człowieka. - Wysyłam jeszcze raz gońca ze służbowym rozkazem z pomostu. W końcu Meier pojawia się, zaspany i w złym humorze.

Podaję mu komendy: - Pierwszy strzał musi trafić między działa, które dobrze widać w tylnej części okrętu, drugi zaś w mostek, żeby nie mógł użyć radia!

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiada i strzela obcasami. Ale z wyrazu jego twarzy wnioskuję, że chciałby mi powiedzieć: „Tych pocisków moglibyśmy sobie zaoszczędzić”.

Stoimy wszyscy na pokładzie i obserwujemy strzały. Jest to bowiem nasza ostatnia amunicja. Pierwszy pocisk uderza dokładnie między działa. Drugi w przód okrętu, trzeci w rufę. Czwarty strzał to zupełnie pudło, piąty okazuje się niewypałem. Wreszcie szósty pocisk przebija mostek i zaplątuje się na dziobie w rękaw wskazujący kierunek wiatru.

Upiorny widok: od ciśnienia powietrza spowodowanego detonacją rękaw wzdyma się jak niesamowite białe widmo o brzasku poranka, zapadając się następnie nad przednim masztem.

Mimo ostatniego trafienia nieprzyjacielski radiotelegrafista pracuje jak opętany, wysyłając w noc swoje SOS.

Teraz załoga wskakuje do łodzi i wiosłując pospiesznie, oddala się od statku. Radiotelegrafista jednak pozostaje i pracuje nadal.

Nie ma rady, musimy poświęcić torpedę, jeśli nie chcemy mieć zaraz na karku całej sfory psów gończych.

„Empire Toucan” zostaje trafiony w samo śródkręcie. Statek łamie się, zanurza się głębiej, a potem jeszcze raz staje dęba. Radiotelegrafista wciąż pracuje.

W końcu widzimy, jak po pochylonym pokładzie pędzi człowiek. Zrywa ze ściany lampę sygnalizacyjną i trzymając ją jak pochodnię we wzniezionej dłoni, skacze szerokim łukiem za burtę tonącego statku. Czerwone światło gaśnie dopiero wtedy, gdy wpada do wody.

Bierzemy kurs na miejsce, gdzie zniknął, ale już go nie odnajdujemy.

Wkrótce potem od północy pojawiają się cienie, mroczne zjawy w świetle brzasku. Prawdopodobnie niszczyciele.



Została nam na pokładzie jeszcze tylko jedna sprawna torpeda. Musimy się szybko oddalić.

Trzy minuty później Steinhagen przynosi mi radiotelegram. To ostatnie słowa z „Empire Toucan”: „Zostaliśmy storpedowani przez U-boota, toniemy szybko przez stewę tylną. SOS”... a potem ciągła kreska... ostatni sygnał radiotelegrafisty.

Następny statek napotykamy w dwa dni później około południa. Grecki frachtowiec. Załatwiamy go jednym strzałem torpedy naszym ostatnim sprawnym bojowo „węgorzem”. Kolejne cztery tysiące ton.

Steinhagen wsuwa głowę przez drzwi. - Panie kapitanie, starczy? - pyta bez tchu.

Już siedzę i podliczam. - Nie - stwierdzam. - Mamy pięćdziesiąt jeden tysięcy ton, a tamten ma trzy tysiące więcej.

Przez okręt przetacza się fala rozczarowania.

Zarządzam powrót, z niesprawną torpedą na pokładzie.

Wzywam do siebie mata torpedowego: - Niech pan spróbuje wszystkiego, co w pańskiej mocy, aby przemówić „węgorzowi” do rozsądku - polecam. Odchodzi.

Następnego dnia melduje, że „węgorz” jest sprawny.

Mamy spokojny, jasny letni poranek. Płyniemy w pobliżu wybrzeża, morze jest nieporuszone. Nagle oko melduje: - Parowiec od dziobu z prawej burty! - Olbrzymie pudło z dwoma kominami płynie ku nam dzikimi zygzakami, wylaniając się z porannego słońca. Pod słońce nie możemy rozpoznać jego kolorów, ale oceniam po sylwetce, że mamy przed sobą statek klasy „Ormonde”. Klasa „Ormonde” - to oznacza ponad piętnaście tysięcy ton.

- Koledzy - zaczynam i czuję, jak podniecenie ścisza mi krtań trzymajcie kciuki! Czy damy sobie radę przy niepewnym sprzęcie?

Potem komenda: - Pal!

Czekanie... czekanie... czekanie...

Przeraźliwie wolno wloką się sekundy. Statek jest daleko. Chyba za daleko, myślę.

I wtedy w oddali, dokładnie na wysokości śródkręcia, strzela w górę słup wody, wznosząc się wysoko ponad maszty, a zaraz potem słyszemy świst i huk detonacji.

Olbrzymie pudło wali się ociężale na prawą burtę. Załoga z najwyższym pośpiechem spuszcza na wodę łodzie. Wiele łodzi. Pomiedzy nimi w morzu pływają setki głów. Nie można im pomóc. Za blisko wybrzeża,

a statek wciąż jeszcze utrzymuje się na wodzie. Na jego przednim pokładzie wyraźnie można rozpoznać działa. Odpływamy w zanurzeniu. A kiedy po paru minutach znowu się wynurzamy, po spokojnym porannym morzu pływają już tylko łódzie ratunkowe.

Schodzę do swojej klatki, aby zrobić wpis do dziennika wojennego. Przed okrągłym włazem centrali stoję na moment jak wryty. Wisi tam tablica z wielkim napisem:

*66 587 ton*

*Nauczyć się na pamięć!*

# 12

## SCAPA FLOW

Po posiłku gawędzimy jeszcze, stojąc w mesie naszego okrętu. Nagle mesowy otwiera drzwi. Na progu staje komandor von Friedeburg.

- Panowie, proszę o uwagę! Komandor podporucznik Sobe oraz kapitanowie Wellner i Prien proszeni są o przybycie do F.d.U<sup>12</sup>.

Salutuje krótko i znika.

Spoglądamy na siebie, a mój dowódca flotylli zastanawia się: - No, o co chodzi? Zmalowaliście coś? Czy pobiliście się?

Spogląda najpierw na Wellnera, a potem na mnie. Wellner odpowiada za nas obu.

- Nie, panie komandorze.

Po dziesięciu minutach wsiadamy do łodzi zacumowanej do burty naszego statku i odpływamy. W porcie panuje niedzielna cisza. Także my milczymy.

<sup>12</sup> F.d.U. - Führer der U-Boote - Dowódca Okrętów Podwodnych, najwyższy zwierzchnik broni podwodnej; funkcję tę pełnił od 1936 r. admirał Karl Dönitz (przyp. tłum.).

Zastanawiam się, czego może chcieć F.d.U. Taki rozkaz w niedzielę jest bowiem czymś niezwykłym. Także pozostała dwójka zatopiła się w rozmyślaniach.

Kiedy dopływamy do okrętu bazy „Weichsel”, trwa akurat zbiórka załogi jednego z U-Bootów na molo Tirpitz. Komodor przechodzi wzdłuż szeregu.

Wchodzimy do mesy i czekamy. Minuty dłużej się, w końcu pojawia się goniec, trzaskając obcasami: - Panie komandorze, F.d.U. prosi pana do mesy dowódcy.

Sobe opuszcza nas, a w kilka minut później wezwano Wellnera. Zostaję sam, podchodzę do bulaja i wyglądam. Czegóż on może chcieć, zastanawiam się. Ta myśl dręczy mnie coraz bardziej.

W końcu powraca goniec. - Panie kapitanie, F.d.U. prosi pana.

Goniec idzie przodem, ja za nim po trapie w górę. I już stoję w jasnym pomieszczeniu, twarzą w twarz z F.d.U.

Pośrodku widzę wielki stół pokryty mapami, dalej pod ścianą stoją szef flotylli i Wellner.

- Melduję posłusznie swoje przybycie.

- Dziękuję, Prien.

F.d.U. ściska mi rękę: - A teraz proszę posłuchać. Wellner, niech pan zacznie od początku.

Wellner podchodzi do stołu i pochyla się nad mapą.

- Ochrona jest taka sama jak wszędzie. Szczególne środki ostrożności, które wymieniłem w dzienniku działań wojennych, rozmieszczono w następujących punktach... - Wellner wskazuje kilka miejsc na mapie.

Podążam wzrokiem za jego dłonią. Wskazuje na Orkady. Natomiast w samym środku mapy czernieją wielkie litery: Zatoka Scapa Flow.

Wellner tłumaczy dalej, ale w tej chwili nie mogę za nim nadążyć. Wszystkie moje myśli krążą wokół tej jednej nazwy: Scapa Flow. Potem głos zabiera admirał Dönitz, Dowódca Okrętów Podwodnych: - Podczas wojny światowej angielskie zapory były postawione tutaj - pochyla się nad mapą i pokazuje miejsca czubkiem cyrkla - prawdopodobnie tak jest i teraz. Wtedy, w tym miejscu zniszczyli Emsmanna - czubek cyrkla pokazuje cieśninę Holm - tutaj zaś - cyrkiel przesuwa się - są tradycyjne kotwicowiska floty angielskiej.

- Wszystkie siedem wejść do zatoki - ciągnie dalej - jest z pewnością zablokowane i dobrze strzeżone. Niemniej sędzę, że zdecydowany

dowódca mógłby wejść tędy - czubek cyrkla wędruje po mapie. - Nie będzie to łatwe, gdyż prąd między wyspami jest bardzo silny. Ale mimo to wierzę, że mogłoby to się udać!

Podnosi głowę. Ostre, badawcze spojrzenie spod opuszczonego czoła.

- Co pan o tym myśli, Prien?

Wpatruję się w mapę. Ale zanim cokolwiek odpowiem, kontynuuję:

- Nie chcę teraz odpowiedzi. Niech pan to sobie przemyśli w spokoju.

Proszę wziąć wszystkie materiały i dobrze przeanalizować. Oczekuję pana decyzji we wtorek do południa.

Prostuje się i patrzy mi w oczy: - Mam nadzieję, że dobrze mnie pan rozumie, Prien. Ma pan pełną swobodę decyzji. Jeśli dojdzie pan do przekonania, że operacja jest nie do wykonania, proszę mi zameldować. - I dodaje z naciskiem: - Nie będzie to dla pana plamą na honorze, Prien. Pozostanie pan dla nas tym, kim pan jest.

Uścisk ręki. Zabieram mapę i wyliczenia. Niemieckie pozdrowienie i już jestem za drzwiami.

Płynę na okręt-bazę „Hamburg”. Zamykam materiały w małym stalowym sejfie. Potem idę do domu.

Po drodze salutują mi żołnierze, a ja mechanicznie odsalutowuję. Wypełnia mnie ogromne napięcie. Czy to się da wykonać? Rozum liczy i pyta, ale wola mówi już teraz, że musi się udać.

W domu jedzenie czeka już na stole. Witam się z żoną i dzieckiem. Moje myśli krążą bez przerwy wokół jednego problemu: Scapa Flow.

Po posiłku proszę żonę, żeby sama poszła na spacer. Muszę jeszcze popracować. Kiwa głową i uśmiecha się, trochę smutno. - Ach tak, kolejna operacja - i odchodzi, nie zadając więcej pytań. Sama jest córką żołnierza.

Wracam szybko na okręt. Z pancерnej szafki wyciągam teczkę z mapami i obliczeniami. Zabieram je do mieszkania.

Potem siedzę przy biurku, pod małą żółtą lampą, z rozłożonymi mapami, planami i przeliczam dane jak matematyczne zadanie. Wspaniale to wszystko zostało zaplanowane.

Na dworze panuje już mrok, kiedy kończę pracę. Zbieram papiery do kupy i niosę je z powrotem do portu. Miasto jest ciche i mroczne, tylko na niebie palą się wielkie i jasne gwiazdy.

Następnego dnia każe się zaanonsować komandorowi von Friedeburgowi. Przyjmuje mnie natychmiast - No - zaczyna i spogląda na mnie, mrużąc oczy - i jak, Prien?

- Kiedy mogę złożyć meldunek F.d.U., panie komandorze?

- To znaczy, że płyniesz?

- Tak jest

Opada ciężko na fotel i chwyta za słuchawkę. - Tak właśnie myślałem - mówi przy tym - tylko bałem się trochę, ze względu na twoją żonę.

Potem telefonuje: - Tak jest, panie admirale, Prien jest u mnie. Tak jest, o czternastej.

Wstaje. - Dzisiaj o drugiej po południu u F.d.U. - oznajmia. - Wielki lew już czeka.

Punktualnie o drugiej jestem u admirała. Gdy wchodzi, siedzi za biurkiem.

- Melduję posłusznie swoje przybycie.

Nie odpowiada, jak gdyby przeoczył mój salut. Patrzy na mnie uważnie i pyta:

- Tak czy nie?

- Tak, panie admirale.

Cień uśmiechu. Po chwili, już poważny, dodaje z naciskiem: - Przemysłał pan to sobie dokładnie? Pomyślał pan o Emsmannie i Henningu?

- Tak jest - odpowiadam.

- W takim razie proszę przygotować okręt - mówi. - Data wyjścia na morze zostanie podana później.

Wstaje, obchodzi biurko i podaje mi rękę. Milczy, ale uścisk jego dłoni jest mocny.

Ósmego października o dziesiątej rano wypływamy. Znowu jest niedziela, jasny piękny dzień późnej jesieni. Na nabrzeżu stoi komandor von Friedeburg i adiutant dowódcy flotylli. Zatrzymuję się przy nich jeszcze przez chwilę na nabrzeżu i spoglądam na okręt przycumowany linami do pachołków. Załoga jest już na pokładzie.

Chodzimy tam i z powrotem po nabrzeżu. Nie zamieniamy ze sobą niemal ani jednego słowa. Tylko pod koniec Friedeburg odzywa się: -No, Güntherku, cokolwiek się stanie, parę ładnych tysięcy ton na pewno będzie twoich. Poza tym połamania nóg!

Salutuje, a on odsalutowuje. Potem wchodzi po trapie na okręt. Cumy lecą na brzeg, dudnienie diesli z rosnącą siłą wypełnia drżące ciało okrętu. Ruszamy powoli na szarozielone morze, biorąc kurs na północno-północny zachód... na Scapa Flow!

Dwie sylwetki na brzegu znikają w delikatnej szarej mgiełce, z oczu ginie ład. A potem jest już tylko niebo i morze, zielone, jesiennie zimne

morze i zmęczone słońce, którego słaby blask pada na powierzchnię wody.

Kurs na północno-północny zachód - nikt na pokładzie nie zna celu, tylko ja. Spozstrzegamy rybacki lugier i zanurzamy się. Widzimy na horyzoncie dymy dalekich statków, ale nie puszczamy się w pogoń za żadnym z nich. Załoga spogląda na mnie pytająco i badawczo, ale nikt nic nie mówi, a ja muszę milczeć.

Trudno jest zachować milczenie przed takimi kolegami.

Pogoda, pierwszego dnia piękna i słoneczna, pogarsza się coraz bardziej. Wchodzimy prosto w niż przesuwany się znad Irlandii. Wiatr staje się silniejszy, a wachty idące na kiosk muszą zakładać impregnowaną odzież.

Na wysokości Duncansby Head barometr spada na 978. Wiatr wieje coraz silniej. Jest przynajmniej osiem w skali Beauforta, w porywach zapewne więcej. Fale piętrzą się, wielkie i ciemne, pokryte na czubach białą pianą, a ich korony połyskują w nocy bladą poświatą.

Stoimy na kiosku, wpatrujemy się w mrok. Nic nie widać. Żadnej gwiazdy, gdyż niebo spowijają ciężkie chmury, z których bezustannie siąpi drobna mżawka. Nie świeci nam też żadna latarnia, ponieważ wojna zgasiła je wszystkie jednym skinieniem. Wokół nas panuje ciemność, w której bałwany połyskują jak biała porcelana.

Po lewej burcie z przodu nad falami wznosi się cień, bardziej go wyczuwamy niż widzimy: to wyspy.

Endrass pochyla się ku mnie: - Czy nie zamierzamy przypadkiem odwiedzić Orkadów, panie kapitanie?

Teraz wolno mi już mówić: - Niech pan się trzyma mocno, Endrass - odpowiadam. - Płyniemy prosto do Scapa Flow.

Nie widzę jego twarzy. Wieje wiatr i szumi morze. Ale po chwili słyszę jego głos, całkiem spokojny i stanowczy: - Damy radę, panie kapitanie, damy radę.

Endrass, człowieku, chłopie, myślę, nic lepszego nie mogłeś mi powiedzieć w tej godzinie.

Ale głośno dodają tylko: - Odejdziemy teraz od wybrzeża i położymy się na dnie. Potem zbiórka załogi na dziobie.

Cień wybrzeża powoli znika za horyzontem. Jesteśmy znów zupełnie sami między ciemnym niebem i ciemnym morzem. W pół godziny później szczerlnie zamykamy właz kiosku. Przez okręt przebiega

głębokie brzęczenie wentylatorów. Potem woda z bulgotem wpada do zbiorników: zanurzamy się.

Świst wiatru cichnie, morze uspokaja się. Opadamy w milczącą głębinę. Kilka krótkich komend do sternika głębokości, wysoki przenikliwy brzęk silników elektrycznych, potem lekkie, prawie niewyczuwalne drgnięcie, maszyny zatrzymują się - leżymy na dnie.

Jest 13 października, czwarta rano.

Wychodzę z centrali i idę na dziób. Zebrała się tam już cała załoga. Stoją pod ścianami, siedzą skuleni na kojach. W jaskrawym świetle lamp pozbawionych kloszy ich twarze są kredowobiałe, z czarnymi cieniami oczodołów. - Jutro wchodzimy do Scapa Flow - komunikuję bez żadnych wstępów.

Jest zupełnie cicho, tak cicho, że słychać gdzieś kapiącą wodę... kap... kap... kap.

- Teraz wszyscy udadzą się na odpoczynek i będą spać, poza podstawową wachtą. Ta o czternastej zbudzi kucharza, o szesnastej obiad. Po nim, przez cały okres operacji, nie będzie żadnego ciepłego posiłku. Kucharz przygotowuje talerze z kanapkami, a jako prowiant osobisty każdy dostanie tabliczkę czekolady.

Zgaszone zostaną wszystkie zbędne światła. Musimy oszczędzać prąd. Nikomu nie wolno poruszać się bez potrzeby, bo zostaniemy na dnie aż do wieczora i musimy oszczędnie korzystać z powietrza.

W czasie samej operacji obowiązuje absolutny spokój. Meldować pojedynczo, nie jeden przez drugiego. Zrozumiano?

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiadają wszyscy, jak jeden mąż.

- Odmaszerować na spoczynek!

Milczenie. Siedzą na swoich kojach i patrzą na mnie. Ich twarze są zupełnie spokojne, nie widać na nich ani zdumienia, ani lęku.

Idę na rufę do swojej klitki i kładę się na koi. Nade mną pomalowana na biało gródź okrętu, z której wystaje parę nitów.

Gasną światła, jedno po drugim. Okręt ogarnia półmrok. Wszystko pogrąża się w ciszy, tylko na zewnątrz morska woda uderza czasem z bulgotem o burty, zaś w centrali słychać prowadzone szeptem rozmowy wachty.

Chciałbym zasnąć, ale nie mogę. Muszę myśleć o ludziach, którzy śpią w swoich kojach tam na dziobie. Dość już czasu spędzili na okręcie, aby wiedzieć, co oznacza jutrzejsza operacja. Nie dali jednak niczego



poznać po sobie. Milczą. A jeśli komuś w tych godzinach leży coś na sercu, rozważa to cicho i bez słów.

Chciałbym spać, ale nie mogę. Zamykam oczy i widzę przed sobą mapę Scapa Flow: zatokę z siedmioma wejściami - a ja muszę się przedostać przez jedno z nich. Próbuję wyobrazić sobie drogę.

W końcu nie mogę już wytrzymać na koi. Przemykam się na palcach przez okręt. Długie, pogrążone w półmroku wnętrze wypełnione jest osobliwym niepokojem. Ludzie chrząkają, przewracają się ciężko na kojach, kilku podnosi głowy.

W mesie oficerskiej nad mapą pochyla się Spahr, mój długoletni nawigator.

- Pan tutaj?

- Panie kapitanie, musiałem spojrzeć jeszcze raz na mapę - mówi, jakby chciał się usprawiedliwić.

Stoimy obok siebie, patrząc bez słowa na mapę. Potem Spahr pyta szeptem: - Naprawdę pan wierzy kapitanie, że się wślizgniemy?

- No cóż, Spahr - odpowiadam. - Czyja jestem prorokiem?

- A jeśli się jednak nie uda?

- To będziemy mieli pecha, Spahr.

Zasłona jednej z koi rozchyła się z szelestem, odsłaniając głowę Endrassa.

- Choćby mnie pan nawet postawił przed sądem wojennym panie kapitanie, nie mogę już spać.

- Zamknij dziób, oszczędzaj powietrze - syczę do niego, na co z westchnieniem zanurza się z powrotem w ciemnościach swojego legowiska.

Po cichu wracam do swojej koi i znów się kładę. Tym razem udaje mi się zasnąć. Jest to jednak bardzo lekki sen. Zmysły czuwają, jak u dzikich zwierząt śpiących w otwartym terenie.

O czternastej słyszę, że wachta budzi kucharza; przez przymknięte powieki widzę go, gdy przechodzi koło mojej klitki.

Poobwijał stopy szmatami, aby nie robić hałasu. Nieprzyjacielskie urządzenia nasłuchowe są bowiem czułe, jeśli pech tak chce, to da się słyszeć nawet stukotanie butów o żelazne płyty pokładu.

O szesnastej ogólna pobudka. Czas na posiłek. Na obiad mamy zeberka z kapustą. Jak w świąteczny dzień, dyżurni muszą biegać z dokładkami.

Siedzę przy stole z Wesselsem, Endrassem i Varendorfem. Varendorf zabawia nas wszystkich. Nie może usiedzieć na miejscu, jak chłopiec planujący nie lada figiel.

Sprzątanie ze stołu. Trzech ludzi idzie przez okręt, uzbrajając ładunki wybuchowe. Jeśli wpadniemy w ręce nieprzyjaciela, wysadzimy okręt w powietrze.

Przechodzę jeszcze raz przez wszystkie pomieszczenia, udzielając ostatnich instrukcji. Podczas całej akcji nie wolno palić. Jeszcze raz przypominam o najważniejszym: nie może paść ani jedno zbędne słowo. Końcowe przygotowania. Każdy sprawdza swoją kamizelkę ratunkową. Ostatnie spojrzenie na zabezpieczenia. Nawigator rozpościera mapę, a my, idący do kiosku, zakładamy wodoszczelne impregnowane ubrania.

Dziewiętnasta. Na górze musi być teraz mrok. Krótkie komendy: - Na stanowiska! - I za chwilę: - Oderwać okręt od dna!

Pompy żęzowe rozpoczynają z szumem pracę, główny mechanik Wessels melduje stłumionym głosem: - Okręt odrywa się od dna... Metr powyżej dna... Dwa metry powyżej dna.

Rozlega się cienki brzęk silników elektrycznych, okręt wznosi się ku powierzchni.

Wchodzę do centrali. Powoli, ostrożnie wysuwamy peryskop, omiatając horyzont jego szklanym okiem. Jest noc.

Nabieram głęboko powietrza i wydaję komendę: - Wynurzenie!

Ciśnienie powietrza rozpiera zbiorniki, z których z bulgotem ucieka woda. Peryskop chowa się w kiosku jak róg spłoszonego ślimaka. A potem słyszymy głuchy dźwięk, który towarzyszy nam, gdy okręt wychodzi na powierzchnię, kołysząc się na falach jak odurzony głębokim zanurzeniem.

Luk kiosku otwiera się z głuchym brzękiem. Powiew świeżego powietrza. Wychodzimy najszybciej jak zdołamy na zewnątrz, obaj wachtowi, bosman i ja.

Wysłuchuję się z natężeniem w ciemność. Nic nie widać, nic nie słyhać. Wiatr ustał. Jedyнным jego śladem jest słabe falowanie.

Rozglądam się. I już dobiegają mnie meldunki, składane półgłosem, I mimo to wyraźnie:

- Lewa burta czysta... Prawa burta czysta... Na rufie czysto.

- Przewietrzyć okręt - rozkazuję i natychmiast rozlega się huk obu dmuchaw.

- Oba diesle! - i z dołu dobiega mnie głuchy odzew: - Oba diesle gotów!

- Oba silniki elektryczne stop! Oba diesle wolno naprzód!

Rozlega się dobre, znajome pomrukiwanie diesli; okręt rozgarnia fale nabierając tempa.

Wzrok przyzwyczał się do ciemności. Widać wszystko wyraźnie, prawie za wyraźnie: okręt, sunące na niego grzbiety fal, a hen za nimi pasmo dalekiego wybrzeża.

- Dziwnie jasno dzisiaj - stwierdzam.

- Nie wiem tylko od czego, panie kapitanie - odpowiada Endrass. Osobliwa poświata, ani od księżyca, ani od reflektora, nigdzie nie widać źródła światła. Jak gdyby na północy za horyzontem ktoś rozpalil olbrzymi most świetlny, rozjaśniając wiszące na niebie chmury.

Zorza polarna! Jakby mnie ktoś uderzył w głowę. O tym nikt nie pomyślał. Wybraliśmy na operację okres nowiu. A mimo to jest szarawo i robi się coraz jaśniej. Wieje bowiem północny wiatr, spychając zasłone chmur na południe.

Może jednak opaść jeszcze na jeden dzień na dno i spróbować ponownie jutro? Zorza polarna pod szerokością geograficzną rzadko występuje dwa dni pod rząd. Odwracam się. Obok mnie stoi Endrass z lornetką przy oczach, spoglądaj przez lewą burtę w morze.

- No, Endrass - pytam - co jest?

- Dobre powietrze na strzał, panie kapitanie - stwierdza spokojnym głosem. I w tej samej chwili słyszę, jak Varendorf szepcze do sygnalisty:

- Hänsel, chłopie, to dopiero będzie noc!

Być może jutro nie będzie zorzy polarnej, myślę, ale czy jutro moi chłopcy będą w takim samym nastroju? I głośno rzucam komendy: - Nowy kurs! Obie maszyny pół naprzód!

Fala dziobowa wznosi się wyżej, przelewając prze pokład płyty białej piany. Stoimy nadal z lornetkami przy oczach, wpatrując się w noc.

To ciekawe, jak odpowiedzialność wyostrza zmysły. Przed nami, bardzo daleko, widać cień na wodzie... bardzo niewyraźny, prawie niewidoczny przez lornetkę. Może to tylko ługier rybacki, może przepływający w oddali parowiec pod neutralną banderą? Ale teraz - w naszej sytuacji - każde spotkanie oznacza niebezpieczeństwo.

- Alarm!... Zanurzenie!... - jak spłoszone myszy wskakujemy do wnętrza okrętu.

- Napęścić zbiorniki! - woda z pomrukiwaniem wlewa się do

zbiorników. Tkwią przy peryskopie i szukam obcego okrętu. Z dołu, z brzucha okrętu, słyszę Wesselsa, wydającego rozkazy sternikowi głębokości. Pomiędzy poszczególnymi komendami pobrzmiwa niski, spokojny głos Spahra: - Do dowódcy! Czas na zmianę kursu dwadzieścia prawo na burt

- Piętnaście prawo na burt! - odkrzykuje.

Po chwili zaś odzywa się sternik: - Na kursie! - Schmidt pracuje wspaniale.

Cień u góry zniknął. Za to północno-zachodni wiatr prawie zupełnie zepchnął na południe zbite cumulusy, za nimi po niebie ciągnie się tylko cieniutkie pasmo mgły. Coraz jaśniej błyszczy zorza polarna, wysyłając różowożółte i niebieskie promienie aż do zenitu nieba. To naprawdę magiczne światło, jak w dniu Sądu Ostatecznego.

Zbliżamy się do lądu. Góry przysuwają się do siebie, ich sylwetki, czarne i ponure, odcinają się od jasnego nieba. Rzucają ostre i wyraźne cienie na połyskujące blade morze. Wchodzimy do cieśniny, na której końcu pała niezmierną światłością obce niebo.

- Panie kapitanie, oglądał pan już kiedyś zorzę polarną? - rozlega się za mną spokojny, nieco rozwlekły głos. - Czegoś takiego w życiu nie widziałem.

Odwracam się jak oparzony. - Człowieku... - zaczynam ostro, ale od razu milknę na widok Samanna. Stoi za mną, z oczami szeroko otwartymi jak u dziecka słuchającego bajki. A przecież wie tak samo jak ja, co jest stawką w tej grze, przemyka mi przez głowę.

Milczę.

Cienie gór po lewej i prawej zlewają się ze sobą. Woda staje się ciemniejsza. Odblask nieba znika.

A potem w jednej chwili robi się jasno. Przed nami otwiera się zatoka, ciągnąca się aż po horyzont. Nieporuszona toń, w której odbija się płonące niebo. Wygląda to tak, jak gdyby kłós rozświetlił morze od spodu.

- Jesteśmy w środku - informuję załogę.

Nie ma odpowiedzi. Ale mam wrażenie, że cały okręt wstrzymuje oddechu, a serca silników biją ciszej i szybciej.

Jesteśmy w wielkiej zatoce. Mimo te okalające ją góry są bardzo wysokie, widziane z okrętu wyglądają jak płaski łańcuch wydm. Powoli rozglądając się na wszystkie strony, posuwamy się naprzód po cichej wodzie.

Nagle spostrzegamy kilka świateł. Migoczą tuż nad wodą jak gwiazdy, które spadły z nieba. Czuję, jak krew łomocze mi w skroniach.

Ale to tylko tankowce śpiące na kotwicowisku.

Wreszcie... tam... tuż u samego wybrzeża... potężna sylwetka okrętu wojennego! Twarda, ostra, jakby namalowana czarnym tuszem na jaśniejącym niebie: pomost, masywny komin, a za nim, jak misterne filigranowe cacko, długi wysoki maszt. Podchodzimy bliżej... bliżej...

W takich chwilach nie ma już uczuć. Myśli się razem z okrętem, jest się mózgiem tego stalowego zwierzęcia, skradającego się do wielkiej, przeogromnej zdobyczy. W takich chwilach myśli muszą być z żelaza i stali - w przeciwnym razie czeka zguba.

Coraz bliżej! Teraz można dostrzec wyraźnie kopuły wieżyczek armatnich, z których groźnie wyrastają lufy. Okręt leży przed nami z wygaszonymi światłami jak śpiący olbrzym.

- To chyba klasa „Royal Oak” - szepczę, a Endrass przytakuje w milczeniu.

Jeszcze bliżej. I nagle za pierwszym okrętem wyrasta sylwetka drugiego, tak samo duża i potężna jak pierwszego.

Nad stewą dziobową pierwszego okrętu widać część nadbudówki drugiego: pomost, dziobową wieżę artyleryjską. To HMS „Repulse”.

Musimy go zaatakować jako pierwszego, ponieważ HMS „Royal Oak” stoi tuż przed nami i jest tak czy owak pewnym celem.

- Przygotować wszystkie wyrzutnie!

Komenda odbija się echem we wnętrzu okrętu. Poza tym nic nie słyhać. Tylko bulgoczący dźwięk, z którym woda wlewa się do rur, tylko ostry syk sprężonego powietrza, tylko twardy, metaliczny odgłos zaskakiwania dźwigni mechanizmu spustowego. Po sekundzie słyszę odpowiedź: - Pierwsza wyrzutnia gotowa!

- Wyrzutnia... cel!... pa! - komenderuje Endrass.

Okrętem targa wstrząs: torpeda opuściła wyrzutnię.

Żeby tylko trafiła... Musi przecież trafić... Stewa dziobowa była w samym środku celownika...

Z dołu zaś Spahr odlicza powoli głuchym głosem: - Pięć sekund... dziesięć sekund... piętnaście...

Czas wydłuża się w nieskończoność. Na okręcie nie słyhać żadnego dźwięku. Tylko głos Spahra, ciężko kapiący w ciszy: - Dwadzieścia sekund...

Oczy wlepiamy w cel. Ale stalowa forteca wciąż trwa, sztywna i nieporuszona. I nagle u dziobu HMS „Repulse” wznosi się słup wody i dochodzi do nas głuchy łomot detonacji. Brzmi z oddalenia, jakby wybuch nastąpił gdzieś w górach.

- No, ten dostał - stwierdzi Endrass.

Nie mam czasu na odpowiedź. - Kolejna wyrzutnia... cel! komenderuję. Następnie nakierowuję okręt na HMS „Royal Oak”. Musimy się pospieszyć, w przeciwnym razie będziemy mieć ich na karku, zanim zdążymy oddać następny strzał.

- Lewo pięć! - Okręt obraca się powoli na lewą burzę.

- Śródkręcie! Tak dobrze! - Płyniemy prosto na HMS „Royal Oak”. Wyrasta przed nami coraz potężniejszy, z wysokimi nadbudówkami... jego cień wydaje się przybliżać do nas, jakby chciał nas pochwycić.

Schmidt steruje, jak gdyby bezpośrednio obserwował cel. Celownik wizjera wciąż wskazuje dokładnie na śródkręcie.

Teraz nadszedł właściwy moment - Pal! - komenderuje Endrass.

Znowu odrzut wstrząsa okrętem, a Spahr monotonnym głosem zaczyna liczyć: - Pięć... dziesięć...

Potem jednak dzieje się coś, czego nikt się nie spodziewał; coś, czego każdy, kto to widział, nigdy w życiu nie zapomni. Przed nami wznosi się ściana wody. Mamy wrażenie, że morze nagle stanęło dęba. Odgłosy głuchych uderzeń rozlegają się jeden po drugim, jak ogień z karabinów maszynowych zlewając się ze sobą w jeden ogłuszający huk... W niebo strzelają wiązki płomieni: sine - żółte - czerwone.

Niebo znika zasłonięte przez te piekielne fajerwerki. Czarne cienie lecą jak olbrzymie ptaki przez płomienie, uderzając z plaskaniem o wodę. W miejscach, gdzie spadają, tryskają metrowe fontanny. To wielkie kawałki masztów, pokładu, kominów.

Musieliśmy trafić bezpośrednio w skład amunicji, a śmiertcionośny ładunek rozerwał tym razem ciało własnego okrętu.

Nie odrywam oczu od lornetki. Wydaje się, że nagle otworzy się wrota piekielne, a ja spojłam wprost w płomieniste inferno.

Rzut oka do wnętrza mojego okrętu. Jest tu mrocznie i cicho. Słychać tylko pracę silników, spokojny głos Spahra i odpowiedzi sternika. I jak nigdy dotąd czuję więź z tymi z dołu, którzy wykonują swój obowiązek niemo i ślepo, nie widząc światła dziennego ani obiektu ataku, i którzy, jeśli trzeba, umierają w ciemności.

Wołam do nich: - Jest załatwiony!

Sekunda milczenia. A potem wrzask, jednogłośnie zwierzęcy ryk, w którym rozładowuje się straszliwe napięcie ostatniej doby. Wrzask tak potężny, jakby ryczał sam okręt, to wielkie stalowe zwierzę.

- Spokój! - krzyczę... i okręt milknie. Słyszę Spahra: - Lewo trzydzieści! - I odpowiedź sternika: - Na kursie.

Przedemną zaś dogasają fajerwerki. Jeszcze tylko kilka ostatnich detonacji. I nagle, w jednej chwili, w zatokę wstępuje życie. Rozbłyskują reflektory, obmacując jaskrawobiałymi ramionami morze i ponownie gasnąc. We wszystkich kierunkach przemykają światła... małe, szybkie światełka, nisko nad wodą: torpedowce i okręty ZOP. Jak ważki śmigające zyzgakiem nad ciemną taflą. Szukają nas - i biada, jeśli znajdą!

Ostatnie spojrzenie. Okręt przed nami umiera. A wokół niego jak okiem sięgnąć, żadnego oplącalnego celu. Tylko sami prześladowcy.

- Lewo na burt! - komenderuję. - Oba silniki, cała naprzód!

Nie pozostało nic innego, tylko wyjść cało z tej awantury, doprowadzić szczęśliwie do domu okręt i załogę.

Góry znowu schodzą się ze sobą. Prąd, który wpycha nas z powrotem do zatoki z siłą rwącej rzeki, chwyta okręt i trzęsie nim na wszystkie strony.

Silniki pracują na najwyższych obrotach. A mimo to wydaje się, jakbyśmy posuwali się tylko krok po kroku. W końcu mamy wrażenie, że stoimy jak ryba w górskim potoku, wciąż w tym samym miejscu. Za nami, od migotania ruchomych światełek odrywa się jedno i pędzi prosto na nas - światło przedniego masztu niszczyciela.

A my prawie stoimy w miejscu. Okręt szarpie się do przodu i tyłu, rzuca się na lewo i prawo... nieprzyjaciel zaś posuwa się do przodu. Smukła sylwetka wyraźnie już się odcina od szarości nocy.

- Czyżby nas jeszcze miał dogonić? - słyszę obok ochryply głos Endrassa.

- Pełną mocą naprzód! - wołam.

- Maszyny pracują pełną mocą - dobiega z dołu.

Koszmar. Stoimy w miejscu zatrzymywani przez niewidzialną siłę, a śmierć podchodzi do nas... blisko... coraz bliżej...

Kilka krótkich błysków, zapalających się raz krótko, raz długo.

- Sygnalizuje Morse'em - szepce Endrass.

Nasz okręt trzeszczy w szwach. Mam wrażenie, że dysząc, ostatkiem siły w płucach przeciwstawia się prądowi.

Musi nam się udać... musimy się wydostać... Żadna inna myśl, tylko ta, kieruje rytmem serca maszyn: musimy się wydostać... musimy się wydostać...

I wtedy - to istny cud - nieprzyjaciel skręca. Światło ślizga się bokiem po wodzie, a w następnej chwili dociera do nas świst pierwszych bomb głębinowych.

Okręt bnie mozolnie przez cieśninę. Wokół nas ciemność. Tylko z oddali coraz ciszej dochodzi zamierający huk detonacji.

I nagle przed nami otwiera się morze. Wielkie, szerokie, swobodne morze - bezkresne pod bezkresnym niebem.

Nabierając głęboko powietrza, wydają komendę, ostatnią komendę tej akcji:

- Do wszystkich stanowisk. Jeden okręt wojenny zniszczony – jeden okręt wojenny storpedowany - a my wyszliśmy cało!

Śmiech... Krzyk... Wiwatowanie...

Teraz mogą już krzyczeć.



# U Führera

Potem wszystko staje się takie jak przedtem. Przydzielanie wacht, jedzenie, picie, spanie, jak zwykle. Tylko nerwy drżą jeszcze resztkami podniecenia.

W południe następnego dnia - jesteśmy już daleko na Morzu Północnym - słyszymy meldunek Radia Niemcy: „W zatoce Scapa Flow angielski okręt wojenny HMS „Royal Oak” został storpedowany i zatopiony przez niemiecki okręt podwodny. Według angielskich meldunków również niemiecki U-boot miał zatonąć”. Jestem akurat w centrali. Obok mnie stoi szef centrali Gustaw Böhm. Patrzymy na siebie i nagle ten mały grubasek zaczyna śmiać się do rozpuku: - Zatonął... niemiecki U-boot... ha ha ha... to znaczy, że zatonęliśmy!

To co trzeba było zrobić, zostało zrobione. Ale napięcie czynu jeszcze długo dygocze w nas wszystkich.

Trzeciego ranka na horyzoncie pojawia się łód, delikatny siny cień nad falami, a molo wyciąga do nas daleko w morze kamienne ramiona. Hänsel, sygnalista, melduje bez tchu: - Panie kapitanie, z łądu sygnalizują, że grossadmiral oczekuje na okręt na służbie.

- Dobrze - odpowiadam. Trochę ucieszony, trochę zakłopotany zarządzam na pokładzie zbiórkę wolnej wachty w skórzanych uniformach.

Kiedy jednak zbliżamy się, a orkiestra podnosi błyszczące instrumenty, kiedy przez wodę biegną ku nam dźwięki *Deutschland, Deutschland über alles*, kiedy ludzie, setki ludzi, wiwatują i machają do nas rękami, a nasz okręt z szumem rozgarnia wodę śluzu i zatrzymuje się, kiedy po trapie przechodzę z pokładu na molo, wprost ku człowiekowi w granatowym płaszczu - wtedy czuję, że podniosły nastrój chwili ogarnia nagłą falą i mnie. Składam meldunek, gardło mam ściśnięte i suche: - Melduję powrót okrętu i załogi z patrolu bojowego. Jeden nieprzyjacielski okręt zatopiony, jeden nieprzyjacielski okręt uszkodzony.

Grossadmiral dziękuje w imieniu Führera, w imieniu marynarki. Potem podchodzą następni. Jako pierwszy wiceadmiral Dönitz,

Dowódca Okrętów Podwodnych. Długo i mocno potrząsa moją dłoń. Także on mi dziękuje, a ja mam ochotę powiedzieć: „Po co te podziękowania? Pan był głową, a ja ręką”. Jednak obecność innych zasznurowuje mi usta. Przyjmuję tylko postawę zasadniczą.

Wypływamy ze śluzu, kierując się na nasze miejsce w porcie. Ledwo przycumowaliśmy, podchodzi do mnie oficer, przekazując zaproszenie od Führera do Berlina. Następnego dnia dowódca i załoga mają być jego gośćmi w Kancelarii Rzeszy.

Krzyczymy „hura” na cały port.

A potem lot do Berlina w osobistym samolocie Führera, lądowanie na lotnisku Tempelhof, jazda wśród tysięcy, dziesiątek tysięcy ludzi stojących na szarych od deszczu ulicach; krzyczących, machających ramionami, nie posiadających się z zachwytu.

Jesteśmy u Führera. Stoimy w szeregu w wielkim jak hala gabinecie, cała załoga. Na zewnątrz, na ulicy krzyczą ludzie. Hałas dobiega do nas znacznie przytłumiony, tu w środku panuje cisza.

Nadchodzi adiutant i anonsuje: - Führer!

I oto wchodzi. Widziałem go wcześniej już kilka razy. Ale nigdy nie czułem tak intensywnie, jak w tej chwili wielkości Jego życia. Oczywiście, także i ja tu stoję, a marzenie mojej młodości stało się rzeczywistością. Może właśnie urzeczywistnianie marzeń naszej młodości jest tym, co najważniejsze i najlepsze w życiu. Ale jakim było Jego życie w porównaniu z moim!

Człowiek, który odczuwa hańbę i nędzę swojego kraju jak własną hańbę i własną nędzę, który pragnie wolnej, szczęśliwszej ojczyzny. Wierzy i działa... nieznany człowiek pośród osiemdziesięciu milionów. Jego marzenie przeistacza się w czyn... Jego wiara staje się życiem.

Podchodzę do Führera i składam meldunek. Dziękuje, podaje mi rękę i wręcza Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego, będący jednocześnie odznaczeniem dla całej załogi.

Duma i szczęście... Musiałbym być kłamcą, gdybym nie wyznał tego otwarcie. Los wyniósł mnie wysoko w tym momencie. A jednak wiem, że stoję tu, reprezentując jednocześnie wielu innych, którzy bezimiennie i bezgłośnie stoczyli taką samą walkę, jak ja. Rozdzielił nas tylko sukces. Ale co to jest sukces? Można go nazwać szczęściem lub łaską. Jednak to, co jest honorem każdego mężczyzny, to serce wojownika i zdolność zapomnienia o sobie samym dla sprawy, której się służy.

Führer przechodzi wzdłuż ustawionej w szeregu załogi. Podaje bidami z osobna dłoń i każdemu z osobna dziękuje. Stąpam za nim, spoglądam kolejno na swoich ludzi, a moje serce bije wspólnym rytmem z każdym z nich.

## Od autora

Kiedy Deutscher Verlag zasugerowało mi napisanie książki o moich przeżyciach, mój okręt znajdował się właśnie w stoczni, poddawany przeglądowi. Tak więc niespodziewanie w samym środku wojny zyskałem chwilę oddechu na dokonanie przeglądu własnego życia. Trzymałem się przy tym prawdy we wszystkich szczegółach i w większości przypadków nazywałem rzeczy i ludzi ich właściwymi imionami.

Tak więc Witaschek i stary Stoewer naprawdę biegali pod tymi nazwiskami po drewnianym pokładzie żaglowca, zaś biedny Teyson żyje do dziś z jedną nogą gdzieś w Saksonii. Także wszystkie zdarzenia przebiegały tak, jak są tu opowiedziane. Niekiedy tylko musiałem trochę skrócić opis, aby zapanować nad obfitością materiału. Pływałem bowiem latami jako marynarz na rozmaitych żaglowcach i parowcach i mogłem przedstawić tylko po jednym fragmencie z owych czasów.

Również przeżycia wojenne stanowią jedynie wybór tych epizodów, które wydały mi się najbardziej interesujące. Poza tym zmieniłem nieco kolejność zdarzeń, umieszczając rozdział o Scapa Flow na samym końcu. Stało się tak przede wszystkim dlatego, że drogę do Scapa Flow postrzegam jako kamień milowy mojego życia, wyrastający ponad nieprzerwany bieg zwykłych wydarzeń. Dlatego też uznałem za stosowne, aby książka opowiadająca o moim życiu kończyła się jego najistotniejszym wydarzeniem.

Połowa sierpnia 1940 r.

*Günther Prien*



Stary dobry żaglowiec ćwiczebny jednej z niemieckich szkół morskich.



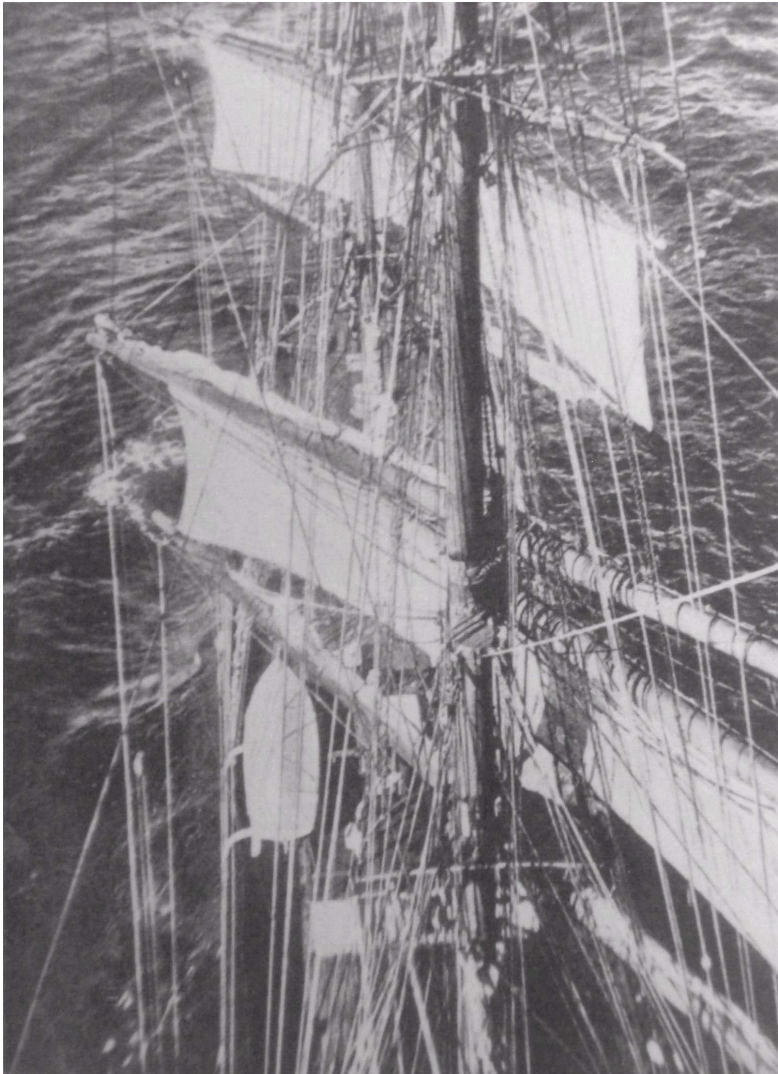
Na pełnorejowcu „Hamburg” przy silnej bryzie.



Niedzielnny ranek na pokładzie „Hamburga”

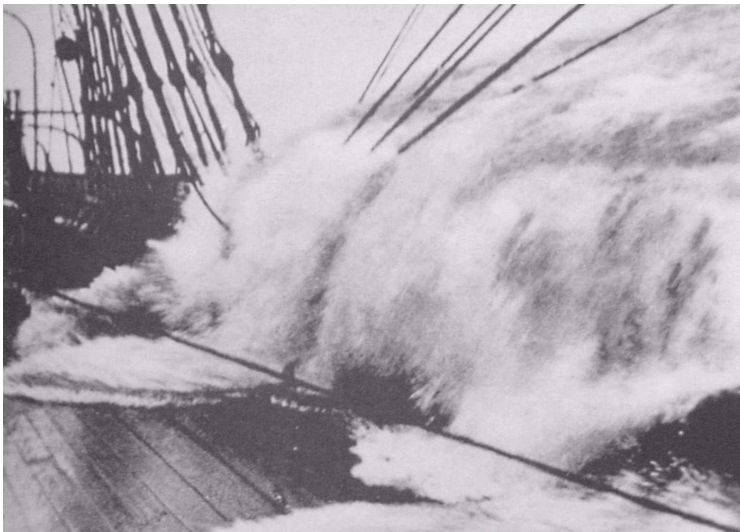


Przyjęcie ostatniej partii ładunku świętuje się butelką żywniówki.



Pod wiatr na dolnych marsłach. Zdjęcie wykonane po sztormie.





Pokład zalewa  
fala przyboju.



Brasowanie żagli  
przy sztormowej  
pogodzie



Pełnorejowiec „Oldenburg” pod pełnymi żaglami.



Szycie żagli  
w słonecznym  
blasku.



„Pumeks w rękę  
i z rozmachem  
szorujemy pokład  
piachem”.



W ochotniczej służbie pracy (zaznaczony krzyżykiem) na zamku Voigtsberg w Voglandzie.



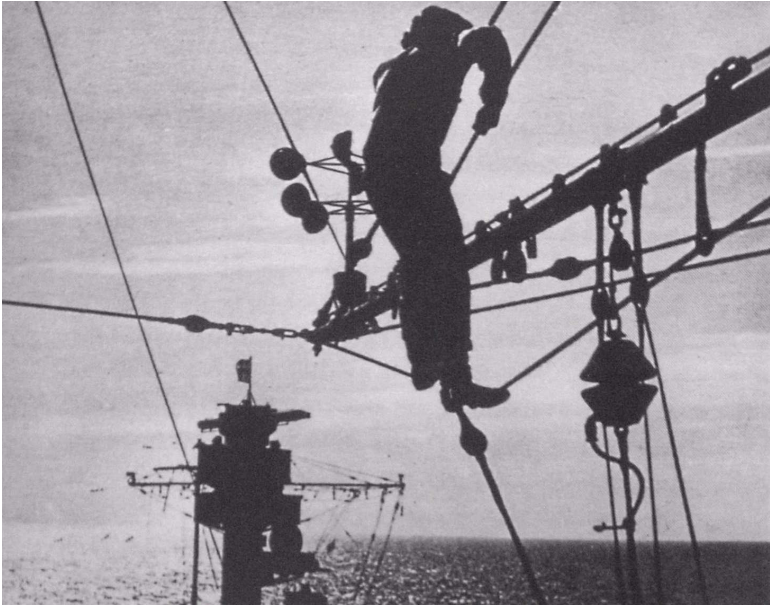
Jako rekrut (zaznaczony krzyżykiem) w Reichsmarine.



Jako chorąży marynarki  
w trakcie zajęć na  
krażowniku „Königsberg”.



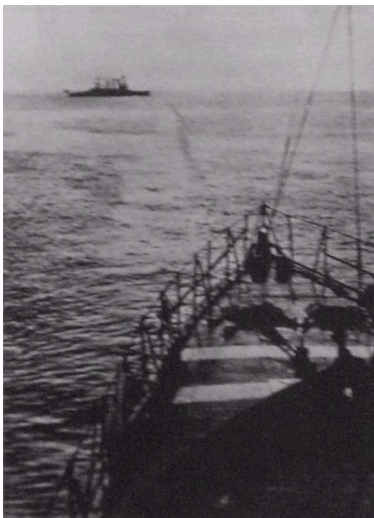
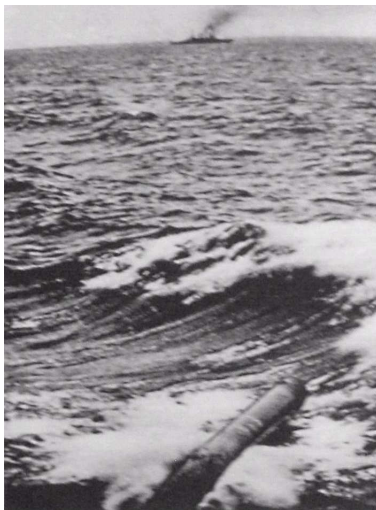
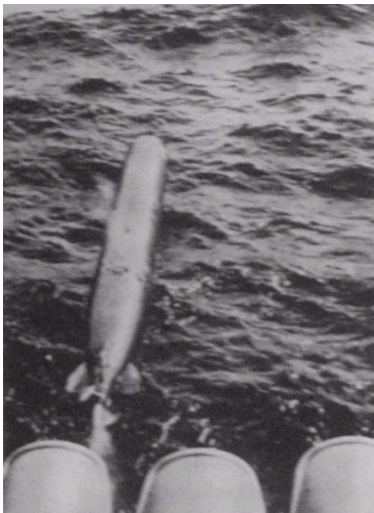
Odpoczynek obsługi  
dział plot.



Na niebotycznej wysokości rei sygnalowej.

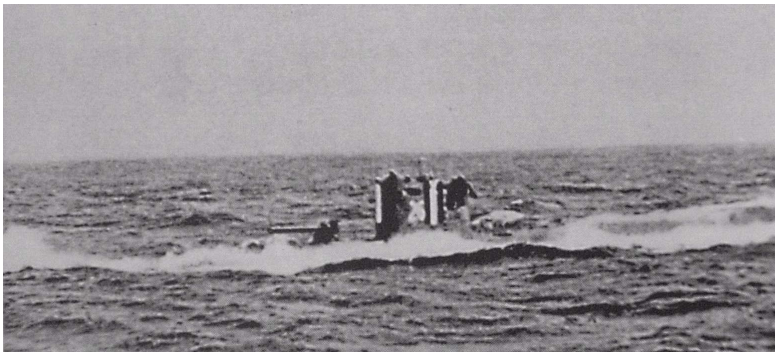
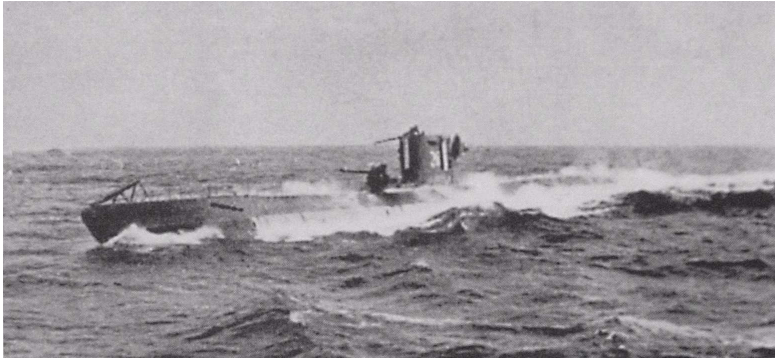


„Wielkie porządki”.

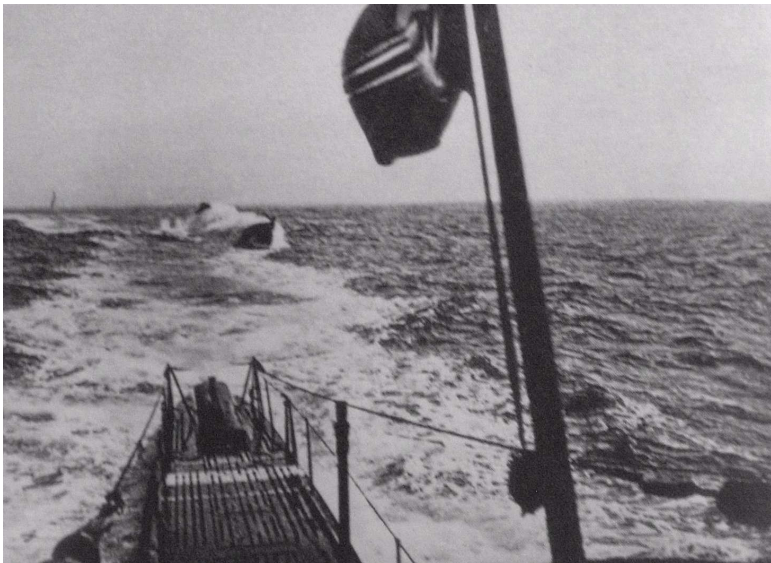


Torpeda ćwiczebna zostaje wystrzelona, trafia w cel i wraca na pokład.





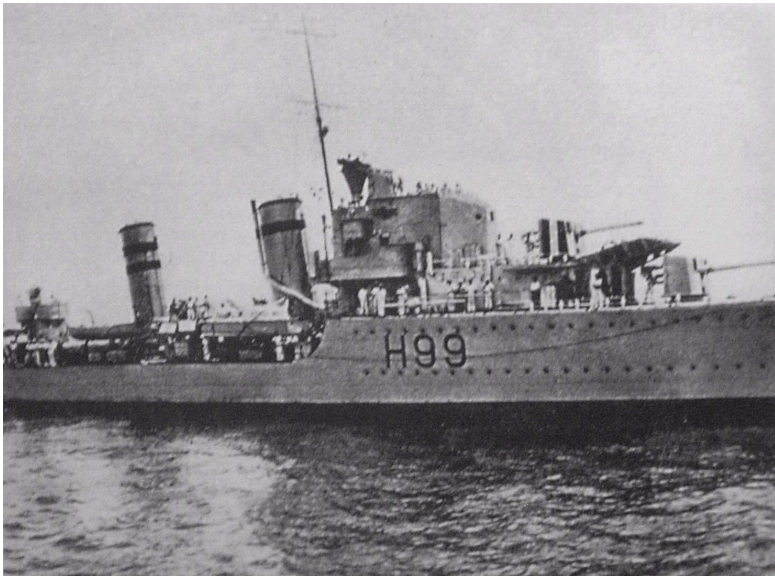
U-26 na wzburzonym morzu zanurza się na głębokość peryskopową.



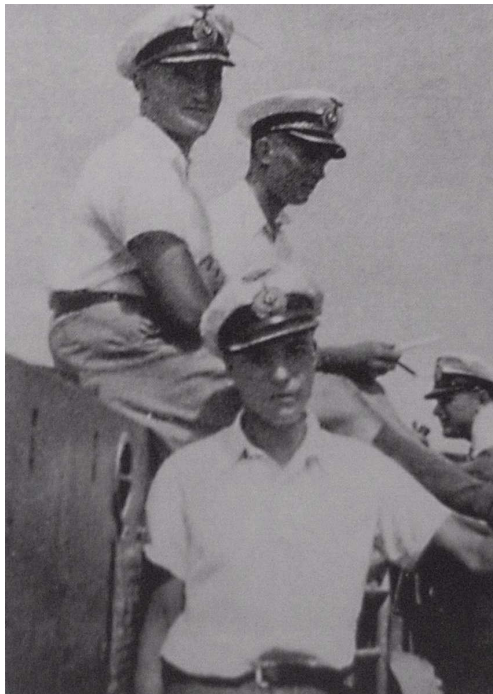
U-booty w szyku.



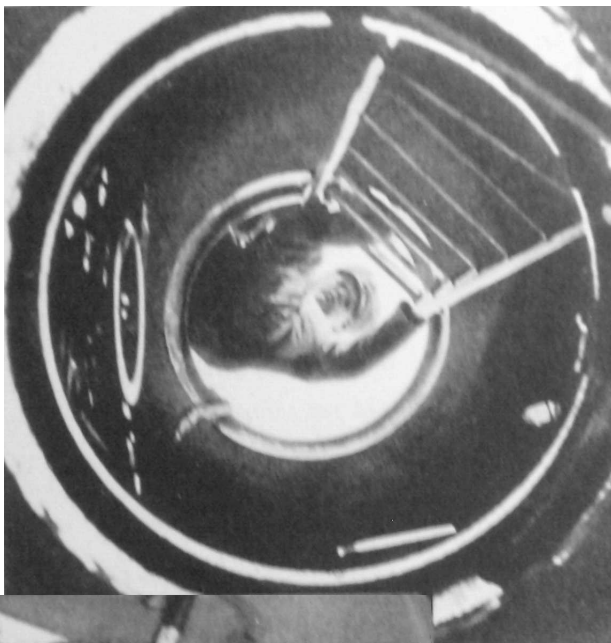
U-26 podczas patrolu  
na wodach Hiszpanii.



H 99, angielski  
niszczyciel pod Cadiz.



Komandor  
podporucznik Hartmann  
ze swoimi oficerami.



Alarm! Zamykać właz kiosku!



Dowódca na kiosku.



Okręt wychodzi w morze.



Gadu-gadu na pomoście.



Okręt płynie przez Kanał Cesarza Wilhelma (dawna nazwa Kanału Kilońskiego, przyp. tłum.). Dowódca w „postawie zasadniczej”.





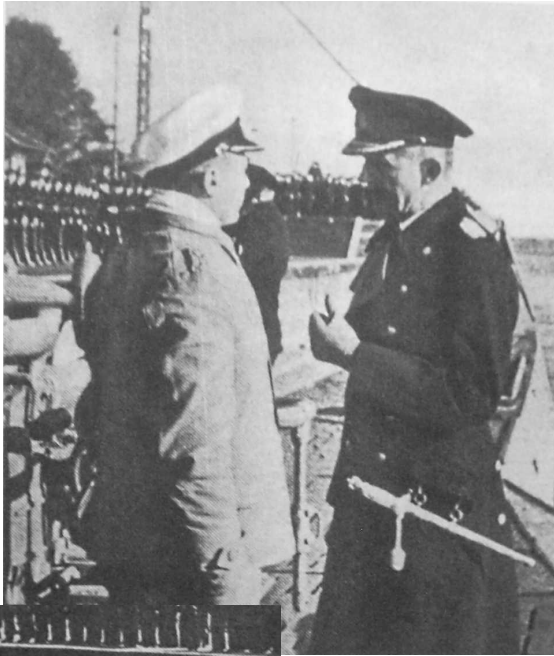
Tak wygląda podwodniak wracając z dłuższego patrolu.



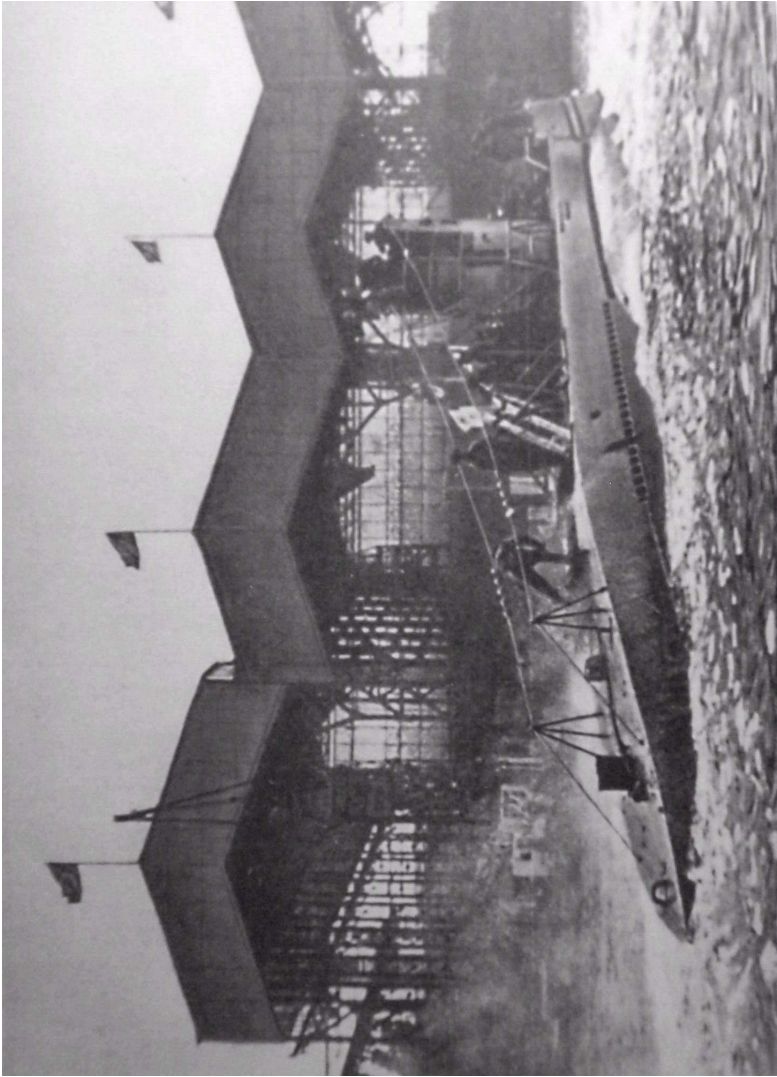
Świadectwa naszych  
zwycięstw: dziesięć  
proporczyków.



Nasi lotnicy, których  
udało nam się uratować po  
przymusowym lądowaniu.



Admirałowie: Dönitz i Carls witają powracającą z patrolu załogę.



Okręt przed macierzystą bazą.

# Prien nie powrócił z patrolu bojowego

*Berlin, 23 maja 1941*

Naczelne Dowództwo Wehrmachtu podaje: dowodzony przez komandora podporucznika Günthera Priena okręt podwodny nie powrócił ze swojej ostatniej operacji przeciwko nieprzyjacielowi. Należy liczyć się ze stratą tego okrętu.

Komandor podporucznik Günther Prien, bohater spod Scapa Flow, odznaczony przez Führera w uznaniu swoich wybitnych zasług Liśćmi Dębowymi do Krzyża Rycerskiego Żelaznego Krzyża, żyje nadal wraz ze swoją dzielną załogą w sercach wszystkich Niemców.

# Aneks

Nazwisko	Zatopiony tonaż
Otto Kretschmer	257 451 (+1 niszczyciel)
Wolf Lüth	228 917 (+1 okręt podwodny)
Erich Topp	181 754 (+1 niszczyciel)
Heinrich Lehmann-Willenbrock	177 965
Viktor Schütze	174 459
Herbert Schultze	173 475
Günther Prien	172 153 (+1 pancernik)
Heinrich Lieber	170 996
Karl-F. Merten	165 294
Heinrich Bleichrodt	158 420
Joachim Schepke	156 941
Goerg Lasen	152 953
Carl Emmermann	147 585
Werner Henke	142 636

*Źródło:* Zebrane na podstawie danych z Rohwer, *Axis Submarine Successes*. W przypadkach, gdy statki handlowe zostały zatopione przez dwa U-Booty, tonaż był równo dzielony między dane okręty podwodne.